Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 24 (1472) ROK XXIX 14 CZERWCA 1986 ROKU CENA 20 ZŁ

■ „Na bakier ze zdrowym rozsądkiem" – dalszy ciąg relacji M. F. Rakowskiego z wydarzeń 1981 roku – str. 4

■ Co słychać na Widzewie? – str. 6

Jak uratować festiwal?

Rozmowa z BOGUSŁAWEM KACZYŃSKIM

— Od jak dawna zajmuje się pan organizacją tej imprezy?

— Od sześciu lat. Jest to mój szósty festiwal.

— Kiedyś były to Dni Muzyki Kameralnej.

— Tak, lecz władze kulturalne Rzeszowa zwróciły się do mnie z prośbą, abym ratował umierającą imprezę nazwaną Dniami Muzyki Kameralnej. Umierającą dlatego, że nie było ciekawego pomysłu, nie przychodziła publiczność, sprzedawano po siedem biletów, sprowadzano siłą dzieci, młodzież, żeby tylko ktoś był na koncercie. Groziło to likwidacją imprezy. Ponieważ z wielką miłością odnoszę się do Łańcuta, od najmłodszych lat tu bywałem, przyjąłem zaproszenie i urządziłem festiwal. Zmieniłem nazwę oczywiście dając Łańcut w tytule. Zmieniłem zupełnie profil. Stworzyłem nową propozycję festiwalu.

— Zrywa pan także z kameralnością tej imprezy. Świadczy o tym m. in. „Requiem" Verdiego, wystawione w ubiegłym roku na wolnym powietrzu.

— Komponując program jestem zobligowany przede wszystkim warunkami, w jakich odbywają się koncerty. Nie mogę wystawiać wielkich dzieł muzycznych, bo nie mam możliwości. Sala balowa jest niewielka, ma jeszcze mniejszą estradę. Robienie w Polsce plenerowych koncertów jest wielkim ryzykiem, bo pogoda w maju bywa zazwyczaj bardzo ładna, ale nigdy nie wiadomo, czy nie będzie zimno lub czy nie będzie padał deszcz.

— Czym pan się kieruje przy wyborze artystów? Czy to są naprawdę najlepsi?

— Tak, staram się oczywiście dostarczyć najlepszych i najbardziej atrakcyjnych artystów, aby nie tylko zagwarantować w ten sposób wysoki poziom wykonania, ale także, aby zapewnić publiczności dużo emocji. Każdy chce z bliska zobaczyć jakąś legendę.

— Czy są jakieś kłopoty z zapraszaniem artystów?

— Ogromne. Przede wszystkim z terminami. Festiwal bowiem odbywa się w konkretnych terminach — czyli: zaczyna się w drugą sobotę maja, a kończy w następną niedzielę. I można by pozyskać artystę, ale np. trzy tygodnie wcześniej albo miesiąc później, co w ogóle nie wchodzi w grę. Poza tym sprawy finansowe. Tak trzeba skomponować program, by wystarczyło pieniędzy, które mam. Przecież nie jest to studnia bez dna.

— Czy pan przy ustalaniu repertuaru świadomie nawiązuje do muzycznych tradycji tego miejsca? Tzn. prezentuje pan muzykę barokową — bo Stanisław Lubomirski, pan na Wiśniczu i Łańcucie miał swoją kapelę, która grała tu podczas ważnych uroczystości. Widzimy muzykę dawnego Wersalu — bo przecież księżna Marszałkowa, artystyczna dusza tego miejsca, kochała salonowy repertuar francuski. Czy to jest celowy zabieg?

— Oczywiście, że celowy. Pokazując muzykę dawnego Wersalu rzeczywiście, jak pani słusznie zauważyła, myślałem o Marszałkowej.

— No, ale w ubiegłych latach rozbrzmiewał tu też repertuar współczesny.

— Próbowałem na poprzednich festiwalach zrobić koncert adresowany do tej awangardowej publiczności, koncert muzyki współczesnej. Ale to nie zostało przyjęte przez widownię. Nie pasuje. I zaniechałem takich koncertów. Niech muzyka współczesna rozbrzmiewa w Filharmonii Narodowej, podczas Warszawskiej Jesieni, natomiast tutaj nie. Tutaj widz idąc już przez aleje oczekuje innych przeżyć estetycznych. Co oczywiście nie znaczy, że ja prezentuję tylko muzykę barokową czy muzykę epoki klasycyzmu. Tutaj usłyszy pani i Debussyego i Szymanowskiego, ale nie awangardę.

— A dlaczego nie próbuje pan opracowywać scenicznie utworów z zamkowej Biblioteki Muzycznej, tak jak to kiedyś robiła Warszawska Opera Kameralna Stefana Sutkowskiego? Przecież jest tutaj tyle nieznanych dzieł, np. Marcello Bernardiniego di Capua — nadwornego kompozytora Lubomirskiej, Cimadero, Pergolessiego itp.

— Pracujemy nad tym, żeby w przy-

13

Foto: Grzegorz Gałasiński

W Tomaszowie Mazowieckim

Piąta rzeka

WŁADYSŁAW MALKA

Tomaszów Mazowiecki ma krótką historię, zaledwie półtorej setki lat. Miasto zostało założone w roku 1830. Można nawet podarować sobie dwie pierwsze dekady; były one bez większego znaczenia dla jego późniejszych losów. Dopiero po roku 1851, odkąd Tomaszów stał się miastem rządowym, intensywniej zaczyna dla niego bić puls historii. Podobnie jak w kilku innych miejscowościach Królestwa Polskiego, rozwija się tu przemysł włókienniczy.

Schemat wydarzeń związanych z burzliwym wiekiem XIX, kiedy jak grzyby po deszczu wyrastały tu fabryczki sukna i cała sieć niewielkich warsztatów tkackich, pasuje jak ulał do tego, co działo się w Łodzi, tyle że na skalę dużo większą.

Do Tomaszowa Mazowieckiego przedsiębiorczych ludzi przyciągnęła obfitość wód, niezbędna w ówczesnych technologiach wyrobu tkanin. Wody były tu tak dobre i tak obfite, że założona w tym mieście w roku 1874 przez Austriaka Moritza Piescha wykańczalnia tkanin staje się jedną z największych tego typu firm w Europie. Niektórzy byli nawet zdania, że u progu XX wieku w istocie była ona największa.

Zwykłym widokiem na piaszczystym trakcie pomiędzy Tomaszowem a Łodzią były w owych czasach długie kolumny konnych wozów, z których jedne, jadące od strony Łodzi, wiozły surowe sukno z tamtejszych tkalni, drugie zaś wracały z gotowymi już, uszlachetnionymi materiałami.

Kres dobrej koniunkturze „Appretur und Farberei" Moritza Piescha położyła kolej żelazna, która nigdy nie połączyła bezpośrednio obydwu miast, a tym samym uczyniła nieopłacalnym transport surowych tkanin z Łodzi do Tomaszowa. W jeszcze większym stopniu do podupadnięcia firmy przyczyniło się powstanie wielkich mechanicznych zakładów przemysłu wełnianego: Allarta i Heinzla w Łodzi, Dietla w Sosnowcu, Brigssa i Possella w Markach koło Warszawy.

Nie inaczej działo się z pomniejszymi geszeftami. Tomaszów był bowiem zdominowany przez fabrykację wełen, podczas gdy karierę zaczynała robić w Europie bawełna. Tkaniny bawełniane były tanie, łatwo zbywalne na rynku Królestwa Polskiego, wełny wymagały eksportu, nawet do Chin. Kolejne kryzysy ekonomiczne redukowały liczbę miejscowych fabryk sukna, stawiając tamę rozwojowi miasta na większą skalę.

Wróćmy jednak do tematu wód, których natura nie poskąpiła temu miastu. Zbiegły się tutaj aż cztery rzeki: Pilica, Wolbórka, Piaseczница i Czarna. Woda stała się magnesem dla ludzi pokroju Moritza Piescha, można powiedzieć, że w niej zobaczyli oni szansę zarobienia pieniędzy, które dawały prestiż i awans społeczny.

Ci bezwzględni częstokroć, ale i niekiedy familiarni ludzie, wycisnęli piętno na tym mieście, na jego budynkach, ulicach, a nade wszystko na mieszkańcach miasta, którzy w większości zatrudniali się w ich fabrykach. Było to piętno szarego życia, wyniszczającej pracy, która o paradoksie, mimo że za pieniądze, co nie pozwalały umrzeć, ale i nie dawały żyć, uważana była za rodzaj szczególnej łaski. Powodem tego był jej brak, a nadmiar ludzi gotowych uznać każde warunki byleby ją otrzymać.

RUSZYŁA PIĄTA RZEKA

W tym czasie zaczęła płynąć przez miasto piąta rzeka. W roku 1869, burmistrz Tomaszowa, Józef Lenartowicz, w obszernym elaboracie, charakteryzując podległe mu miasto, napisał, iż było tu 16 traktierni i 4 zajazdy. Nielicha liczba, jeśli miasto liczyło 5371 mieszkańców.

Był to jednak dopiero początek tych pionierskich lat, kiedy pośpiesznie formułowało się miasto, wytyczano nowe ulice, klecono liche kamieniczki i czynszowe domy, przybywali cyrulicy, dystrybutorzy tytoniu i tabaki, krawcy, kramarze, furmani, akuszerki, fabrykanci octu, kolektorzy loterii — tworzyła się, jakbyśmy dziś powiedzieli, cała infrastruktura miasta.

Bez zbytniego ryzyka można założyć, że z biegiem lat coraz więcej było również owych szynków i zajazdów. W roku 1874 Tomaszów liczył ponad 9 tys. mieszkańców, a w 10 lat lat później było ich już 16 tys. Stosownie do tej progresji pojawić się musiało o ileś więcej przybytków Bachusa.

Pod tym względem Tomaszów Mazowiecki nie był dziejowym wyjątkiem. Historia dostarcza niezliczonych przykładów, że miasto, które rozwija się dynamicznie pod wpływem jakiegoś

7

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2 dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00 958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153 201045-139 11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1676. B-2

Przegląd prasy

Ponoć cały świat żyje piłką nożną, co jest oczywiście wielką przesadą. Specjalni wysłannicy polskiej prasy, radia i telewizji z niejakim zdziwieniem stwierdzili, że w meksykańskich miastach, w których rozgrywane są piłkarskie eliminacje, życie toczy się normalnie, jakby tych mistrzostw w ogóle nie było. Co więcej, niektórzy Meksykanie uważają, że skoro ich kraj jest w dość trudnym położeniu, to można było z Mundialu' 86 zrezygnować. Takie opinie zaskakują naszych wysłanników, jak w ogóle wiele innych rzeczy zaskakuje naszych znawców piłki nożnej.

Oto „SZPILKI" (nr 23 z 5 czerwca 1986 roku) dały

PRZYKŁAD EUROPEJSKIEJ MEGALOMANII

Jakoś szybko zapomniano, że już w Hiszpanii — cztery lata temu — niektóre drużyny, a w tym i Polacy, mieli duże kłopoty z drużynami afrykańskimi. „Szpilki" staryin zwyczajem zażartowały sobie z tych, których stereotypowo zaliczono do słabeuszy, którzy mieli tylko dostarczyć punktów i bramek „potentatom". I tak Wojciech Gąssowski żartuje sobie z Maroka, Bogdan Łazuka z Paragwaju, a Marek Karewicz z Kanady. I życie spłatało im brzydkiego figla. Oto Maroko ma ogromne szanse wyjścia z grupy, podczas gdy „potentaci" Anglia i Polska, a nawet i Portugalia — po przegranej z Polską — mogą mieć z tym wyjściem z grupy poważne kłopoty. Jakoś nikomu nie przyszło do głowy, że takim przysłowiowym dostarczycielem bramek i punktów może być drużyna europejskich Węgier.

Żarty bywają mądre i głupie. Te ze „Szpilek" były akurat głupie. Bezpiecznie jest śmiać się ze słabych tylko że ci słabi wcale nie są tacy słabi, jak się to naszym zaślepionym eurlopejską megalomanią żartownisiom wydaje. I na szczęście okazało się, że to nie te rzekomo słabsze drużyny są śmieszne, ale śmieszni są nasi żartownisie. Z kogo się więc śmiejemy?

Na szczęście świat nie tylko piłką żyje. Również w Polsce tak się dzieje, choć noce spędzamy na ogół przed telewizorami, a rano wielu Polaków idzie do pracy niewyspanych, ale pełnych emocji. Życie toczy się normalnie i — jak to zwykle w życiu bywa — mamy do rozstrzygnięcia wiele ważnych spraw. Komitet Centralny PZPR zatwierdził materiały na X Zjazd. Zakończyły się obrady konferencji przedzjazdowych, trwają spotkania delegatów na X Zjazd. Toczy się nadal przedzjazdowa dyskusja.

DWA LATA TEMU W ŁODZI

obradował na XVI plenarnym posiedzeniu Komitet Centralny PZPR. Było to „łódzkie robotnicze plenum". Zaproszono na nie robotników, w tym również bezpartyjnych. W dwa lata później „TRYBUNA LUDU" (nr 131 z 6 czerwca 1986 roku) zorganizowała w Łodzi dyskusję redakcyjną, której opracowanie Anny Pawłowskiej i Jana Kraszewskiego opublikowała pt. *„Żeby klasa rządząca miała świadomość swej władzy"*. W dyskusji tej wziął udział członek Biura Politycznego KC, I sekretarz KŁ PZPR — Tadeusz Czechowicz, który sformułował pod adresem uczestników szereg bardzo istotnych pytań:

— *„...dlaczego robotnicy, licznie reprezentowani w organach przedstawicielskich państwa i partii, nie wykazują należytej aktywności? Dlaczego różne działające w zakładach, a więc robotnicze, organizacje społeczne nie wykorzystują w pełni swych uprawnień? Robotnicy są często niezadowoleni z wymiaru sprawiedliwości — a co czynią ławnicy ludowi, których 25 proc. to właśnie robotnicy? Robotnicy domagają się zaostrzonej walki ze złem, z patologią społeczną, czy są równie krytyczni wobec zła we własnych zakładach — wobec kradzieży, marnotrawstwa, pijaństwa? Dlaczego robotnik odczuwa jako awans „przejście do biura", a nie mistrzostwo w zawodzie?"*

Wprawdzie uczestnicy dyskusji nie odpowiedzieli wprost na wszystkie pytania, ale ich opinie dają wielekroć odpowiedź pośrednią. Oto te

OPINIE ROBOTNIKÓW

którzy brali udział w dyskusji „Trybuny Ludu".

Zbigniew Kozirów („Polfa" Pabianice): — *„Pokazuje się przykłady strasznego marnotrawstwa w TV, w prasie. I nie zawsze wiadomo, jak winni zostali ukarani. To nie jest z naszej strony chęć zemsty. Robotnik chce tylko odpowiedzialności i konsekwencji"*.

Helena Cieślińska („Lenta" Łódź): — *„System płacowy jest jednak ciągle jeszcze nastawiony przede wszystkim na zwiększanie wydajności, co sprawia, że robotnicy zwracają mniejszą uwagę na dokładność, na oszczędzanie surowca"*.

Zdzisław Białasiński („Iwona" Łódź, członek IRCh): — *„...stawialiśmy sporo pokontrolnych wniosków o wyciągnięcie konsekwencji służbowych wobec źle pracujących kierowników, niegospodarnych dyrektorów. I jakoś mało o tym słychać"*.

Jadwiga Nowakowska („Femina" Łódź, członek KC PZPR, poseł na Sejm PRL): — *„Robotnicy zgłaszają wiele uwag, wskazują co źle idzie, chcą lepszego. Ale czy na długo starczy cierpliwości, odwagi skoro kierownicy, przełożeni nie reagują?"*

Wiesław Ceran (WZPB 1 Maja Łódź): — *„Trzeba zrozumieć robotnika. Przecież my wiemy, co mówimy na zebraniach, konferencjach, spotkaniach z przedstawicielami władzy. Ale często jest tak, że ludzie na stanowiskach nas „ścinają". To odbiera ochotę do publicznego zabierania głosu"*.

Zdzisław Białasiński („Iwona" Łódź): — *„...administracja jakby od nas odskoczyła. Jakoś oderwała się od robotników i dlatego nie wie, co w trawie piszczy. Jest to pierwszy ostrzegawczy dzwonek, aby naszych towarzyszy partyjnych na stanowiskach przywołać do porządku. Żeby zrozumieli, że pełnią te funkcje z naszej, partyjnej rekomendacji"*.

Maurycy Ignaczewski („Teofilów" Łódź): — *„W pojedynkę czasem strach. Partia ma obowiązek ich ośmielać, wspierać. Partia powinna w imieniu robotników stawiać pytania kierownictwu, przypierać je do muru. Obserwuję dużo chęci spotykania się z kierownikami i rozmawiania. Nie tylko o pieniądzach, także o narzędziach, o częściach zamiennych"*.

Takie są opinie robotników zacytowane tu oczywiście z konieczności w wyborze tylko, ale też określające poglądy poszczególnych przedstawicieli klasy robotniczej na niektóre aktualne problemy naszej współczesności. Czy na tej podstawie można już powiedzieć,

JAKA JEST WSPÓŁCZESNA KLASA ROBOTNICZA?

Próbę odpowiedzi na to pytanie podjął w „ŻYCIU WARSZAWY" (nr 131 z 6 czerwca 1986 roku) Leszek Gilejko w artykule pt. „Robotnicy a postęp społeczny". Uważa on, że w środowisku robotniczym dokonały się liczne przemiany. Na ogół wiemy, jakie to są przemiany: migracja ze wsi i z tego powodu część klasy robotniczej ma pochodzenie społeczne chłopskie, są więc te grupy robotnikami w pierwszym pokoleniu, część rozwija najlepsze tradycje robotnicze, a wszyscy razem kształcą się. Rośnie więc poziom wykształcenia współczesnej klasy robotniczej. *„Znacznie ponad 40 proc. robotników* — pisze Leszek Gilejko — *a w przemyśle ponad 50 proc. posiada wykształcenie ponadpodstawowe, najczęściej zawodowe"*. Poziom wykształcenia robotników wzrósł znacznie właśnie w latach siedemdziesiątych, *„kiedy zbiorowość młodych, 20—30-letnich robotników zaczęła się stawać najliczniejsza"*. Można więc bez przesady powiedzieć, że w rozwoju klasy robotniczej dokonały się liczne zmiany ilościowe, które musiały doprowadzić do zmian jakościowych.

Fakt ten dostrzeżono już na IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR i dlatego w Uchwale IX Zjazdu znalazły się między innymi takie sformułowania:

„...w wyniku 37-letniego rozwoju Polski Ludowej ufbrmowało się w naszym kraju nowe społeczeństwo, a przede wszystkim nowa jakościowo klasa robotnicza, dysponująca poważnym zasobem wiedzy technicznej i społecznej. W tej nowej i młodej klasie robotniczej narastały aspiracje do współrządzenia zakładem pracy i krajem, aspiracje wykształcone na gruncie ideologii socjalistycznej".

Jeśli więc mówimy czasem o *„młodej klasie robotniczej"*, to jedynie i tylko w tym sensie. Owa młodość nie jest i nie może być przeciwstawieniem wiekowej tradycji klasy robotniczej, jej rewolucyjnej walce o wyzwolenie narodowe i społeczne, jej walce o wyzwolenie spod okupacji. Badania socjologiczne wykazują istnienie *„silnych więzi środowiskowych"* i to zarówno wśród starszych robotników, jak i wśród młodych. Ta *„młodość"* — jeśliby upierać się już przy tym mało wprawdzie precyzyjnym terminie — decyduje o dynamizmie klasy robotniczej, poziomie i stanie jej świadomości, a także o jej postępowości.

„W naszych obecnych warunkach — pisze Leszek Gilejko — *podstawowym kryterium postępowości jest stosunek do reform, w tym do reformowania gospodarki w szczególności"*.

Ale przecież wiadomo że stosunek do reformy gospodarczej — niezależnie od jej faktycznych wyników — jest zróżnicowany. Dotyczy to również robotników. *„Podział na zwolenników i przeciwników reform przebiega oczywiście* — pisze dalej Leszek Gilejko — *nie tylko w układzie międzywarstwowym, ale występuje także wewnątrz klas, warstw i innych grup społecznych. Podział ten dotyczy także środowiska robotniczego"*. Badania socjologiczne wśród robotników wykazują, że 47 proc. opowiada się za reformą, a *„nieco ponad 30 proc. opowiada się nawet za najbardziej drastycznymi mechanizmami ekonomicznego wymuszania"*, ale *„nieco ponad 50 proc. opowiada się za łagodniejszymi wariantami reformy"*. Otóż są oni za preferowaniem następujących celów: *„pełne zatrudnienie, opieka społeczna ze strony państwa, niezbyt duże zróżnicowanie dochodów"*.

Autor zastrzega się, że jeśli nawet takie postawy *„mogą być wykorzystywane przez ideologów dogmatyzmu i sympatyków biurokracji do występowania przeciw reformie, to nie można ich nazwać po prostu postawą zachowawczą"*. W tradycji robotniczej, w robotniczym rozumieniu socjalizmu, zawsze zawierał się duży ładunek egalitaryzmu, co nie oznacza, że robotnicy nie szanują specjalistów, nie mają do nich zaufania, nie uznają, że specjaliści powinni zarabiać więcej i żyć lepiej.

„Nie można przecież powiedzieć — pisze dalej Leszek Gilejko — *że robotnicy w swojej przeważającej większości nie czują się przede wszystkim klasą pracującą, że uważają, iż mają wielki wpływ na sprawy publiczne. Nie tyle jest więc to zagrożenie dla reform, co fakt, że reformowanie gospodarki nie może abstrahować od kontekstu społecznego, ostrym regułom ekonomicznym muszą towarzyszyć duże uprawnienia organizacji robotniczych"*.

Robotnicy w swojej zdecydowanej większości rozumieją rolę, jaką spełniają w społeczeństwie, w jego rozwoju. Na ogół zdarza się posądzanie robotników, że unikają rzetelnej pracy, „migają się", „bumelują". Bywa i tak, ale w większości chcą dobrze pracować, a *„najczęściej formułowanym przez robotników postulatem, żądaniem wręcz, jest poprawa organizacji pracy"*. Tylko że żądanie to powtarza się od lat, a skutki są ciągle mniejsze od oczekiwań i potrzeb. Kto ma zapewnić dobrą organizację pracy? Właśnie specjaliści! Spotkałem się niedawno z takim poglądem, że to, co często bierze się za nastroje antyinteligenckie jest po prostu krytyką wadliwie organizowanej pracy dla robotników. Trudno byłoby powiedzieć, że jest to pogląd pozbawiony racji.

LUCJAN BOGUSZ

P.S. Sześć do zera w meczu Danii z Urugwajem nie zmienia mego poglądu na poziom gry drużyn z Afryki i Azji.

L. B.

NA WŁASNY RACHUNEK

Na poboczu drogi

Po raz któryś z rzędu jesteśmy świadkami smutnego finału czyichś antypaństwowych poczynań, a zarazem (jak sądzę) rozwiania się kolejnych złudzeń, że są to działania wiodące ku pomyślnej przyszłości narodu. Mam na myśli aresztowanie kilkorga osób z kierownictwa opozycyjnego podziemia i postawienie przed sądem dwóch pracowników krakowskiej komunikacji za świadome uszkodzenie części autobusów.

I wcale nie dlatego jeden i drugi finał określam jako smutny, że winowajcom powinęła się noga (co musiało się stać prędzej czy później), ale dlatego, że tak uparcie i bezrozumnie trwonili siły i energię w błędnym kierunku na poboczu normalnego życia.

Istota ich nieuniknionej klęski polega bowiem na zupełnie obłędnej, oderwanej od realiów życia ocenie celów i dążeń większości społeczeństwa, którego chcieliby być przywódcami, uważając przyjęcie lojalnej postawy obywatelskiej wobec oficjalnej władzy za narodową „zdradę".

Nie uważam bynajmniej, że większość Polaków, borykających się jeszcze z rozlicznymi trudnościami codziennego bytu, udziela obecnemu rządowi entuzjastycznego i bezkrytycznego poparcia. Ale z pewnością jestem bliższy prawdy niż fanatyczni opozycjoniści, którzy często wyobrażają sobie, że ogół rodaków nie dostrzega osiągniętego z takim trudem — w ciągu ostatnich czterech lat — pewnego stopnia stabilizacji warunków życia i umocnienia poczucia zbiorowego bezpieczeństwa, wskutek czego gotów byłby te skromne, lecz niewątpliwe dobra narazić na ryzyko politycznej awantury na największą skalę.

Nieraz się nad tym zastanawiam, skąd bierze się taki błąd politycznej „optyki" i przypuszczam, że przynajmniej jedna z przyczyn jest dość łatwo uchwytna. Otóż zdeklarowani opozycjoniści, mający poczucie „narodowej misji" do wypełnienia, przejawiają często znacznie większą aktywność i agitacyjną wobec partnerów rozmów i dyskusji (np. przygodnych współtowarzyszy sklepowej kolejki czy podróży pociągiem), niż ludzie przekonani o słuszności wyboru drogi, którą obrały obecne władze Polski Ludowej, począwszy od IX Zjazdu partii. Pomimo tego niesklonni są do wdawania się w dyskusję z „nawiedzonymi", w przeświadczeniu, że dzieli ich od tamtych przepaść niezrozumienia i niechęci, której doraźna rozmowa nie zdoła zasypać, szkoda więc psuć sobie nerwy daremnym strzępieniem języka.

Opozycjoniści są także głośniejsi niż ta ogromna masa ludzi zobojętniałych politycznie i zatroskanych swoimi codziennymi kłopotami (albo zaabsorbowanych robieniem interesów), Ci więc, owszem, przytakują przez grzeczność lub z braku argumentów. Ostatecznie, tylko nieprzejednani demonstrują hałaśliwie swoje stanowisko, co stwarza pozór, iż jest ich znacznie więcej niż w rzeczywistości. I z tych właśnie fałszywych domniemań, że ogół Polaków spragniony jest przede wszystkim walki z władzą mogą czerpać siły opozycjoniści do wypełniania swojego „posłannictwa".

Pomijam tu motywy zupełnie niskie i prymitywne, jak choćby materialne korzyści z uprawiania działalności antypaństwowej, przybierającej często charakter agenturalny, czego mamy aż nadto liczne dowody. Uważam jednak, że zawsze godniejsi uwagi niż karierowicze i oportuniści są ludzie podatni na motywację ideową i nawet jeśli w danym momencie odnoszą się do naszej rzeczywistości nieprzyjaźnie, warto czynić starania, by ich przekonać i pozyskać.

A praktyczna konkluzja byłaby chyba taka, że wygodnictwo i bierność zamiast angażowania się w polemikę z przeciwnikami socjalizmu (często jest to brak odwagi cywilnej) skrzywiając obraz rzeczywistych poglądów i postaw społeczeństwa stwarzają pośrednio moralną zachętę do podejmowania działań antyustrojowych. I kto ma świadomość, że działania destrukcyjne, destabilizujące obecne życie społeczno-polityczne i osłabiające gospodarkę nie stanowią (nie tylko w bliskiej, ale i w dalekiej perspektywie) właściwej drogi ku „świetlanej przyszłości", gdyż niweczą podejmowane wysiłki naprawy, ten powinien też zdawać sobie sprawę, że obowiązuje nas wieloraka nieustanna aktywność.

Nie wahajmy się mówić pełnym głosem, kłaść jawnie swój podpis pod przedzjazdowym programem partii, który wprawdzie nie obiecuje szybkich i łatwych sukcesów, ale wskazuje jedyną realną drogę zreformowania życia kraju. Jest to szansa, której nie wolno zaprzepaścić. Obyśmy mieli jak najmniej smutnych wypadków lądowania na poboczu historii.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

W najbliższych numerach „Odgłosów" ukażą się między innymi:

● Reportaże: ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO ze Szwecji, ROMANA KUBIAKA z Białej Rawskiej, RYSZARDA NAKONIECZNEGO z Meksyku, LUDWIKA GEBELA z kilku krajów Azji i WITOLDA WERNERA ze Stoków.

● Artykuły: GRZEGORZA MATUSZAKA z uwagami adresowanymi do delegatów na X Zjazd PZPR, MARIANA PODLASZEWSKIEGO z próbą odpowiedzi na pytanie, skąd się biorą wypaczenia.

Poza tym:

● dalszy ciąg rozważań EDMUNDA LEWANDOWSKIEGO o ewolucji stanowiska Kościoła katolickiego do różnych ustrojów politycznych;

● dalsze relacje MIECZYSŁAWA F. RAKOWSKIEGO z wydarzeń 1981 roku, czyli fragmenty drugiej części książki „Czasy nadziei i rozczarowań";

● kolejny odcinek notatek EDMUNDA TULKI o aferze Ali Agcy i Siergieja Antonowa, czyli o historii wielkiej kompromitacji.

● Obszerne felietony BOGDY MADEJ o piłce nożnej w Meksyku.

EDMUND LEWANDOWSKI

(1)

Od Jezusa do Jana Pawła II

Francisco de Zurbarán. Św. Laurenty. 1636

„*To Ewangelia Jezusa Chrystusa uczyniła ze mnie marksistę. Jestem marksistą, który wierzy w Boga*" Autorem tego niezwykłego i u nas pewnie szokującego wyznania jest Ernesto Cardenal — ksiądz katolicki, zakonnik trapista, najwybitniejszy poeta Ameryki Środkowej — minister kultury w rewolucyjnym rządzie Nikaragui W tym radykalnym i antyimperialistycznym rządzie kapłanami są również ministrowie spraw zagranicznych — Miguel d'Escoto oraz oświaty — Fernando Cardenal. Podczas pobytu w Nikaragui papież Jan Paweł II często napotykał hasło: „*Nie ma sprzeczności między chrystianizmem a rewolucją*" Widniało ono na transparentach i było skandowane przez tłumy. W Ameryce Łacińskiej, gdzie księża często są radykalni i postępowi, nikogo nie dziwią próby połączenia chrześcijaństwa z myślą marksistowską i ruchem rewolucyjnym.

Ale czy rzeczywiście można znaleźć w chrześcijaństwie inspiracje prosocjalistyczne? Czy w tradycji Kościoła rzymskokatolickiego są jakieś elementy ideologiczne zbliżone do marksizmu? Czy katolicy mogą współpracować z marksistami? Na pytania te usiłuję odpowiedzieć w niniejszym artykule.

Pod pojęciem ideologii rozumie się zwykle pewną doktrynę społeczno-polityczną, zawierającą poglądy i preferencje ustrojowe jakiejś grupy. Tutaj będzie zarysowana ideologia głoszona oficjalnie przez Kościół i jego dostojników. Ulegała ona jednak istotnym zmianom w poszczególnych epokach. Kościół bowiem przystosowywał się zawsze do aktualnych warunków i dlatego w swych długich dziejach popierał różne ustroje.

Według ewangelisty Mateusza założycielem Kościoła był sam Jezus Chrystus. Powiedział mianowicie do apostoła Piotra: „*Ty jesteś Skałosz (Petros) i na tej skale ja zbuduje swoje zgromadzenie (ekklesia) i nie przemogą go bramy Hadesu*" (Mt. 16,18).

Miał on wtedy na myśli gminę złożoną tylko z ludności żydowskiej, ponieważ zalecał takie traktowanie osób lekceważących jej wolę, jak nie-Żydów i poborców skarbowych (celników). Z relacji biblijnej wynika, że dopiero po śmierci i zmartwychwstaniu miał ukazać się uczniom i polecić im, żeby nauczali i chrzcili „*wszystkie ludy*". (Mt. 28,19).

KOMUNIZM WCZESNOCHRZEŚCIJAŃSKI

Jak wyobrażał sobie Jezus własne Zgromadzenie wiernych, czyli swój Kościół? Z tekstów ewangelicznych wynika, że był zwolennikiem wspólnoty społecznej i duchowej skupiającej ludzi, którzy wyrzekli się własności prywatnej i zrezygnowali z pogoni za bogactwem, władzą i sławą. Członkowie wspólnoty mieli miłować się jak bracią, nie sprzeciwiać się złu, wybaczać wszystkim winy, nie żywić do nikogo urazy, przestrzegać przykazań moralno-religijnych.

„*Nikt z was* — mówił Jezus — *kto nie wyrzeka się wszystkiego, co posiada, nie może być moim uczniem*" (Łk. 14,33) Toteż apostołowie porzucili swój dobytek i prowadzili wspólną kasę. Zdaniem Jezusa naprawdę religijne i moralne mogą być jedynie osoby wolne od trosk związanych z posiadaniem i zdobywaniem majątku W życiu ludzkim potrzeby duchowe są ważniejsze od materialnych. Szczęście człowieka zależy przede wszystkim od stanu ducha, a nie od stanu majątkowego. Prawdą ta jest „*dobrą nowiną*" (euangelion) dla ludzi biednych i prostych, gdyż im łatwiej niż bogatym zmienić się wewnętrznie i wejść do „*królestwa Bożego*". W słynnym Kazaniu na Górze jako szczęśliwych (błogosławionych) wymienił Jezus: ubogich, smutnych, łagodnych, pragnących sprawiedliwości, miłosiernych, czystego serca, wprowadzających pokój, cierpiących za sprawiedliwość Ostrzegł zaś bogatych, sytych, śmiejących się i chwalonych A w innym miejscu stwierdził, że kiedyś „*pierwsi*" staną się ostatnimi, a „*ostatni*" pierwszymi.

Czy Jezus Chrystus był rewolucjonistą i komunistą? Zarzucono mu wprawdzie, że „*podburza lud*" i został skazany jako buntownik polityczny, ale zasadniczo nie dążył do zmiany ustroju, chciał tylko odmienić życie duchowe. Nie wzywał do rewolucji społecznej, lecz moralno-religijnej, natomiast w swoim Zgromadzeniu wyraźnie preferował elementy komunistyczne. Dlatego w Kościele pierwotnym panował ustrój komunistyczny: zniesiono własność prywatną i wprowadzono społeczną, stosowano zasadę podziału według potrzeb, organizowano wspólne posiłki.

W Dziejach Apostolskich czytamy na ten temat: „*Ci wszyscy, co uwierzyli, przebywali razem i wszystko mieli wspólne. Sprzedawali majątki i dobra i rozdzielali je każdemu według potrzeby*" (Dz. 2,44—45). W sprawie urządzania wspólnych posiłków, by dokładniej wyjaśnić obyczaje chrześcijan, jakiś nieznany apologeta z końca II wieku zaznaczył: „*Uznają wspólnotę stołu, lecz nie wspólnotę łoża*".

Niektórzy chrześcijanie wierzyli, że Jezus niebawem przyjdzie powtórnie na świat i utworzy królestwo Boże, dlatego nie chcieli pracować Skupiali się na modlitwach i wyczekiwali rychłego zbawienia. Przeciwko takim postawom wystąpił św. Paweł. „*Kto nie chce pracować* — podkreślał — *niech też nie je*" (2 Tes. 3,10).

AKCEPTACJA SYSTEMU NIEWOLNICZEGO

Początkowo Kościół chrześcijański skupiał niewielkie grono samych Żydów i to przeważnie z Galilei, ale dość wcześnie zaczęli przystępować także nie-Żydzi (poganie) i działalność apostolską rozszerzono na inne kraje Cesarstwa Rzymskiego. Wiązało się to jednak z pewnymi zmianami doktrynalnymi. Kościół przystosował się do niewolniczego ustroju antycznego i odchodził od radykalizmu Jezusa. Wyrazem tego były: kategoryczna akceptacja niewolnictwa, podporządkowanie kobiety mężczyźnie i wezwanie do uległości wobec każdej władzy.

W znanych listach św. Pawła do Efezjan, Kolosan, Tymoteusza i Tytusa znajdujemy apele i nakazy w stosunku do niewolników chrześcijan, aby wiernie i wzorowo służyli swym pogańskim i chrześcijańskim panom. Czytamy tam, że niewolnicy powinni tak gorliwie spełniać swe obowiązki, jak gdyby wypełniali je wobec samego Chrystusa. I również w liście przypisywanym św. Piotrowi spotykamy zdecydowane żądanie: „*Niewolnicy! Z całą bojaźnią bądźcie poddani panom nie tylko dobrym i łagodnym ale również surowym. To się bowiem podoba Bogu, jeżeli ktoś ze względu na sumienie uległe Bogu znosi smutki i cierpi niesprawiedliwie*" (1P 2,18—19).

W pierwszych wiekach przywódcy Kościoła rzadko kwestionowali zasadę niewolnictwa. Traktowali tę instytucję jako konieczność ekonomiczną, pozostającą w zgodzie z wolą Bożą. Ale tak stanowcze nawoływanie niewolników do posłuszeństwa i gorliwości oznaczało wyraźny krok wstecz i zwrot w ideologii chrześcijańskiej Jezus przecież nigdzie nie dawał tego rodzaju przykazań.

Nie zgodziłby się on też chyba na poddanie kobiet mężczyznom. Jak wynika z Biblii, chętnie przebywał w towarzystwie kobiet i był dla nich dobry i wyrozumiały, one zaś okazały się wierniejsze od apostołów. Natomiast św Paweł podkreślał, że „*mężczyzna nie został stworzony dla kobiety, lecz kobieta dla mężczyzny*" (1 Kor. 11,9). Będąc — jego zdaniem — „*obrazem i chwałą Boga*" oraz „*głową kobiety*" mężczyzna ma prawo udziału w nabożeństwie z odkrytą głową. Kobieta z kolei — na znak poddania — winna przebywać w kościele z głową nakrytą. Zwyczaj ten obowiązuje do dziś, z tym jednak, że błędnie sądzi się, że kobiety mają przywilej niezdejmowania nakryć głowy, podczas gdy naprawdę jest to ich biblijny obowiązek.

W niekorzystnym dla kobiet duchu często wypowiadali się później dostojnicy Kościoła Na przykład św. Augustyn w uroczystej przemowie do mężczyzn podkreślał: „*Ty jesteś panem, ona niewolnicą! Bóg stworzył was oboje, ale waszymi niewolnicami są wasze żony. Wy jesteście ich panami*". A współczesny jemu św. Hieronim twierdził: „*Wszelkie zło pochodzi od kobiet*". Ta antyfeministyczna obsesja utrzymała się przez wiele wieków, aby w końcu wydać owoce w postaci barbarzyńskich sądów i stosów czarownic. Niektórzy szacują, że zginęło aż sześć milionów kobiet.

Indagowany w kwestii płacenia podatków Jezus odpowiedział, że trzeba oddawać cesarzowi, to co mu się należy. Między tym ogólnikowym i raczej wymijającym stanowiskiem Mistrza, a mniej znanym poleceniem św. Pawła jest olbrzymia różnica. Apostoł bowiem nakazuje: „*Każdy niech będzie poddany władzom, sprawującym rządy nad innymi. Nie ma bowiem władzy, która by nie pochodziła od Boga, a te, które są, zostały ustanowione przez Boga. Kto więc przeciwstawia się władzy — przeciwstawia się porządkowi Bożemu. Ci zaś, którzy się przeciwstawili, ściągną na siebie wyrok potępienia*". (Rz. 13, 1—2). W odpowiednim przypisie do Biblii Tysiąclecia wyjaśniono, że słowa te należy traktować jako autentyczne i mające zawsze obowiązywać.

Inny autor Nowego Testamentu ujął sprawę krótko: „*Wszystkich szanujcie, braci miłujcie, Boga się bójcie, króla czcijcie*" (1P 2,17). Nie trzeba tłumaczyć, jak wygodne to były formuły dla różnych władz, jak sprzyjały nadużyciom i serwilizmowi. Na ich podstawie Kościół spełniał zdecydowanie konserwatywną rolę w historii.

Począwszy od przełomu II i III wieku do Kościoła chrześcijańskiego coraz częściej zaczęli przystępować ludzie z klas wyższych. Zmieniała się więc struktura społeczna wyznawców. To zaś — jak słusznie zauważył ksiądz prof. Mieczysław Żywczyński — wpływało na łagodzenie ideologii. Z czasem przestano odrzucać własność prywatną i wycofano się z doktryny i organizacji komunistycznej Przyjęto pogląd, że złem jest nie tyle własność prywatna, co posiadanie w nadmiarze.

W IV wieku, od panowania Konstantyna Wielkiego, Kościół uzyskał wolność i poparcie ze strony państwa. Przyczyniło się to do szybkiego wzrostu liczebnego chrześcijan. Dawniej trzeba było ukrywać swą przynależność do Kościoła, a teraz — poza epizodycznymi prześladowaniami na początku lat sześćdziesiątych — chrześcijanie cieszyli się z tolerancji i protekcji. Tę zaskakującą zmianę w polityce władz Mieczysław Żywczyński wyjaśnia następująco: „*Cesarze rzymscy pogodzili się wreszcie z chrześcijaństwem, bo przestało być radykalne pod względem społecznym, przestało być wrogiem porządku społecznego*". Aż doszło do tego, że biskup Cyru, Teodoret z Antiochii (393—458), wsławił się wielce znamiennym powiedzeniem: „*Trzeba podziwiać Boga, że tak mądrze urządził świat, dając jednym bogactwa, innym pracowitość*". I przekonywał w dodatku, że podział na biednych i bogatych jest nie tylko sprawiedliwy, lecz także korzystny dla ubogich i służących panom.

FEUDALIZACJA KOŚCIOŁA

Upadły pod ciosami barbarzyńców niewolniczy ustrój Rzymu został zastąpiony przez system feudalny. W ślad za tym uległa dalszym przekształceniom doktryna Kościoła. Chrześcijaństwo stało się teraz po prostu ideologią feudalizmu. Uznało ten ustrój za wyraz „*porządku bożego*" w świecie

W okresie średniowiecza Kościół stanowił uniwersalną organizację najwyższego rzędu, w ramach której funkcjonowały poszczególne państwa chrześcijańskie. O potędze politycznej Kościoła decydowały przede wszystkim olbrzymie dobra ziemskie i słabość władców świeckich. Już pod koniec VII wieku w państwie Franków jedna trzecia ziemi była w rękach duchowieństwa, a później majątki kościelne i klasztorne należały do najlepiej zagospodarowanych. Potężny i bogaty Kościół był w zasadzie superpaństwem, z jednolitym językiem łacińskim, a równocześnie w państwach feudalnych królowie mieli dość ograniczoną władzę. Pozycji i wpływom Kościoła sprzyjało rozdrobnienie polityczne feudalizmu.

Społeczeństwo feudalne składało się z trzech zasadniczych stanów: duchownego, rycerskiego i chłopskiego (oratores, bellatores i aratores) Ten trójczłonowy podział wydawał się teologom logiczny, sprawiedliwy i święty. Jeden był Bóg w trzech osobach i jedno społeczeństwo złożone z trzech części. Przyjmowano, iż taki podział funkcji, że jedni modlą się, drudzy wojują, a trzeci pracują, jest najbardziej sensowny. Dlatego stany powinny działać solidarnie. Jeśli każdy z nich będzie wzorowo spełniać swoją rolę, wtedy w świecie zapanują prawo i pokój.

W paradygmacie tym, jak łatwo zauważyć, nie ma miejsca dla stanu mieszczańskiego. Stąd trudno się dziwić, że pewien kaznodzieja angielski z XIV wieku doszedł do następującego wniosku: „*Bóg stworzył duchownych, rycerzy i rolników; szatan zaś mieszczan i lichwiarzy...*".

System społeczny feudalizmu zbudowany był na kształt piramidy schodkowej. U podstaw znajdowali się chłopi poddani, a na szczycie papież, cesarz i królowie. W kościołach głoszono, że hierarchia ziemska jest odbiciem niebieskiej i pochodzi od Boga, że nie może być równości na ziemi, jeśli nie ma jej nawet w niebie. Na szczycie piramidy w królestwie niebieskim znajdował się Bóg, a niżej aniołowie podzieleni na dziewięć „chórów" i rozmieszczeni na różnych poziomach w zależności od stopnia doskonałości. I tak — pierwsze miejsce na drabinie anielskiej zajmowali Serafinowie, a następne szczeble kolejno tworzyli: Cherubini, Trony, Państwa, Moce, Potęgi, Księstwa, Archaniołowie, Aniołowie.

Mimo usankcjonowania hierarchii, w ideologii i społeczeństwie średniowiecznym występował silny — popierany przez Kościół — duch kolektywizmu. Panowała zasada prymatu wspólnoty wobec jednostek i powszechności wobec indywidualności. W zasadzie każda jednostka podporządkowana była jakiejś grupie i stanowiła jej organiczną cząstkę. Największą karą była ekskomunika, czyli wyłączenie ze wspólnoty społeczno-religijnej. Z jednej strony istniały duże dystanse i bariery międzystanowe, a z drugiej — solidne więzi wewnątrz różnych związków, bractw, komun miejskich, cechów, wspólnot gminnych itp. Ludzie mieli mało wolności i podmiotowości, lecz za to spore poczucie bezpieczeństwa.

W ustroju feudalno-chrześcijańskim nie znano w pełni rozwiniętej własności prywatnej, lecz istniała „*własność podzielona*". Chłop był tylko użytkownikiem ziemi, która należała do jego pana, ale ten z kolei otrzymał ją od swego seniora. Każdy z nich miał określone prawa do ziemi, a żaden nie był jej prywatnym właścicielem. Formalnie obowiązywała zasada, że ziemia winna służyć wszystkim.

W podejściu tym — i kolektywistycznym duchu — uwidaczniały się ideały ewangeliczne. Najwięcej z nich urzeczywistniono w klasztorach, gdzie zwykle panował ustrój komunistyczny W niektórych zgromadzeniach w ogóle nie wolno było używać słów „*mój*" i „*twój*", lecz należało mówić „*nasze*" i zastanawiano się nawet, czy ciało mnichów jest ich osobistą czy wspólną własnością.

Trzeba tu jeszcze dodać, że ideologia chrześcijańska funkcjonowała wówczas jako jedynie prawdziwa, a kryteria ideowo-religijne decydowały o wszelkiej karierze. Także na uniwersytetach wszyscy profesorowie i studenci musieli należeć do Kościoła — o żadnym pluralizmie nie było mowy, zaś tych, co myśleli inaczej brano na tortury i posyłano na stosy. System feudalno-kościelny miał charakter totalitarny.

PRZECIW POSTĘPOWI

Począwszy od XVI wieku odbywał się szybki rozwój mieszczaństwa i układu kapitalistycznego. W przeciwieństwie do feudalno-katolickiego sposobu życia, mieszczanie wysoko cenili pracę, czas i pieniądze. Nie odpowiadał im też dotychczasowy kolektywizm. Pragnęli wolności i prywatności. Jednak walka z dawnym porządkiem toczyła się bardzo długo. Pierwsze starcie miało miejsce w okresie Odrodzenia, kiedy szeroko nawiązywano do przedchrześcijańskiej myśli antycznej, rozwijano systemy humanistyczne i kwestionowano zasady feudalizmu. Znaczną część Europy ogarnął ruch reformacji. Protestanci wypowiedzieli posłuszeństwo Stolicy Apostolskiej, ujawnili skandaliczne błędy i wypaczenia, rzucili hasło czystości religijnej i moralnej.

Wobec takiego rozwoju wydarzeń Kościół przystąpił do zdecydowanej kontrofensywy i obrony zagrożonej kultury dworsko-kościelnej: utworzono nowy zakon Towarzystwa Jezusowego, powołano najwyższy trybunał inkwizycyjny, wprowadzono indeks ksiąg zakazanych czyli prohibitów. W atmosferze szpiegostwa, denuncjacji i terroru polowano na heretyków i przeciwników ustroju. Słynny biskup Bossuet (1627—1704) głosił: „*Heretykiem jest ten, kto ma własne zdanie i kieruje się własną myślą i własnym uczuciem*".

Gdy na kontynencie europejskim nastąpiły ponure czasy kontrreformacji i wojen religijnych ciekawą próbę realizacji dawnych ideałów chrześcijańskich podjęto w Nowym Świecie. W 1610 roku powstało na terytorium Paragwaju pierwsze w historii państwo komunistyczne, założone przez jezuitów wśród indiańskich plemion Guaranów. Ta chrześcijańska republika komunistyczna dość nieoczekiwanie przetrwała aż do 1768 roku, czyli ponad 150 lat. W społeczeństwie skupiającym przeszło 100 tysięcy Indian nie było własności prywatnej, handlu i pieniądza. Ziemia, inwentarz żywy, warsztaty rzemieślnicze i domy mieszkalne stanowiły własność społeczną. Pracować musieli wszyscy, a dobra rozdzielano według potrzeb (liczebności rodzin). Ksiądz katolicki Clovis Lugon pisze, że „*ojcowie po raz pierwszy wcielili w życie sens społeczny Ewangelii*". Ten śmiały eksperyment społeczny był bardzo niebezpieczny dla rodzącego się systemu kolonialnego, dlatego jezuitów w końcu wypędzono, a ich dorobek zaprzepaścili wspólnie inni zakonnicy i administracja hiszpańska.

Po okresie kontrreformacji i baroku przyszła w Europie epoka Oświecenia, której ukoronowaniem była Wielka Rewolucja Francuska. I odtąd stopniowo w różnych krajach torowały sobie drogę nowe zasady ustrojowe, dokonywał się postęp społeczny. Kościół jednakże nadal bronił starego porządku, a po upadku Napoleona Bonaparte z entuzjazmem przyłączył się do ruchu kontrrewolucyjnego.

Papież Grzegorz XVI odrzucał propozycje jakichkolwiek reform i stanowczo potępiał „*bezwstydne*" wolności sumienia, wyznania, prasy i zebrań. W chwili jego śmierci w 1846 roku — jak pisze historyk katolicki Pierre Pierrard — „*Kościół rzymski przypominał przylądek zagrożony ze wszystkich stron, ostatni bastion ancien regime'u*". Zdaniem tego autora, w XIX wieku słowa „*katolik*" i „*liberał*" uchodziły za wzajemnie wykluczające się, a wyrażenie „*katolik liberalny*" uważano za najbardziej niebezpieczne i diaboliczne.

Ciekawą ilustrację typowego wówczas reakcyjnego myślenia duchowieństwa znajdujemy w powieści Anatola France'a „Historia współczesna". Ksiądz Lantaigne — rektor seminarium duchownego był absolutnym przeciwnikiem republikańskiej formy ustroju. Utrzymywał mianowicie, że republika jest zasadniczo złą, ponieważ chce sprzecznych z wolą Boga: wolności, równości, tolerancji, demokracji, laicyzacji i różnorodności. Jego zdaniem: „*Różnorodność jest obrzydliwa. Główną cechą zła jest właśnie różnorodność. Cecha ta objawia się w rządzie republiki, który bardziej niż jakikolwiek inny oddala się od jedności*".

C.D.N.

Czasy nadziei i rozczarowań (4)

Na bakier ze zdrowym rozsądkiem

MIECZYSŁAW F. RAKOWSKI

— Istnieje pogląd, że latem 1981 roku „Solidarność" znalazła się na rozdrożu. Wewnątrz ruchu walczyły z sobą różne orientacje, działacze żarli się między sobą, sprawy prestiżowe zaczęły odgrywać już wielką rolę, a nade wszystko nie było jednolitego poglądu na taktykę i strategię ruchu. Inaczej mówiąc nie bardzo wiedziano, co dalej. Strajki stawały się coraz mniej popularne, demonstracje uliczne nie zdobywały powszechnego poklasku. Wielu działaczy „Solidarności" musiały drążyć różne niepokoje. Jakie jest Twoje zdanie o tych sprawach?

Gotów jestem uznać te spostrzeżenia za trafne, ale broniłbym się przed przyjęciem tezy o bezdrożu. Jeśli wziąć pod uwagę fakty stwarzane przez przywódców Związku, to wynika z nich, że strategiczne cele były wyraźnie określone. Na wszystkich frontach walczono z istniejącą władzą, ale z drugiej strony prawdą jest, że latem 1981 roku część działaczy i doradców „Solidarności" zadawała sobie pytanie, co dalej. Zostało ono wywołane przez sytuację.

Odpowiadając na Wasze pytanie, proponuję sięgnąć do dyskusji, jaka odbyła się w redakcji pisma pt. „Robotnik" i została opublikowana w 78 (z 28 sierpnia) numerze tego pisemka pod tytułem „W rok po sierpniu — co dalej?" Prowadził ją redaktor naczelny „Robotnika", Jan Lityński, a uczestniczyli w niej Geremek, Bugaj, Kuroń, Bujak i Milewski. Odwołuję się do tej dyskusji, ponieważ — jak mi się wydaje — jest ona dość charakterystyczna dla poglądów panujących wówczas wśród osób, które stymulowały działania „Solidarności". Zagajając dyskusję, Lityński powiedział, że „Solidarność" powoli traci punkty, bowiem „nie spełnia oczekiwań społecznych". Rozczarowani są wszyscy, również ci, którzy liczyli na to, że radykalizm ruchu doprowadzi do powstania nowych struktur, do zniesienia władzy. Jego zdaniem „Solidarności" grożą dwa niebezpieczeństwa: wzrost radykalizmu typu KPN-owskiego oraz rozprzestrzenianie się „ruchu walki o żywność", co może doprowadzić do dzikich strajków i zamieszek ulicznych. Związek, mówił Lityński, uległ już temu ruchowi. To nieprawda, że uległ. Ruch był organizowany przez regionalne kierownictwa „Solidarności", na czele których stali nie byle jacy gracze. Lityński uznał też, że „jedyną, jak się zdaje, inicjatywą Związku wychodzącą na zewnątrz po marcu był ruch samorządowy. Nie wiadomo jednak, jak miałby się on w obecny system wpisywać, a z drugiej strony jest zbyt słaby, aby przejąć władzę. Zresztą takie przejęcie władzy niesie za sobą niebezpieczeństwo anarchizacji życia gospodarczego. Nieudane są również próby tworzenia partii, głównie dlatego, że nie umieją one przedstawić własnego programu..." W istocie rzeczy, Lityński potwierdzał to, o czym mówiliśmy niemal każdego dnia. „Solidarność" była siłą zdolną jedynie do działań negatywnych, niszczycielskich. Dziś przyznają to także zwolennicy Związku.

Kuroń stwierdził, że władza, mimo iż posiada „całkiem niezły" program przezwyciężenia kryzysu, to i tak nie jest w stanie go zrealizować, ponieważ wyjście z kryzysu może być jedynie dziełem „masowego ruchu społecznego". Można powiedzieć, że właśnie w połowie sierpnia byliśmy po kolejnej rundzie „masowego ruchu", organizowanego przez regionalne zarządy „Solidarności", przy błogosławieństwie Prezydium KKP, ale chyba nie były to działania na rzecz przezwyciężenia kryzysu. Kuroń spekulując, co może w tej sytuacji zdarzyć się w Polsce, powiedział, że sądzi, iż generał Jaruzelski posiada wizję uratowania Polski za pomocą utworzenia silnego rządu wyposażonego w wojskowe środki. Gdyby do tego miało dojść, to wprawdzie, zdaniem Kuronia, Jaruzelski uzyskałby poparcie części społeczeństwa, ale napotkałby silny opór. „Po raz pierwszy, powiedział, zaczynam myśleć, że mogłaby nam grozić wojna domowa". Z tego, co wiem, w tym czasie szef rządu uważał nadal, że narastający konflikt da się rozwiązać bez uciekania się do użycia środków nadzwyczajnych. Jeden z głównych przywódców opozycji, traktujący „Solidarność' instrumentalnie, pomylił się także w prognozowaniu. Wprowadzenie stanu wojennego nie spowodowało wybuchu wojny domowej. Wcale niemała liczba obywateli przyjęła stan wojenny z nietrudną do zauważenia ulgą.

Zdaniem Geremka „nikt przy tym stole nie wie, jak wyjść z kryzysu". Co się tyczy „Solidarności", to jego zdaniem „powszechne jest dziś przekonanie, że Związek powinien być ruchem pozytywnym, takim, który bierze w swe ręce odpowiedzialność za losy kraju". Uznał, że jest to możliwe. Zwróćcie uwagę na sformułowanie: „powinien być". Nie oznacza ono nic innego jak to, że nim nie był. Bujak stwierdził, że „nasz ruch słabnie, ponieważ w tej chwili nienawiść do władzy i partii, co było siłą motoryczną ruchu, nie wystarcza". Jego zdaniem, członkowie Związku nie rozumieją taktyki swych władz. Upewnił się w tym przekonaniu na zebraniu w „Ursusie". „Dopiero jak powiedziałem, że wszystkie te działania samorządowe prowadzą do przejęcia władzy w gospodarce, ludzie powiedzieli, że rozumieją..." Sygnalizował także pojawienie się tendencji „do rządów silnej ręki, choćby się to miało wiązać z ograniczeniami". Słowem, pomieszanie z poplątaniem. Z jednej strony zaciekłe atakowanie władzy oraz zachęcanie członków Związku do działań destrukcyjnych, z drugiej zaś prawidłowe odczytanie nastrojów, które w tym czasie już zaczęły się w masach pojawiać. Milewski przełamanie impasu w jakim znalazł się Związek, upatrywał w samorządzie według koncepcji Sieci. Proponował także rozpoczęcie prac nad ordynacją wyborczą do Sejmu oraz mechanizmem wybierania radnych. W tym celu — dowodził — trzeba przystąpić do tworzenia partii politycznej. Inicjatywa utworzenia Polskiej Partii Pracy, powiedział, została podjęta w takim samym duchu jak utworzenie Sieci. Milewski wypowiadał się jako zwolennik utworzenia kilku partii, które będą „pretendowały do udziału w rządach". O jego koncepcjach już mówiliśmy. Zdaniem Kuronia próby zakładania partii świadczą o „mądrości i doświadczeniu". Kuroń dojrzał w nich... chęć obrony Związku przed przejmowaniem władzy... Jemu, dowodził, odpowiada koncepcja utworzenia partii, która walczyłaby o wolne wybory, a następnie o miejsca w parlamencie, ale uznał, że takiego wariantu „w żadnym wypadku nie można dziś forsować". Cóż więc należy czynić według Kuronia? Trzeba przystąpić do organizowania ruchu samorządowego zarówno w skali regionalnej jak i kraju. Cele stawiał mu ogromne. Od kontrolowania wdrażania reformy gospodarczej, poprzez czuwanie nad zaopatrzeniem rynku, aż do zajęcia się sprawami oświaty i służby zdrowia. Kuroń chciał w ten sposób stworzyć „nową strukturę władzy terenowej". Nie podważając celowości utworzenia partii politycznej, proponował, aby zrealizowanie tej koncepcji zostało poprzedzone utworzeniem ruchu klubowego. „Jestem zwolennikiem, mówił, ruchu klubowego, traktowanego jako ruch tych wszystkich, dla których program samorządowy jest politycznym programem budowy nowego systemu społecznego". Z takiego ruchu mogłyby zrodzić się partie i one dopiero dokonałyby głębokiej reformy całego systemu i zbudowały „nowy ład społeczny".

Z poglądami Kuronia polemizował dr nauk ekonomicznych, doradca KKP, Ryszard Bugaj. Kluczowe znaczenie, powiedział, ma działanie państwa. Tylko względnie mocne państwo może być „gwarantem dalszych pożyczek". Tylko państwo może stworzyć warunki dla realizacji reformy gospodarczej. Nie negując celowości tworzenia ruchu samorządowego, Bugaj stwierdzał, że nie jest on w stanie zastąpić „działań państwa". Trudno odmówić racji takiemu stwierdzeniu. Co się tyczy dyskusji na temat, czy partie będą, czy nie, to uznał ją za „trochę spóźnioną", bowiem, jego zdaniem, będą. Przestrzegał jednak przed wikłaniem Związku w inicjatywy polityczne typu partyjnego, „bo mamy obowiązek uszanować, że ludzie wstępowali do związku zawodowego". Geremek jak gdyby nie zgadzał się z Bugajem. Dowodził, że dla niego punktem odniesienia jest jednak Związek, a nie inne struktury. „Właśnie w ramach «Solidarności» jest miejsce na różne grupy programowe i formy nacisku". Geremek dzielił się z uczestnikami dyskusji swymi obawami. „Istnieje, mówił, rzeczywiste niebezpieczeństwo, że w obawie przed utratą kontaktu z masami będziemy wychodzić z radykalnymi hasłami..." Wychodzono, i to jak! Za największe niebezpieczeństwo dla Związku uznał „dynamiczną" sytuację, w której w radykalizującym się społeczeństwie Związek stałby się siłą zachowawczą, wmontowaną w posierpniowy system. Radził nie rozważać „teraz sprawy powstania partii politycznych..."

Tak dyskutowały tego gorącego lata prominentne osoby „Solidarności". Dyskusja wokół pytania, co dalej, toczyła się także na posiedzeniu Zarządu Regionu Mazowsze, które odbyło się na przełomie drugiej i trzeciej dekady września, a więc już po pierwszej turze Zjazdu „Solidarności". Przytoczę kilka myśli wypowiedzianych na tym posiedzeniu. P. Niezgodzki: „Poza reformą konieczne jest ustalenie nowych form władzy politycznej. Ekscytujemy się tutaj Sejmem, obaleniem rządu, tj. rzeczami najwyższej wagi, a powinniśmy zacząć od samego dołu, tzn. od komitetów blokowych, gminnych..."; W. Pietroń-Drechny: „Musimy przygotować ludzi do pracy w samorządzie. Do tej pory w niewielu miejscach zorganizowaliśmy szkolenie związkowe, a jest to rzecz, od której powinniśmy zacząć". Ów Pietroń-Drechny powiedział coś co zasługuje na uwagę. Nawiązując do przebiegu pierwszej części Zjazdu „Solidarności', stwierdził, że „na wszystkich zebraniach, na których byłem, musiałem tłumaczyć, dlaczego dajemy się wprowadzić w kanał polityczny, rezygnując ze spraw związkowych". Otóż to. W drugiej połowie 1981 roku rosła liczba członków „Solidarności', którzy najczęściej na swój własny użytek dochodzili do wniosku, że są już w innym Związku aniżeli ten, do którego wstąpili. W dyskusji głos zabrał także Lityński, który stwierdził, że „Społeczeństwo jest zorganizowane w «Solidarności» w specyficzny sposób: do walki z władzą, a nie do walki o władzę", a więc „jeżeli zaproponujemy «Solidarności» przyjęcie określonego programu gospodarczego, to oznacza, że Związek proponuje społeczeństwu przejęcie przez siebie władzy, narzucenie określonego programu gospodarczego i kontrola nad nim oznacza odpowiedzialność za określoną politykę gospodarczą, i właśnie tego bym się bał..." Ten Lityński w ogóle wygląda mi na dużej klasy mętniaka. Było ich zresztą niemało wśród doradców usadowionych na różnych szczeblach drabiny NSZZ. Zauroczeni tym, że są w stanie kierować wielomilionową organizacją, wyżywali się w tym i nierzadko plętli głupstwa. Młodzi robotnicy stanowiący trzon „Solidarności" chłonęli „prawdy" przez nich głoszone jak gąbka wodę. Przecież to, co mówił Lityński, było na bakier ze zdrowym rozsądkiem. Sytuacja społeczno-gospodarcza Polski domagała się współdziałania i współodpowiedzialności wszystkich sił w dziele położenia kresu procesom wyniszczającym narodowy organizm. Chodziło więc o to, aby „Solidarność" wystąpiła nie w ogóle z programem gospodarczym i nie takim, który zapowiadałby przejęcie władzy, lecz z mniejszą lub większą liczbą propozycji, które zapewniałyby realizację wspomnianej współodpowiedzialności. W wywodach Lityńskiego na szczególną uwagę zasługuje jedynie to, że „Solidarność" nie posiadała programu gospodarczego, dodajmy pozytywnego. Więc na rozdrożu „Solidarność" raczej nie stanęła, ale faktem jest, że latem 1981 roku nie brak było działaczy, którzy zaczęli tracić tę pewność siebie, jaką demonstrowali od chwili powstania Związku. Dostrzegali oni, że w sytuacji, jaka wytworzyła się w kraju, dodajmy, że przy aktywnym udziale władz Związku wszystkich szczebli, totalna negacja wszystkiego, co łączy się z Polską Ludową, atakowanie władzy na wszystkich frontach, nie dają szansy na przywiązanie do siebie na stałe większości społeczeństwa. Nie po raz pierwszy już powracam do wyników IX Zjazdu PZPR, bowiem to dzięki wytyczeniu na nim reformatorskiego kierunku rozwoju kraju coraz częściej ten i ów obywatel, spotykając się z atakami na politykę partii i rządu, zadawał sobie pytanie: czego oni jeszcze chcą? Przywódcy Związku, jeśli nawet na zewnątrz udawali, że Zjazd PZPR nie ma większego znaczenia, to intuicyjnie czuli, że coś w klimacie społecznym się zmieniło. Oczywiście, że ciągle jeszcze ujeżdżali tego konia, na którego wsiedli jesienią 1980 roku, ale była to już nieco zdyszana chabeta. Zresztą ciągłe mówienie nie i nie, też przestaje być nośne. Ale to jeszcze nie wszystko. Krytyka władzy przedsierpniowej wypełniająca działalność „Solidarności" w pierwszych miesiącach jej istnienia, zasadna w wielu przypadkach, była także wcale nierzadko bardzo demagogiczna. Jest rzeczą oczywistą, że taki kierunek krytyki inicjowany przez górę uruchamiał tysiące małych demagogów w miejscu pracy, bądź też zamieszkania, co wywoływało niechęć najbliższego otoczenia. Ludzie nie lubią krzykaczy, nawet jeśli ci udają, że walczą o szlachetne cele. Była to wcale niebiała płaszczyzna, na której Związek tracił autorytet. Coraz natarczywiej więc w gdańskiej centrali z różnych kątów wyzierało pytanie: co dalej, w jakim kierunku powinien pójść Związek?

Skoro już mówiliśmy o demagogach, to godzi się także odnotować inny, istotny fakt. „Solidarność" szermując szczytnymi hasłami jednocześnie nie mogła „wyjść ze skóry", a więc etyka jej członków była taka sama jak ogólnospołeczna. Na nią zaś, obok cech bardzo szlachetnych, wzniosłych, godnych szacunku, składają się także mniej chwalebne, jak: nietolerancja, szowinizm, agresywność, brutalność, cwaniactwo, kłamstwo, demagogia, zazdrość itp. Zwykłe ludzkie cechy. Były one właściwe także członkom „Solidarności", bo jakże mogło być inaczej? Kroniki Związku pełne są przypadków nader wstydliwych, wręcz żenujących. Okazało się np., że wcale niemała liczba działaczy „Solidarności" szybko zaczęła zabiegać o przywileje, które z wielką energią zwalczała u prominentów. Wcale nierzadkie były przypadki rozrzutnego korzystania z funduszów Związku, życia ponad stan itp. W gruncie rzeczy są to zjawiska normalne, od których nie jest wolna żadna społeczność, a zatem nie formułują aktu oskarżenia przeciwko „Solidarności", ale nie ulega wątpliwości, że obniżały one wiarygodność organizacji, która wystartowała przecież jako siła głosząca potrzebę moralnego odrodzenia narodu. Co więcej, działali przecież ideolodzy ruchu, którzy głosili szczególną etykę — etykę „Solidarności". Jest oczywiste, że miała to być etyka złożona z najwyższych wartości moralnych.

Jeśli wziąć pod uwagę wszystkie te zjawiska, to narzucał się następujący wniosek praktyczny: przywódcy powinni byli zrezygnować z jałowego krytykanctwa i mnożenia postulatów oraz odciąć się od grup najbardziej krzykliwych i prymitywnych. Czy byli w stanie zdobyć się na taki krok? Myślę, że nie, ponieważ stali się już więźniami koncepcji, które głosili przez wiele miesięcy. Jeśli przyjąć założenie, że latem 1981 roku „Solidarność' stanęła przed koniecznością wytyczenia nowych celów, czyli zastąpienia totalnej negacji programem, który odpowiadałby potrzebom kraju, to jedyną realistyczną rzeczą, jaką mogła zaproponować swoim członkom, był program wyrzeczeń i ograniczeń w dziedzinie bytu materialnego. Taki program musiałby uznać za konieczne podwyżki cen, nawoływać do rzetelnej pracy, a więc także do rezygnacji ze strajków i wszystkich innych form protestu odrywających ludzi od pracy. Na takie decyzje nie stać było jednak przywódców „Solidarności", bowiem przyjęcie pozytywnego programu wiodłoby do zaszczepienia społeczeństwu myśli, że Związek w swej obecnej postaci spełnił już swą historyczną misję i od tej chwili będzie kroczył w kierunku stania się zwykłym robotniczym związkiem zawodowym. Była to perspektywa nie do przyjęcia przede wszystkim przez ambitnych i upojonych władzą przywódców szczebla centralnego i regionalnego oraz ich doradców w rodzaju Kuronia, Michnika, Milewskiego i wielu jawnych lub mniej lub bardziej ukrytych przeciwników ustroju socjalistycznego. Wśród tych ostatnich nie brak było osób ze świata nauki, kultury, publicystyki itp. Gdyby ich zapytać, dlaczego stoją po stronie sił awanturniczych, to w wielu przypadkach okazałoby się, że nie bardzo wiedzą, z jakiego powodu im sprzyjają, bo przecież wszystko, co uzyskali, zawdzięczają epoce socjalizmu. Nie chciałbym upraszczać problemu, który z całą pewnością nie jest jednowymiarowy. Nie można np. nie brać pod uwagę roli, jaką odegrał tzw. „owczy pęd", zachłyśnięcie się złotą wolnością, która nastała itd. itp. Przypominam sobie rozmowę, jaką w sierpniu 1981 roku odbyłem z jednym z wybitniejszych polskich intelektualistów, którego twórczość z całą pewnością pozostanie w historii naszego kraju. Kiedy zarzucałem mu, że bezkrytycznie odnosi się do szkodliwych dla narodu i państwa poczynań „Solidarności", usłyszałem w odpowiedzi, że jest to głęboko przemyślany bezkrytycyzm. Jak mam to zrozumieć, zapytałem. Spróbuję to panu wytłumaczyć, odpowiedział. Ja wiem, powiedział, że „Solidarność" jest skazana na zagładę, ponieważ ci, którzy wodzą za nos dziesięć milionów ludzi, są głupcami, skoro pogardzają potrzebą rozumienia praw rządzących tym światem, ale ja uważam, że was, komunistów, święcie wierzących w to, że możecie urządzić świat według waszych wyobrażeń, korygować może tylko na oślep działająca siła. Jeśli napotkacie na swej drodze krytyków o zracjonalizowanym myśleniu, to zawsze ich przekonacie, że to właśnie wy macie rację, i w rezultacie nic nie zmienicie, a zmienić trzeba wiele. Jeśli powiem, że polemizowałem z tym poglądem, to — jak sądzę — nie zadziwię nikogo, ale jeśli ktoś chce zrozumieć skomplikowaną naturę ludzką, to musi choćby przez chwilę być psychicznie przygotowany do wysłuchania i takiego poglądu.

Ale wróćmy do istoty Waszego pytania. Wobec tego co pozostało? W istocie rzeczy dalsze pogrążenie się w bezideowej kontestacji i negacji, marsz w kierunku czegoś w rodzaju stałej „wielkiej rewolucji kulturalnej". Latem 1981 roku było już widoczne, że przewagę w myśleniu ludzi tworzących zespoły przywódcze „Solidarności" zaczęła zdobywać idea przejmowania władzy. W pierwszym etapie w gospodarce, choć jednocześnie mówiono otwarcie o konieczności opanowania rad narodowych oraz o potrzebie przygotowania się do wyborów do Sejmu, które chciano wykorzystać jako jeszcze jedną okazję do walki z istniejącą władzą. Idea przejmowania władzy była chwytliwa i do niczego nie zobowiązywała. Powtarzana, umacniała w społeczeństwie przekonanie, że całe zło polega na tym, iż istniejąca władza jest niesprawna i niezdolna do wyprowadzenia kraju z kryzysu. „Solidarność" zdawała się mówić: jeśli my przejmiemy władzę w gospodarce, a potem w życiu społecznym, to sytuacja ulegnie zmianie, oczywiście na korzyść narodu. Pomijając ambicje przywódców była to koncepcja wygodna dla wielu ludzi, ponieważ uwalniała ich w tej trudnej sytuacji od odpowiedzialności za kraj i jego losy, rozgrzeszała z udziału w strajkach, z nieróbstwa, postawy totalnej negacji itp.

— Twój wywód wydaje się być interesujący, ale chcielibyśmy zapytać Cię o czas, w którym powstał. Czy taką właśnie ocenę „Solidarności" posiadałeś już wówczas, czy też dorobiłeś się jej już później?

Nie jest to ocena, którą przyswoiłem sobie już po wprowadzeniu stanu wojennego bądź też po zejściu ze sceny „Solidarności", choć jest rzeczą zrozumiałą, że upływający czas nie był bez znaczenia w krystalizowaniu się moich poglądów na rolę, jaką wówczas w latach 1980/81 odgrywał Związek. W tym jednak przypadku posługuję się analizą i prognozą, która nosi datę 20 sierpnia 1981 roku. Nie była to wyłącznie moja ocena. Opracował ją kolektyw złożony z moich najbliższych współpracowników jak i doradców społecznych. Każdy z nas wnosił swój wkład do takiej lub innej oceny. Opinie były zróżnicowane. Tak np. przypominam sobie, że kiedy sporządzaliśmy ocenę, którą przed chwilą przedstawiłem, jeden z moich współpracowników analizując działalność „Solidarności" stwierdził, że „polityka porozumienia się skończyła". Jak wiadomo, nie przyjęliśmy tej oceny i w następnych miesiącach Jaruzelski niejednokrotnie podejmował próbę osiągnięcia porozumienia. No, ale do tego tematu jeszcze powrócimy. Teraz chciałbym jeszcze odpowiedzieć na pytanie, jakie na gruncie tej oceny były nasze przewidywania co do taktyki „Solidarności". Są one także zapisane w notatce, która nosi wspominaną datę. Otóż przewidywaliśmy, że mechanizm napędzający dążenie do przejmowania władzy będzie polegał na dalszym osłabianiu pozycji rządu poprzez strajki, groźby, wymuszania oraz torpedowanie większości rządowych posunięć. Wychodziliśmy z założenia, że ten kierunek działalności będzie się nasilał, ponieważ według naszego rozeznania przywódcy „Solidarności" wiedzieli już, że czas pracuje na ich niekorzyść. Zakładaliśmy, że w tej sytuacji będą oni ze zdwojoną energią blokować reformy, zarzucać rządowi nieudolność i stawiać wygórowane warunki polityczne. Przewidywaliśmy także nasilenie starań na rzecz całkowitego zapanowania nad zakładami pracy po to, by pozbawić władze państwa wpływu na gospodarkę. Stąd to usilne domaganie się tworzenia samorządów pracowniczych w wydaniu „Solidarności". Komentując apel KKP o przepracowanie ośmiu wolnych sobót, ale pod kontrolą samorządów, stwierdziliśmy, że „w istocie jest to sposób na utworzenie i skonsolidowanie się samorządów, które pewnego dnia po prostu, przejmą władzę w zakładach i usuną dyrektorów. Następnym etapem będą rady narodowe i Sejm". Nie przewidzieliśmy jedynie etapu nawoływania do usuwania komitetów partyjnych z zakładów pracy. Górnicki, który lubił stawiać kropkę nad „i", podczas wymiany poglądów na temat oceny, na którą się powołuję, stwierdził, że gdyby teoretycznie rzecz biorąc, przywódcom „Solidarności" udało się przejąć władzę, to pomijając międzynarodowe skutki, w życiu wewnętrznym nastąpiłoby coś w rodzaju rewolucji islamskiej, wraz z całym nieobliczalnym ładunkiem nieuczciwości, nietolerancji i zdziczenia.

Górnicki uznał, że z punktu widzenia interesów społeczeństwa i państwa, dążenie „Solidarności" do przejmowania przez samorządy przedsiębiorstw, może być ciosem śmiertelnym.

C.D.N.

Wszystko może się zapalić

Rozmowa z pułkownikiem STANISŁAWEM WOŹNIAKIEM, Komendantem Wojewódzkim Straży Pożarnych w Łodzi.

— Wieżowce wybudowane w ostatnich latach w Śródmieściu nadały naszemu miastu nieco wielkomiejskiego blichtru. Czy są to budynki bezpieczne pod względem przeciwpożarowym?

— Moim zdaniem w każdym kilkunastokondygnacyjnym biurowcu zagrożenie zdrowia, a nawet życia ludzi tam pracujących w razie pożaru jest znaczne. Niebezpieczeństwo zwiększa się gdy architekt zaprojektuje tylko jedną klatkę schodową. Na widok ognia ludzie bardzo łatwo wpadają w panikę, a wtedy na windy nie ma co liczyć.

Przykład paniki mieliśmy kilkanście miesięcy temu na łódzkim Manhattanie, kiedy to paliło się mieszkanie na jednym z wyższych pięter. Panika była zupełnie nieuzasadniona, bowiem betonowe ściany z wielkiej płyty są dostateczną barierą dla ognia i w mojej trzydziestoletniej pracy w straży nie spotkałem się z tym, aby ogień w blokach przenosił się do innego mieszkania. Ale przypominam to zdarzenie, gdyż wówczas windy zostały całkowicie zablokowane.

W biurowcach ogień może się rozprzestrzeniać błyskawicznie, ponieważ bardzo często korytarze są zabudowane szafami, w których gromadzi się papiery, na podłogach leżą chodniki, a ściany obite są boazerią.

Jeżeli ciągi wentylacyjne nie posiadają specjalnych klap przeciwpożarowych, to również są niebezpieczne. Ogień może przenosić się nimi bardzo łatwo z piętra na piętro, czyli jak my to mówimy, z jednej strefy do drugiej.

— Coś podobnego miało miejsce w czasie pożaru magazynu meblowego przy Brukowej.

— Właśnie tak. To był bardzo nietypowy, a jednocześnie szalenie niebezpieczny dla strażaków pożar. Ogień zajął głównie meble tapicerskie wypełnione pianką poliuretanową, która paląc się wydziela silnie trujące gazy.

Stąd też biorą się często ofiary w czasie stosunkowo niewielkich pożarów w mieszkaniach. Do śmiertelnego zatrucia wystarczy, aby tylko tliła się kanapa, fotel czy coś w tym rodzaju. W 1985 roku w wyniku pożarów w województwie łódzkim śmierć poniosło 26 osób, o 8 więcej niż w roku 1984, przy czym 24 osoby zginęły w lokalach mieszkalnych.

— Czy łódzka straż dysponuje odpowiednim sprzętem do gaszenia pożarów i ewakuacji ludzi z wysokich budynków?

— Dosłownie kilkanaście minut temu otrzymałem potwierdzenie dostawy do Łodzi jeszcze w tym roku nowej drabiny o wysokości 44 metry. W 1985 roku otrzymaliśmy drabinę 37-metrową.

— Do którego piętra ona sięga?

— Do dziewiątego na pewno.

— Co będzie jeżeli pożar wybuchnie na wyższej kondygnacji?

— W drabinach mechanicznych, którymi dysponujemy, zainstalowane są specjalne kosze ratownicze, nie nadające się do szybkiej ewakuacji ludzi, bowiem mieszczą naraz tylko dwie osoby. Dlatego też staramy się zamontować do koszy tak zwane rękawy ratownicze, *którymi może opuścić zagrożone miejsce znaczna liczba osób, w bardzo krótkim czasie.*

— A co z tymi, którzy są wyżej?

— Rękawy ratownicze powinny być też instalowane w samych budynkach. Niestety są to znaczne inwestycje w twardej walucie. W Katowicach zakłady pracy zafundowały tamtejszej Komendzie Wojewódzkiej Straży Pożarnych 20 pięknych podnośników 50-metrowych, na których można jednocześnie ewakuować kilkanaście osób. My takiego sprzętu nie mamy.

— Czy to znaczy, że łódzkie drapacze chmur są bezbronne?

— Wysokie budynki same muszą się bronić. W pionach powinna być dostateczna ilość wody. Na każdym piętrze hydrant przeciwpożarowy z odpowiednio długim wężem. Ponadto muszą być klapy oddymiające i odprowadzające ciepło.

Wszyscy użytkownicy budynku powinni zdawać sobie sprawę z tego, gdzie pracują i jakie mogą być konsekwencje ich niechlujstwa. Bezwzględnie należy przestrzegać przepisów. Istnieje, na przykład, obowiązek impregnowania substancjami niepalnymi wszystkich chodników, zasłon, firanek i innych palnych przedmiotów. Jest to niezwykle ważne, ponieważ utrudnia rozprzestrzenianie się ognia.

— To teoria a praktyka?

— Wie pan, nie chciałbym wywoływać wilka z lasu. Bywa tak, że wszystko jest w porządku, firanki i zasłony impregnowane, następnie idzie to do pralni i drugiego dnia wisi już coś innego, łatwopalnego. Nie nadążamy kontrolować.

— Wielkie skupiska ludzi to jedna z cech miasta. Jakie jeszcze cechy aglomeracji miejskich interesują strażaków?

— Do zbadania tego zagadnienia Komendant Główny Straży Pożarnych powołał specjalny zespół, któremu przewodniczyłem. W wyniku naszych prac powstało wydawnictwo pod nazwą: „Ochrona przeciwpożarowa w dużych aglomeracjach miejsko-przemysłowych". Zawarliśmy w nim indeks zagrożeń jakie mogą mieć miejsce. Zajął on kilka bitych stron maszynopisu. Okazuje się, że straż może być wzywana nie tylko do „klasycznych" pożarów, ale także w przypadku katastrof budowlanych, komunikacyjnych, instalacyjnych i wielu innych. W 1985 roku wyjeżdżaliśmy do pożaru około 950 razy, tymczasem do innych zdarzeń wyjeżdżaliśmy ponad 4000 razy.

Bardzo często strażacy likwidują skutki wypadków samochodowych, wyciągają ludzi z zatrzaśniętych wind, wchodzą do mieszkań przez okna, bo sąsiad nie daje znaków życia, pompują wodę z zalanych piwnic...

— Jakie pożary wywołują największe straty?

— Z tym jest bardzo różnie. Nie tak dawno wybuchł pożar w ŁZPB im. Obrońców Pokoju. Mnóstwo ognia, dymu który widać było na drugim końcu miasta. Jak się okazało płonęły stare drewniane szopy. Zanotowano straty w wysokości ośmiu milionów. Nawiasem mówiąc reporter Dziennika Telewizyjnego, poinformował o braku wody, a akurat tak się złożyło, że tam wody było pod dostatkiem.

Dwa dni później oficer dyżurny melduje, że było kilka niewielkich pożarów, w tym spaliła się jedna Toyota. Straty czternaście milionów złotych.

Pali się sklep. Interwencja nasza trwa kwadrans, a straty sięgają 10 milionów. Innym razem płonęły odpadki, z którymi walczyliśmy trzy dni. Zmęczyliśmy się, zmordowaliśmy. Wydaliśmy na ten pożar około 2 mln, a straty wyniosły 360 tysięcy złotych.

— Czy często zdarza się, że koszty akcji są wyższe od strat?

— Często nie, ale się zdarza szczególnie w przypadku udziału sekcji specjalistycznych. Jeden kilogram piany gaśniczej kosztuje ponad 100 złotych. W samochodzie jest jej 9 ton co wystarcza na dwudziestominutową pracę. Kilogram proszku gaśniczego kosztuje blisko 300 złotych, a w jednym samochodzie mamy go 3 tony. Czas pracy 8 minut. Jeden odcinek pożarniczego węża kosztuje od 15 do 17 tysięcy złotych. To są ogromne koszty.

— Panuje opinia, że w Łodzi brakuje wody. Jaka jest rzeczywistość?

— Woda jest, tylko urządzenia do jej pobierania są często w opłakanym stanie. Drugą sprawą jest mała wydajność hydrantów. Dlatego każdy większy zakład powinien posiadać własny zbiornik wody i wtedy akcja straży może być skuteczniejsza.

— Strażacy wiedzą wszystko o hydrantach w mieście?

— Każdy samochód posiada książkę, my ją nazywamy książką hydrantową, w której są zapisane adresy wszystkich ujęć wodnych i zbiorników. Nie ma natomiast informacji o tym czy zbiornik jest napełniony, czy nie oraz o wydajności hydrantów. Stąd też opracowujemy obecnie łącznie z Przedsiębiorstwem Wodociągów i Kanalizacji nowy indeks uzupełniony o kolejne dane, które będą wprowadzone do komputera. Wtedy już błyskawicznie oficer dyżurny poda drogą radiową miejsce najbliższego zbiornika, jego wydajność, drogi dojazdu, liczbę stanowisk, które można założyć.

— Elektronika wkracza do straży?

— Opracowaliśmy już dwie trzecie terenu miasta Łodzi. Obok wody do komputera wprowadzamy dane o wszystkich obiektach, a więc i o wysokich budynkach, i o zakładach przemysłowych, o zagrożeniach, konstrukcji budynków, środkach gaśniczych, drogach ewakuacyjnych, liczbie zatrudnionych na zmianie itp. System jeszcze w tym roku obejmie Łódź, w przyszłym Zgierz i Pabianice, a następnie całe województwo. Będziemy wiedzieli jaka jest zabudowa wsi, stosunki wodne, to znaczy czy można na przykład w okresie suszy liczyć na dany zbiornik czy nie.

— Jaki macie komputer?

— Jest to mikrokomputer firmy IBM. Znawcy mówią, że ma pamięć bez końca. Planujemy zbudować system mikrokomputerowy w każdej strażnicy rejonowej. Również trzy samochody zostaną wyposażone w te urządzenia. Część systemu już działa. Obecnie szkolimy strażaków, którzy będą z niego korzystać. Układ jest niezawodny bowiem właściwie będą to dwa sprzężone ze sobą komputery. W razie awarii jednego, jego funkcję przejmuje drugi. Mamy zagwarantowaną ciągłość dostaw energii elektrycznej. Prądu nie zabraknie. Naszym systemem zainteresowana jest Komenda Główna i być może zostanie on powielony w kraju.

— Mówimy cały czas o sprawności sprzętu. Powiedzmy coś wreszcie o sprawności ludzi, bo przecież od nich zależy jak to wszystko będzie działać?

— Mamy pewne kłopoty. Zawód strażaka pociąga chłopców, którzy widząc pędzący na sygnale samochód, wysokie drabiny, sikawki — na pytanie kim chciałbyś zostać odpowiadają, że strażakiem. Dla dorosłych mężczyzn nasz zawód nie jest jednak atrakcyjny. Wymaga ogromnej dyspozycyjności. O każdej porze dnia i nocy musimy być gotowi do podjęcia akcji. Wezwanie może przyjść nawet do domu.

Po drugie — być strażakiem, to znaczy ryzykować. Nie tak dawno płonął stary barak przy ulicy Kasprzaka. Nocą zbierali się w nim okoliczni chuligani i oni prawdopodobnie zaprószyli ogień. Powstał niewielki i z pozoru niegroźny pożar. Nagle zawaliła się jedna ze ścian. Dwaj stojący najbliżej strażacy zostali mocno poturbowani. Jeden z nich będzie inwalidą do końca życia.

Po trzecie — płace u nas nigdy nie były wysokie. Stąd nie mamy zbyt wielu chętnych do pracy. Dlatego większość szeregowych pożarników, to są junacy, młodzież odbywająca w straży zastępczo zasadniczą służbę wojskową. Wielu z nich ma ledwo ukończoną podstawówkę, a niektórzy i tego nie. I to są ludzie, którzy mają korzystać z pomocy elektronicznego sprzętu, którzy powinni mieć opanowane podstawy fizyki i chemii.

Czasami na przykład otrzymujemy informację, że budynek ma konstrukcję niepalną. Tymczasem może on tak krótko znosić wysoką temperaturę, że po kilku minutach dochodzi do katastrofy budowlanej. Tak było ze „Stomilem" kilka lat temu bądź z „Olimpią", której budynek dosłownie rozsypał się. O tym wszystkim trzeba wiedzieć!

— Co najbardziej przeszkadza strażakom?

— Biurokracja! Straż tak samo jak każda inna instytucja nie jest wolna od papierów, które trzeba przeczytać, posegregować lub samemu napisać. Największą jednak zmorą strażaków są źli projektanci, wykonawcy i niechlujni użytkownicy. Gdybyśmy wykonywali wszystko porządnie, to może nawet straż nie byłaby potrzebna.

— Z tego co pan powiedział wynika, że znaczna część pożarów powstaje na skutek nieuwagi dorosłych?

— Według prowadzonej przez nas statystyki najczęstszymi przyczynami pożarów w ubiegłym roku były: nieostrożność osób dorosłych — 51,3 proc., wadliwa eksploatacja i wady urządzeń elektrycznych — 19,1 proc.; wady urządzeń ogrzewczo-kominowych — 9,6 proc.; inne — 20 proc. Na dobrą sprawę tylko ostatniej pozycji „inne" nie można zaliczyć do kategorii „nieostrożność dorosłych".

Ponad połowa pożarów miała miejsce w mieszkaniach i innych obiektach prywatnych. Często — trzeba to sobie jasno powiedzieć — pośrednią przyczyną zaprószenia ognia jest alkohol. Proszę mi wierzyć, że warto po każdym przyjęciu w domu być takim małym strażakiem i sprawdzić wszystkie kąty, czy gdzieś aby nie tli się niedopałek, czy wszystkie urządzenia elektryczne są wyłączone.

Spróbujmy zastanowić się nad propozycją jeszcze dalej idącą. Obecnie w każdej rodzinie udającej się na przyjęcie samochodem jest przynajmniej dwóch kierowców, w tym jeden nie pijący. Myślę, że warto podobną zasadę wprowadzić na każdej prywatce, żeby była tam osoba trzeźwa czuwająca nad bezpieczeństwem przeciwpożarowym.

— Podejrzewam, że to się nie przyjmie.

— Niemniej serdecznie bym polecał takie właśnie zachowanie.

— Idzie lato a z nim wzrost zagrożenia pożarami na wsi?

— We wsiach województwa łódzkiego notujemy znacznie mniej pożarów niż w innych rejonach kraju. Między innymi dlatego, że występuje niewiele domów krytych strzechą, zaledwie 2 proc.

— Ale nadal burza wywołuje niepokój na wsi.

— Być może, lecz pożarów od piorunów jest niewiele.

— Czy będziecie w tym roku tak jak w latach poprzednich kontrolować z samolotu wsie i lasy?

— Jeżeli zagrożenie pożarowe będzie duże, to tak. To zależy od pogody. Będziemy również sprawdzać, czy nie jest spalana na polach słoma. Tego robić nie wolno. Poza tym wypalanie pól jest niekorzystne ze względów agrotechnicznych choćby dlatego, że giną wszystkie owady.

— Nie mówiliśmy jeszcze o działaniach kontrolnych i prewencyjnych.

— Wszystkich obiektów skontrolować nie możemy. To, co robimy, przynosi konkretne efekty. Znana była z prasy sprawa złego stanu bezpieczeństwa przeciwpożarowego łódzkich teatrów. Z zadowoleniem należy stwierdzić, że do dziś zrealizowano większość naszych wniosków.

W wyniku naszych interwencji zamknięto internat Technikum Rolniczego w Bratoszewicach, ograniczono użytkowanie obiektu pomocy społecznej przy ulicy Wróblewskiego w Łodzi czy ograniczono funkcjonowanie Hali Sportowej ze względu na konieczność wymiany palnych układów wentylacyjno-klimatycznych.

Łódź należy jednak do najbezpieczniejszych miast w kraju. Statystyki mówią, że liczba pożarów, wysokość strat, a także liczba ofiar są mniejsze niż w innych wielkich aglomeracjach Polski.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: MAREK MAMOS

Pożary

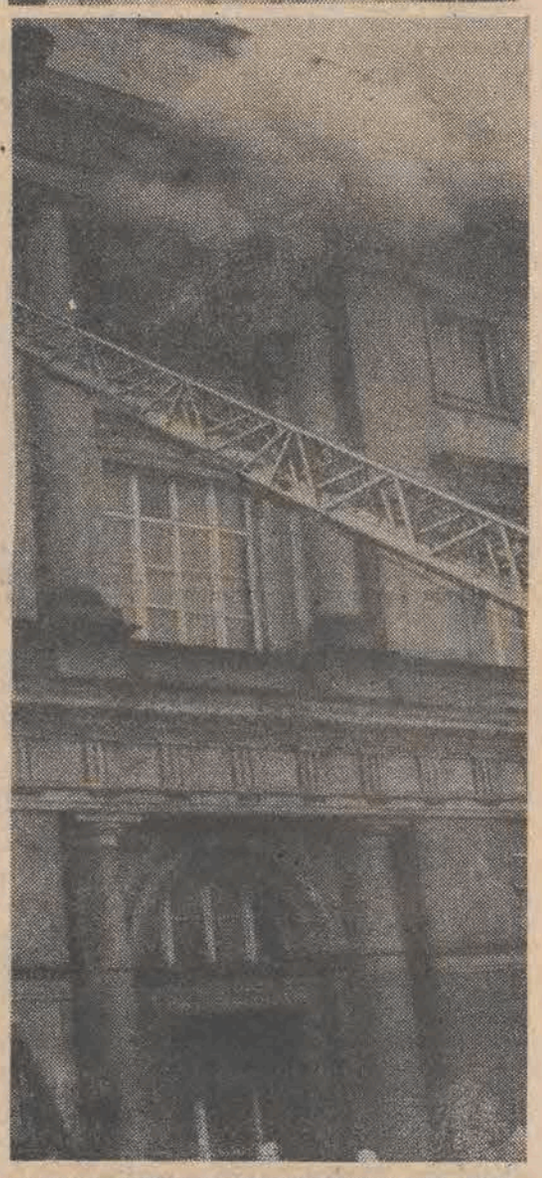

Zdjęcia: ANDRZEJ WACH i LEOPOLD DZIKOWSKI

Zdjęcia: Grzegorz Gałasiński

Na wschód od centrum

Nie kwękać, a działać!

JACEK GŁĘBSKI

„Nie kwękać, a działać!" — Kartonik z takim hasłem zdobi telewizor stojący w gabinecie naczelnika Widzewa, Andrzeja Krawczyka. Rozmawiamy o problemach związanych z funkcjonowaniem osiedla Widzew-Wschód.

Jest tam 45 tys. mieszkańców, z których zdecydowana większość to ludzie młodzi. Widzew-Wschód składa się z 3 części: osiedla Batorego ograniczonego ulicami Rokicińską, Przybyszewskiego, Puszkina i torem kolejowym, osiedla Chrobrego zamkniętego przez kwadrat ulic Puszkina, Przybyszewskiego, Rokicińskiej i Augustów i osiedla Mieszka I wyznaczonego przez ulice Augustów, Rokicińską i Służbową.

Osiedle jest nowe, jego początki sięgają lat 1975—76, a pierwsze efekty budowy można było zaobserwować w 1978 r. Od tego czasu Widzew-Wschód rozrasta się systematycznie, ale ponieważ wszystko ma swoje granice, więc zakończenie wznoszenia tzw. infrastruktury budowlanej nastąpi już za 2 lata. Dotychczas stoi tu 216 bloków, są też szkoły, pawilony handlowo-usługowe, itd. Mieszkania od M1 do M6. A ludzie w nich mieszkający? Różni. Po prostu zbieranina z całej Łodzi i województwa. Ba, nawet spoza!

Z KULTURĄ JEST KIEPSKO

— Sklepy? To już nie problem — zapewnia **Stefan Wyszyński**, dyrektor RSM „Bawełna". Choć przy okazji rozmów o nowo budowanych osiedlach wszyscy kwękają na temat braku budownictwa towarzyszącego (i braku szeroko pojętych możliwości zmiany tej sytuacji), nie stanowi to problemu na Widzewie-Wschodzie. W latach 1975—80 inwestycje przekazano Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej, a mniejsze spółdzielnie albo spoczęły na laurach, albo nie poddały się, wykazując sporo inicjatywy. „Bawełna" zajęła się szukaniem na wielką skalę wykonawców, czasem nietypowych, którzy niekiedy, z racji tego, że nie są to przedsiębiorstwa typowo budowlane, pracują wolniej. Ale pracują! Efekty? Gęstość sieci handlowo-usługowej jest zgodna z normatywami.

Kiedyś sklepy i placówki usługowe szukały schronienia w mieszkaniach, podobnie jak żłobki i przedszkola. Po roku 1980 kiedy to „Bawełna" stała się bezpośrednim inwestorem, nadrobiono braki w tej dziedzinie. Wszystko co zaprojektowano — wybudowano, albo się buduje. Tak więc mnoży się od pawilonów handlowo-usługowych, które zgrupowane są w ciągach bądź zlokalizowane jako obiekty wolno stojące. Jest też 10 dodatkowych ciągów kiosków rolno-spożywczych i usługowych, nie brak minitargowisk.

Gdy „Bawełna" przejęła inwestycje, 110 mieszkań było przeznaczonych na inne cele, w tej chwili została jeszcze przeszło połowa, ale podobno już za 2 lata wszystkie lustytucje raz na zawsze opuszczą zaciszne ściany M-ileś. W dodatku sieć handlowo-usługowa rozmieszczona jest na terenie osiedla bardzo równomiernie, z uwzględnieniem potrzeb okolicznych mieszkańców. Warto wiedzieć, że to właśnie mieszkańcy mają decydujący głos w dyskusji jaki sklep czy też jaki punkt usługowy mieścić się będzie w nowo budowanym pawilonie.

Z żywieniem mieszkańców też nie ma problemu. Oprócz ekskluzywnej restauracji **„Karl-Marx-Stadt"** (gdzie ceny też są dość — powiedzmy — ekskluzywne), jest jadłodajnia dietetyczna, gdzie posiłki są tanie i smaczne, bar bistro, kawiarnia z barem oraz sieć prywatnych placówek gastronomicznych.

Gdy jednak zapytałem o kulturę, moi rozmówcy chrząknęli znacząco. Z kulturą jest kiepsko — przyznali. Jeśli chodzi o biblioteki, istnieją dotąd trzy skromne placówki, w tym jedna w mieszkaniu. Ale docelowo planuje się uruchomić 3 biblioteki z prawdziwego zdarzenia i 3 tzw. punkty biblioteczne. Domy kultury to osobny problem. Osiedlowe domy kultury, kluby komputerowe, miejsca spotkań modelarzy i majsterkowiczów zajmują „tylko" 3 tys. metrów kwadratowych. Z jednej strony to rzeczywiście „tylko", a z drugiej „aż", jeśli np. porównamy Widzew-Wschód z prawie o połowę większą Retkinią. Dalsze placówki kulturalne są na razie w trakcie budowy i jak dotąd ogniskami kultury są przeważnie szkoły.

Szkoły były zaprojektowane z myślą o dużo mniejszej liczbie uczniów, ale mimo że nie są zbudowane z gumy a z betonu, muszą pomieścić w swych murach dwukrotnie większą liczbę dzieciaków. Skalę problemu najlepiej odzwierciedla to, że dzieci chodzą do szkoły na dwie i pół zmiany (czyli lekcje odbywają się od godz. 7 do 19.30). Tak więc Widzew-Wschód ma 4 kompleksy przedszkolno-szkolno-kulturalne, jako że w szkołach koegzystują także przedszkola i placówki kulturalne dla młodzieży i nie tylko. Dwa dalsze zespoły są w budowie. Napiętą sytuację z minionych lat udało się załagodzić i mimo ścisku na szkolnych korytarzach, pielgrzymki dzieci do szkół znajdujących się w innych rejonach miasta przestały być problemem spędzającym sen z powiek władz oświatowych na Widzewie.

Ale zaczyna się pojawiać inny problem. Co robić z młodzieżą starszą? Wszak nie ma tam ani jednej szkoły ponadpodstawowej. Władze dzielnicy już zabiegają u prezydenta o zgodę na budowę szkoły średniej. Zresztą niewykluczone, że jeśli minie oblężenie podstawówek, a zacznie się problem z brakiem szkół średnich, szkoły podstawowe zawsze będzie można przeprofilować.

Plagi Widzewa Wschodu nie są tak liczne i dotkliwe jak w innych nowo wybudowanych osiedlach. Gaz od początku jest niskoprężny, panele założono swego czasu tylko w 56 blokach, więc w razie awarii bez kłopotów wymienia się je na grzejniki żeliwne. Wady technologiczne budynków to głównie przeciekanie i przemarzanie, ale i z tym można sobie poradzić, jeśli w ciągu roku ociepla się około 30 bloków (dla porównania: na Retkini tylko kilka). Ponoć operacja ta zakończy się za 3—4 lata.

A usterki w nowo oddawanych blokach? Jeśli trzeba, to RSM „Bawełna" potrąca kary z faktury, ale jest to rzadkość. A więc tolerancja dla partactwa i pogoń nie za jakością, lecz za ilością?

— Jeśli można dogadać się z wykonawcą — zapewnia prezes „Bawełny", **Stefan Wyszyński** — iść mu na rękę, stworzyć dobrą atmosferę pracy i zadbać o wszystko co potrzeba, to robota pali się w rękach i co najważniejsze jest solidna.

— Do tradycji weszły już tzw. czwartki inwestycyjne — dodaje naczelnik dzielnicy, **Andrzej Krawczyk.** — Koordynujemy wtedy pracę 13 sztabów, m.in. budowlanych i komunalnych. Rozmowy, narady, nadzór, trzymanie ręki na pulsie i właściwa atmosfera, oto recepta na różne bolączki i tzw. trudności obiektywne.

Plagi typowe dla wielkopłytowych osiedli są więc jakby drugoplanowe. Nawet robactwo jakby zrozumiało, że nie wypada zatruwać życia mieszkańcom, jest mniej dokuczliwe, a myszy i szczury, jako bardziej inteligentne od mrówek, uciekły gdzie pieprz rośnie. Ale błędem byłoby stwierdzenie, jakoby życie mieszkańców Widzewa-Wschodu było pozbawioną trosk sielanką.

PIESI PRZECIW ZMOTORYZOWANYM

W planach tego nie było. Ktoś jednak wpadł na pomysł, by na całym osiedlu zamiast osobnych chodników i osobnych jezdni wybudować ciągi pieszo-jezdne. Dla niewtajemniczonych: są to asfaltowe ścieżki o takiej szerokości, że nawet 2 samochody wymijają się z trudem. Z takich ścieżek korzystają i piesi, i kierowcy, utrudniając sobie nawzajem życie. Pół biedy, gdyby tylko na tym polegał konflikt. Najgorzej jest jednak z parkowaniem. Strach pomyśleć co by było, gdyby wybuchł pożar i straż, jak to miało miejsce niegdyś na Manhattanie, nie mogła przebić się przez kordon zaparkowanych aut, które trzeba było wywozić dźwigiem, podczas gdy dom płonął. W związku z tym uliczki opatrzono znakami zakazu wjazdu, ale kierowcy nic sobie z tego nie robią. Milicjanci wzywają opornych na rozmowy ostrzegawcze, sypią mandatami, ale to nie pomaga. Z drugiej strony trzeba zrozumieć kierowców: parkingów jest za mało, a zresztą nikt nie chce parkować na obrzeżach Widzewa-Wschodu w trosce o... samochód, bowiem następnego ranka może okazać się, że brakuje np. kół, akumulatora czy zgoła całego auta, jak to się często zdarza. Przydałaby się sieć odpowiednio zabezpieczonych parkingów strzeżonych. Tymczasem na spotkaniach władz dzielnicy z samorządami mieszkańców temat „wojny pojazdowej" jest ciągle żywy. A jeśli już mowa o zmotoryzowanych i pojazdach, warto powiedzieć kilka słów o komunikacji.

CZYM DOJECHAĆ?

Komunikacja na Widzewie-Wschodzie, delikatnie mówiąc, pozostawia wiele do życzenia. Szczególnie „wąskim gardłem" jest wiadukt przy ul. Rokicińskiej, choć tak naprawdę każdy autobus i każdy tramwaj jest takim wąskim gardłem w godzinach szczytu. Do tego trzeba dodać, że znaczna część osiedla nie jest opasana tak gęstą siecią linii komunikacyjnych, jak sugerują mieszkańcy. Ale podobno już niedługo zakończy się remont wiaduktu, a MPK zamierza wprowadzić szereg istotnych zmian w kursowaniu autobusów, gotowy jest nawet projekt dwuetapowych zmian w sieci komunikacyjnej obsługującej Widzew-Wschód, które niedługo wejdą w życie.

W POWIETRZU, NA ZIEMI, POD ZIEMIĄ

Niszczenie zieleni, trawników, małej architektury, reklam, oznakowań, znaków drogowych, klatek schodowych itd., itp. to tylko garść przykładów. Dlatego też niekiedy osiedle nie prezentuje się tak, jak powinno.

— Ale przecież to nie Urząd Dzielnicowy dewastuje — zapewnia naczelnik. — Mimo to usuwamy w miarę możliwości skutki wandalizmu, choć czasem już ręce opadają.

Brakuje telefonów i na razie nie zanosi się na radykalną poprawę sytuacji. Na 45 tys. mieszkańców jest tylko 1800 abonentów, a ponad 5 tys. podań czeka na rozpatrzenie. Poczeka.

Chociaż Widzew-Wschód pozbawiony jest, jak przystało na wielką sypialnię Łodzi, przemysłu, to powietrze niekiedy bywa dość ciężkie, typowo łódzkie. Oprócz wyziewów emitowanych przez położone nieco dalej zakłady przemysłowe (a przecież niedawno mieliśmy okazję przekonać się jaką rolę spełnia wiatr), najwięcej kłopotów sprawiają pyły, dymy i gazy pochodzące z pobliskiej EC-IV, a także wysypisko żużla. Temat narasta. Zanieczyszczenia także.

Na Widzewie-Wschodzie egzystuje symbol spekulacji czyli giełda samochodowa. Swego czasu teren, na którym spotykały się tysiące samochodziarzy pozbawiony był nawet szaletu. Zresztą brak jakichkolwiek tego typu „placówek usługowych" na terenie całego osiedla zmusza niekiedy tych „bardzo potrzebujących" do załatwiania potrzeb fizjologicznych na klatkach schodowych. A mówi się, że miarą kultury społeczeństwa jest liczba i stan ogólnodostępnych sanitariatów.

Przestępczość nie jest specjalnością Widzewa-Wschodu. Zresztą milicyjne kroniki notują spadek liczby przestępstw na tym terenie, do czego walnie przyczyniła się także ustawa o szczególnej odpowiedzialności karnej. Obecnie na terenie osiedla jest mniej kolizji z prawem niż nawet podczas panowania dość surowych przepisów stanu wojennego. Ale spośród tych przestępstw, jakie się jeszcze popełnia, sporo jest kradzieży i włamań do mieszkań, komórek i samochodów. Jest to zresztą zjawisko dość typowe dla nowych osiedli. Mało jest przestępstw przeciwko zdrowiu i życiu, można więc wysnuć wniosek, że ulice Widzewa-Wschodu są bezpieczne. Dziurawe, ale bezpieczne.

Natomiast problemy zaczynają się w czterech ścianach. Chodzi o przestępstwa przeciwko rodzinie, głównie o niepłacenie alimentów i znęcanie się. Stanowią one ponad jedną trzecią wszystkich przestępstw, a zdarzają się na tym tle nawet i zabójstwa. Powody są oczywiście różne, ale na pierwszym miejscu wymienić trzeba nadużywanie alkoholu. Alkohol zresztą jest chyba nie tylko w tym wypadku głównym czynnikiem kryminogennym. Meliny, handlu wódką na Widzewie-Wschodzie są dość specyficzne, są to normalne, dostatnio wyposażone, schludne mieszkania, a tylko w kredensie tkwi zapas bimbru, zaś w łazience zamaskowana jest aparatura. Jest to jedna z form maskowania intratnego interesu przed organami MO, ale i tak nieskuteczna, bo meliniarze wpadają często i gęsto.

A że jest to interes niezły, niech świadczy taki przykład: w pustym mieszkaniu urzędowała sobie babcia-meliniarka i gasiła pragnienie amatorów wódeczki. W ciągu dwóch miesięcy milicjanci trzykrotnie likwidowali melinę. Babcia oczywiście stara, schorowana, na emeryturze, nie można jej skazać na więzienie, ale grzywną można ukarać zawsze. Sąd wydał wyrok, a następnego dnia, choć wyrok nie był jeszcze prawomocny, babcia przyjechała z fasonem taksówką i zapłaciła lekką ręką niebagatelną grzywnę. Tak się właśnie często zdarza, że staruszki firmują meliny i kupują wnukom samochody. Nawet jeśli ktoś „wsypie", sprawczynie są bezkarne. No, może prawie bezkarne, piszą przecież kary.

W melinach zaopatrują się nieliczni, kupują tam najczęściej ludzie z marginesu, którzy jeśli nawet nie kupią bimbru (na kredyt lub pod zastaw, jak to czasem można załatwić z właścicielem melliny), pójdą na stację CPN, by ugasić pragnienie „Autovidolem". Podczas rozmowy z milicjantami, usłyszałem taką oto zabawną historyjkę: zima, piętnastostopniowy mróz, na chodniku leży kompletnie pijany mężczyzna. Milicjant szarpie go za ramię: „Proszę pana, niech pan wstaje, pan tu zamarznie!" Na to pijak: „Nie zamarznę, piłem „Borygo".

Na pytanie, jak układa się współdziałanie władz porządkowych ze społecznością osiedla, kpt. **Ryszard Wolski**, zastępca szefa DUSW na Widzewie, odpowiada:

— To osiedle młode, ludzie są anonimowi, niezintegrowani, nie znają się wzajemnie. Jest oczywiście sporo włamań do mieszkań i komórek, ale... No właśnie. Podam przykład. Swego czasu na Widzewie-Wschodzie grasowała szajka włamywaczy, którzy specjalizowali się w mieszkaniach na parterze i na ostatnich piętrach. Sąsiad, który podczas jednego z włamań słyszał podejrzane walenie w drzwi i inne dziwne odgłosy, tłumaczył nam, że nie zawiadomił milicji, gdyż po pierwsze zawsze ktoś gdzieś stuka, a po drugie nie miał skąd zadzwonić. To właśnie jest dość charakterystyczne: znieczulica, obojętność i, nawet w razie potrzeby, brak możliwości interwencji telefonicznej, po prostu zbyt mało jest na osiedlu telefonów.

Prostytucja, narkomania i przestępczość wśród uczniów podstawówek są raczej marginalne. W wypadku przestępczości wśród nieletnich być może jest to zasługą szkół, które dbają należycie o zabezpieczenie wolnego czasu nawet po lekcjach i organizują liczne imprezy dla dzieci i młodzieży. Bardziej jednak prawdopodobnym wytłumaczeniem jest fakt ścisłej współpracy z terenowymi organami milicji, która w razie potrzeby zawsze jest w dyspozycji. Teraz jednak, jako że lato za pasem, dadzą o sobie znać ucieczki z domów młodych amatorów swobody.

NIE KWĘKAĆ!

„Nie kwękać" — przypomina mi się hasło w gabinecie naczelnika. I rzeczywiście, choć oczywiście zawsze można znaleźć dziurę w całym, jeśli chodzi o Widzew-Wschód, jest to osiedle, które w skali porównawczej z innymi nowo budowanymi osiedlami prezentuje się nie najgorzej. Jest jeszcze kilka problemów, z którymi trzeba się uporać (m. in. komunikacja, łączność, zakończenie rozpoczętych inwestycji, kwestia nieszczęsnych ciągów pieszo-jezdnych i parkingów, rozwiązanie problemów związanych z funkcjonowaniem EC-IV, a także szkoły, szkoły!). A więc tak trzymać: nie kwękać, a działać!

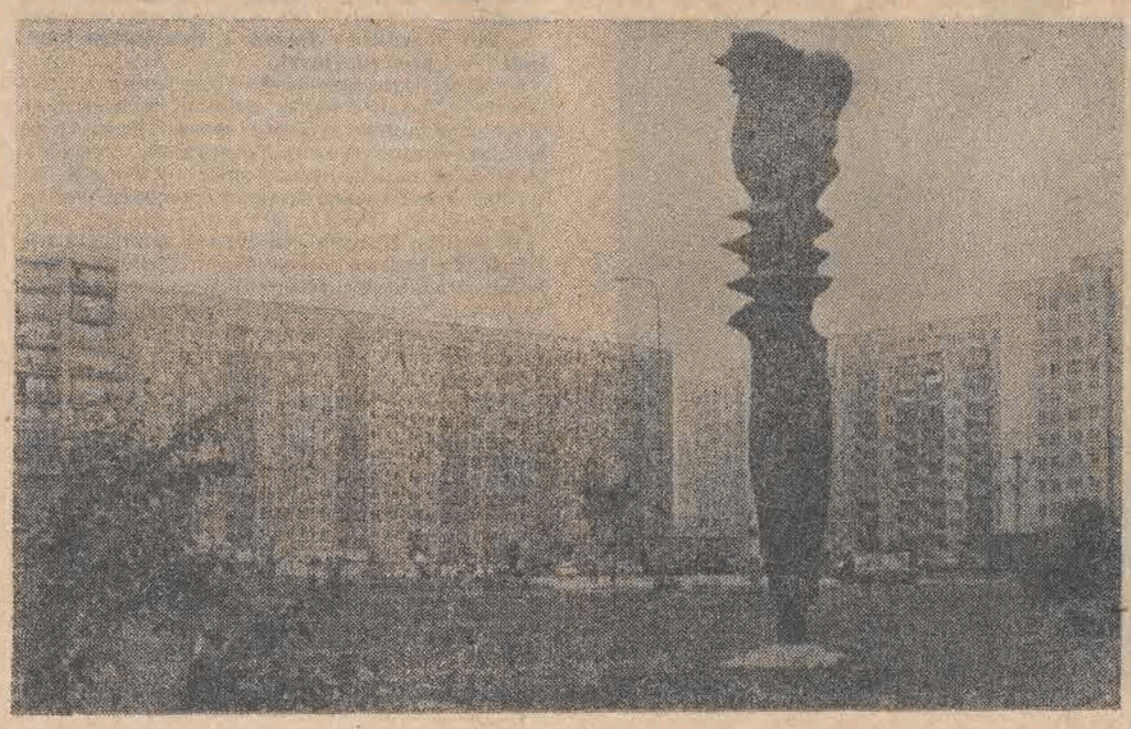

ze str. 1

czynnika, bynajmniej nie przypomina klasztoru...

W owych czasach o wiele powszechniejszym niż dziś napojem było piwo. Wymownym jest fakt, że jeszcze w początkach XIX wieku pewna nauczycielka za swoją pracę otrzymuje codziennie pół garnca, czyli 2 litry piwa... W Tomaszowie piwa nie brakowało. Burmistrz Lenartowicz wspomina o browarze „na wyższej skali urządzonym", który wyrabiał rocznie piwa zwyczajnego i dubeltowego garncy 23500, a bawarskiego 1000 (garniec — około 4 litrów).

Rzecz jasna, pijano również wódki. Gorzelnictwo w XIX wieku było intratnym interesem. Była to zresztą jedyna gałąź przemysłu rozwiniętego na dużą skalę na obszarze Królestwa Polskiego, nim pojawiły się tu pierwsze warsztaty tkackie, które dały początek potężnemu przemysłowi wełnianemu i bawełnianemu.

Popularne były wódki 40- i 45-procentowe. Ceniono wódkę 80-procentową. Znany był także spirytus. Napoje alkoholowe, zwłaszcza od drugiej połowy XIX wieku, były tanie, a więc ogólnie dostępne. Rozwinięta sieć szynków świadczy wymownie o upodobaniach ówczesnych generacji, ale też jest wyrazem celowej polityki caratu, który czerpał kolosalne korzyści z podatku od propinacji („pijany budżet").

ŻYCIE TOWARZYSKIE SKUPIAŁO SIĘ W SZYNKU

Szynki i traktiernie w owych czasach spełniały podobną rolę jak dzisiejsze bary i restauracje. Z pewnością jednak mamy dziś do czynienia z reliktami dawnej obyczajowości, albo całkowitego jej zaniku, przynajmniej w niektórych sferach. Nade wszystko w szynku skupiało się wówczas życie towarzyskie i kulturalne miasta na skalę, która nam nie jest już znana. Było to forum wymiany informacji zarówno o formacie „światowym", jak i lokalnych ploteczek, które znacznie bardziej ekscytują niewielkie środowiska.

Duża liczba szynków każe przypuszczać, że odzwierciedlało się w nich ówczesne rozwarstwienie społeczne. Nietrudno sobie wyobrazić, że w określonym lokalu zbierali się wyrobnicy inny zaś upodobali sobie kupcy, a jeszcze inny furmani lub właściciele drobnych warsztatów rzemieślniczych.

W szynku załatwiano interesy, ucinano sobie pogawędki, zabijano czas, z którym zwłaszcza w dni wolne od pracy nie wiadomo co było robić. Piwo i wódka jak zawsze były dobrym remedium na życiowe problemy i kłopoty dnia. Tych warstwom niższym, a więc i robotnikom, którzy liczebnie dominowali w Tomaszowie, wówczas nie brakowało.

Problemem numer jeden była praca. Okresy dobrej koniunktury fabryk włókienniczych, kiedy o zatrudnienie było łatwiej, przeplatały się z latami recesji. Zamknięcie czy likwidacja fabryki, a nawet ograniczenie jej działalności zawsze oznaczało brak pracy dla kogoś, kto miał do zaoferowania jedynie parę rąk.

Przypadki takie, świadomość niepewności własnego losu, trudne warunki bytowe, wywierały określony wpływ na psychikę, mentalność, a nawet kulturowe nawyki warstw niższych. Można tu mówić o całych dziesięcioleciach presji negatywnych czynników na ludzi z niższych szczebli drabiny społecznej.

Niewielkie życiowe perspektywy sprzyjały rozmaitym przejawom patologii społecznej. Pierwszy wyraźny sygnał o pladze alkoholizmu w Tomaszowie Mazowieckim pochodzi dopiero z roku 1921. Nie oznacza to, że plaga ta raptem ogarnęła miasto. Biorąc pod uwagę tło tego zjawiska, także wcześniejszym dziesięcioleciom nie mogło być ono obce.

19 września 1921 roku ówczesna Rada Miejska powołała Komisję do Walki z Alkoholizmem. W gruncie rzeczy pod tym administracyjnym posunięciem kryła się akcja garstki filantropów: miejscowych lekarzy, nauczycieli, prawników, zaniepokojonych wysokim spożyciem alkoholu na terenie miasta.

Komisji przyszło funkcjonować w skrajnie trudnych warunkach. W mieście panowało bezrobocie, gdyż przemysł dopiero dźwigał się z wojennej upadłości. Podobnie jak w całym kraju, miasto nękane było kłopotami aprowizacyjnymi. Galopująca inflacja powodowała, że ci, którzy mieli pracę, zamiast pieniędzy, które z dnia na dzień traciły swoją wartość, żądali ekwiwalentów żywnościowych.

Rzeka alkoholu sącząca się przez to miasto, wezbrała niewątpliwie pod wpływem tych wypadków. Alkohol jest sprzymierzony z beznadziejnością. Komisja nie była w stanie zbyt wiele zdziałać. W dwa lata po ujrzeniu światła dziennego staje się ona wyłącznie ciałem opiniodawczym przy wydawaniu zezwoleń na wyszynk... Miejmy nadzieję, że była ciałem surowym...

Czy w następnych latach, wraz z pewnym ożywieniem gospodarczym, umocnieniem się pieniądza, a więc i lepszymi perspektywami dla nas, konsumpcja alkoholu obniżyła swój pułap, który w roku 1921 zaalarmował rajców miejskich? Trudno byłoby to stwierdzić. Jeśliby nawet miało to miejsce, to taka tendencja nie trwałaby długo. Początek lat 30 zaznaczył się kryzysem ekonomicznym, którego skutki odczuwalne były jeszcze do połowy owej dekady.

Nie słyszymy już w tym czasie o komisji antyalkoholowej, wiemy natomiast o bezrobociu, fatalnych warunkach egzystencji tomaszowskich robotników, gruźlicy wśród dzieci i dorosłych, akcjach dożywiania prowadzonych w szkołach powszechnych. Można mieć pewność, że również po raz kolejny rzeka, która unosi małe bolączki człowieka i duże problemy ludzi, wartko płynie przez miasto dotknięte i jednymi, i drugimi.

W tej linearnej historii z jednym motywem w tle pojawiają się lata okupacji hitlerowskiej. Rzeka alkoholu ponownie wzbiera, tym razem jednak jest w tym niemiecka premedytacja, zamysł rodem z piekieł, by doprowadzić ludność polską do stopniowej degeneracji. Butelki z czerwoną lub niebieską etykietką były w czasie okupacji niemal usankcjonowanym środkiem płatniczym, celowo stosowanym przez administrację hitlerowską.

Skutki tej akcji prowadzonej przez wiele lat były katastrofalne. Wódka pojawiła się nawet w tych domach, gdzie dotąd nie bywała. Z bezwzględną pewnością to doświadczenie, jakie stało się udziałem wojennych pokoleń miało swoje negatywne konsekwencje w okresie późniejszym.

Nie było jeszcze mowy o obyczaju, o kształtowaniu się kulturowych nawyków warstw pracujących Tomaszowa, stylu i sposobu życia przenikającym kolejne generacje. A przecież byłoby sporym nieporozumieniem, opisując butelkę wódki i jej miejsce w historii miasta, widzieć ją tylko w demonicznym wydaniu.

OBYCZAJ TO USPRAWIEDLIWIA

Alkohol zawsze towarzyszył życiu codziennemu warstw pracujących. Ślub, narodziny dziecka, chrzest, komunia, pogrzeb, nie mogły być sfinalizowane inaczej niż przy suto zastawionym stole i częstym brzęku kieliszków. Można powiedzieć o tym: nic zdrożnego! Na każdym poziomie drabiny społecznej, obecnie i w przeszłości, czyniono podobnie, choć z rozmaitą oprawą.

Potęga alkoholu polega prawdopodobnie na tym, że spełnia on rolę czynnika integrującego ludzi, ułatwia spełnienie zakodowanej w człowieku potrzeby wtopienia się w grupę, niweczy jego samotność. Dopóki jednak spożywanie alkoholu traktowane jest ceremonialnie, z wyraźną atencją dla sposobu w jakim się to czyni, dopóty rzecz pozostaje kulturowym fenomenem. Źle dzieje się wtedy, gdy zanika ceremoniał, a alkohol stopniowo wsącza się w dzień powszedni bez kulturowej otoczki.

Zaryzykuję tezę, że na przestrzeni dziesiątek lat, pod wpływem opisywanych przyczyn, ujawniła się w mieście tego rodzaju sytuacja. Okres czterech dekad po 1945 roku charakteryzuje się stałą progresją spożywania alkoholu w kraju. Czy w Tomaszowie Mazowieckim mogło dziać się odwrotnie? Pozwolę sobie w to zwątpić.

NAJLEPSZA USTAWA I ŻADNE SKUTKI

68-tysięczne obecnie miasto, ze strukturą przemysłu przeniesioną w naturalny sposób z wieku XIX, podobnie jak w całej swojej krótkiej historii zdecydowanie robotnicze, przeżywa dziś kolejny alkoholowy trans. W 1985 roku sprzedano tu wódki, wina i piwa za ponad 1,3 miliarda złotych. Suma ta dwukrotnie przekracza roczny budżet miejski. Rzecz sama w sobie interesująca.

Monstrualna alkoholowa konsumpcja odbywa się pomimo obowiązującej od 2 lat ustawy antyalkoholowej, a nawet wyraźnie wbrew niej. Ustawa została wyprzedzona przez życie. Niektóre zawarte w niej sformuowania wyrażają jedynie ogólne intencje, lecz nic poza tym. Tak więc, gdyby z całą powagą potraktować zakaz sprzedaży alkoholu w promieniu 100 metrów od obiektów sakralnych, urzędów państwowych, szkół lub zakładów pracy, Tomaszów niechybnie wyglądałby jak urzeczywistnienie zbiorowej abstynencji.

Restauracja „Pod Niedźwiedziem", lokal wzniesiony kilka lat temu, o nowoczesnej sylwetce, winien być zburzony, lub zamieniony na dom kultury, albowiem ledwo kilkadziesiąt metrów dzieli go od murów kościoła pod wezwaniem Św. Antoniego. Zbawczych stu metrów nie będzie też do parterowej hali należącej do Tomaszowskiej Fabryki Filców Technicznych, skąd dochodzą rytmiczne uderzenia krosien.

Bar w hotelu „Mazowieckim" czynny już, choć sam hotel nadal znajduje się w remoncie, od gmachu Komitetu Miejskiego PZPR dzieli de facto szerokość jezdni. Podpada ustawie kawiarnia „Ewa". Niestety! Zdaje się, że również za blisko Komitetu, a w dodatku z okien roztacza się widok na kościół...

Niemal vis-a-vis Urzędu Miejskiego funkcjonuje kawiarnia „Literacka". Gustowny barek w Miejskim Ośrodku Kultury chyba nie wyrobi się w ustawowym dystansie, gdyby mierzyć linią prostą odległość do niedalekiego I Liceum Ogólnokształcącego. Nawet restauracja „Tomaszowianka", zajmująca ponury lokal przy pl. Kościuszki, mogłaby zostać zamknięta na cztery spusty, gdyby zaprotestowała religijna mniejszość Parafii Polskokatolickiej pod wezwaniem Św. Ducha, do której należy zabytkowy kościółek przy tymże placu. Z tego samego powodu racji bytu nie ma sklep „Pewexu". Od Św. Ducha oddalony jest ledwo dwadzieścia parę metrów...

Na bakier z ustawą egzystują pijalnie piwa i sklepy prowadzące sprzedaż wódek i win. A to za blisko któregoś z pozostałych kościołów, to znów niebezpiecznie mały dystans dzieli je od jakiejś szkoły, albo diabli nadali bazę „Pekaesu" tuż za siatką...

Prokurator rejonowy — Roman Koziorowski — nie bez upodobania kreśli ten zawiły obraz zmagania się prawa z życiem. Niedawno wydział handlu usiłował wprowadzić wódki i wina do „Delikatesów", skąd przed wielu laty musiały one wyemigrować. Mimo szczerych chęci nie mogło się to udać. Piętro starej kamienicy, tuż nad „Delikatesami" zajmuje nie kto inny, tylko prokuratura...

Rzeka alkoholu tocząca się przez miasto ma wyraźny wpływ na rozmiary teczek spoczywających w tym urzędzie. Co najmniej połowa spraw o pobicie, uszkodzenie ciała, zgwałcenie, rozbój ma alkoholowe tło. — **Alkohol wyzwala dzikie instynkty** — mówi prokurator Roman Koziorowski.

Również lżejszy kaliber przestępstw, w tym przestępstwa przeciwko rodzinie, tak czy inaczej w większości związany jest z jednym i tym samym — nadużywaniem alkoholu.

Marek Kotański, charyzmatyczny szef Monaru, który przebywał niedawno w Tomaszowie powiedział do swoich słuchaczy zebranych w Ośrodku Kultury „Tkacz": **Widziałem tu trzy czwarte pijanych ludzi.**

To jest, oczywiście, przesada. Aż tylu pijanych nie zdarza się oglądać na tutejszych ulicach. To wrażenie o czymś jednak świadczy. Bywają dni, że ludzi na rauszu spotyka się niemal co krok, a w autobusach komunikacji miejskiej uderza w nozdrza woń trawionego alkoholu.

Nowy prezydent miasta, dr Norbert Burdziak, ciężko wzdychą kiedy indaguję go w tej sprawie. — **Gdyby to ode mnie zależało, wprowadziłbym w tym mieście prohibicję** — wyznaje nie bez odcienia ironii w głosie. Czyż bowiem prohibicja byłaby najlepszym rozwiązaniem? W Ameryce, która przeżyła to doświadczenie, podobno najlepiej piło się w czasach sławetnych zakazów alkoholowych.

Administracyjne posunięcia nie są skuteczne w obliczu nawarstwionego od co najmniej dziesiątek lat problemu. W pewnym stopniu są one tylko ukołysaniem sumień. Świadczy o tym przykład Komisji do spraw Przeciwdziałania Alkoholizmowi utworzonej 2 lata temu.

Komisja o mniej bojowej nazwie, aniżeli jej poprzedniczka z roku 1921, grupuje bodaj wszystkie ważniejsze organa i instytucje miejskie. Można powiedzieć, że emanuje z niej klimat powszechnej zgodności poglądów co do konieczności przeciwstawienia się pladze jaka ogarnęła miasto. Są w niej nauczyciele, prawnicy, pracownicy administracji państwowej, lekarze. Był nawet ksiądz, lecz bardzo krótko. W piśmie skierowanym do komisji stwierdził, że **„charakter jego pracy duszpasterskiej nie przewiduje takiego działania".**

CO ROBIĆ, GDY SAM NIE PRZYJDZIE

Ksiądz Leopold Kotwicki w rozmowie telefonicznej powiedział zresztą, że Kościół wywiera nacisk na tych, którzy nadużywają alkoholu. W konfesjonale w dyskretny sposób mówi się o złej drodze, na jaką wstąpił ów grzesznik. Lecz, zdaniem jego, Kościół ma ograniczone możliwości, gdy idzie o szerszą akcję na rzecz trzeźwości, albowiem może się zwracać jedynie do tych, którzy sami do niego przychodzą. Poza zasięgiem konfesjonału i ambony są ci, co w konsumpcji alkoholu nie znają miary. Oni nie przychodzą również do kościoła...

Niestety, prawdopodobnie nie trafiają również przed oblicze Komisji do spraw Przeciwdziałania Alkoholizmowi przy Prezydencie Miasta. Trafia tu jedynie część ludzi stale nadużywających alkoholu. Wniosek do komisji może złożyć każdy, ustawa pod tym względem daje duże możliwości społeczeństwu, w praktyce jednak najczęściej czyni to Rejonowy Urząd Spraw Wewnętrznych.

W tym momencie zaczyna się trudne życie komisji. Delikwentowi nie spadnie włos z głowy, jeśli zupełnie zignoruje wezwanie na rozprawę. Komisja może tylko ponawiać wezwania. Czyni to trzy razy pod rząd, za czwartym daje spokój...

Co dzieje się jednak, kiedy ktoś taki, na skutek presji rodziny, a może nieświadomy swoich możliwości, przed ową komisją stanie? Otóż, jest wówczas kierowany na przymusowe leczenie do poradni odwykowej. Poradnia działa od roku 1950. Zajmuje skromne pomieszczenia na poddaszu, w budynku przy ul. Zubrzyckiego 120. Są to peryferia miasta, teren tomaszowskiego przemysłowego potentata, Zakładów Włókien Chemicznych „Chemitex-Wistom".

W 1985 roku trafiło tu 85 alkoholików skierowanych przez komisję. Zdecydowana większość zgłosiła się dobrowolnie. Spośród nich 282 osoby podjęły kurację anticolową (tabletki rozpuszczone w niewielkiej ilości wody, które wypija się na miejscu), a 144 chorym wszyto pod łopatkę esperal. Zabieg ten wykonywany jest w szpitalu, w oddziale chirurgicznym. 20 osób skierowanych zostało na leczenie zamknięte w mającym swoją sławę szpitalu w Zgierzu. Ta liczba powinna być większa, lecz szpital 30 procent łóżek rezerwuje dla sądu.

Co jeszcze mówią liczby? Ich wymowa jest lakoniczna: ogółem kartoteka poradni przy ul. Zubrzyckiego zanotowała 990 zgłoszeń. 29 spośród nich to kobiety.

Kartoteka jest księgą upadków. Kiedy po trzeszczących, drewnianych schodach wejdzie tu mężczyzna 50-letni i powie zalewając się łzami, że chce się leczyć, trzeba zajrzeć do kartoteki. Pewne jest, że jego nazwisko będzie w niej figurować. Być może nawet kilkakrotnie.

Prawidłowość jest taka, że im więcej lat, tym mniej szans na wyleczenie. Najstarsi pacjenci to denaturowcy, degeneraci, dla których trzymiesięczny pobyt w Zgierzu jest rodzajem wczasów, zebraniem sił przed kolejnym wyniszczającym seansem. Oni sami dobrze o tym wiedzą.

Szansa jest dla ludzi młodych, w wieku 30 lat. Czy udaje im się z niej skorzystać? Kartoteka mówi, że nie. Przypadki zupełnego wyleczenia nie są tu znane. Nie można mieć pewności, czy po 8-10 latach ten ktoś nie przyjdzie tu ponownie. Doświadczenie podpowiada nielicznemu personelowi poradni, by zachować ostrożny optymizm w tym względzie.

Jednak kartoteka przy ul. Zubrzyckiego 120, to tylko wierzchołek góry lodowej, zaledwie wycinek problemu. Kilkuset nieszczęśników uzależnionych od sfermentowanych jabłek czy ziemniaków nie jest w stanie przepuścić przez rok 1,3 miliarda złotych. Nadmiernie pije duża część mieszkańców miasta, progenitura pionierskich pokoleń, „dzieci wojny" i ich dzieci.

Decydujący wkład w tę statystykę mają robotnicy. Symptomatyczne jest już to, że statystycznym pacjentem poradni odwykowej jest pracownik któregoś z tomaszowskich zakładów: „Wistomu", „Mazovii", ale też PKP lub PGKiM. Rzadko kartotece doda kolorytu ktoś z dyplomem technika, nie mówiąc już o kimś z dyplomem wyższej uczelni. Można się domyślać, że zbliżone proporcje dotyczą tej części mieszkańców miasta, która zagląda do kieliszka niepokojąco często.

Nie oznacza to, że pracownicy umysłowi, w tym inteligencja miejska, przeniknięci są duchem abstynencji. Kilkuletnie obserwacje skłaniają mnie do odmiennego wniosku. Tu także nie wylewa się za kołnierz. Czyni się to jednak bardziej ceremonialnie, zachowuje pozory, nie upada na samo dno.

W opisywanym zjawisku konieczne jest postawienie na koniec następującego pytania: Czy wymienione przyczyny wzmożonej alkoholowej konsumpcji w Tomaszowie Mazowieckim rzeczywiście wyczerpują swój rejestr? Z całą pewnością nie. Dodałbym do niego obecny kryzys ekonomiczny, niski poziom zarobków, rozziew pomiędzy realnym a ogólnie pożądanym poziomem życia. Sądzę też, że każdy może dodać szereg innych przyczyn, mniej lub bardziej zabarwionych indywidualnie.

W Tomaszowie Mazowieckim

Piąta rzeka

WŁADYSŁAW MALKA

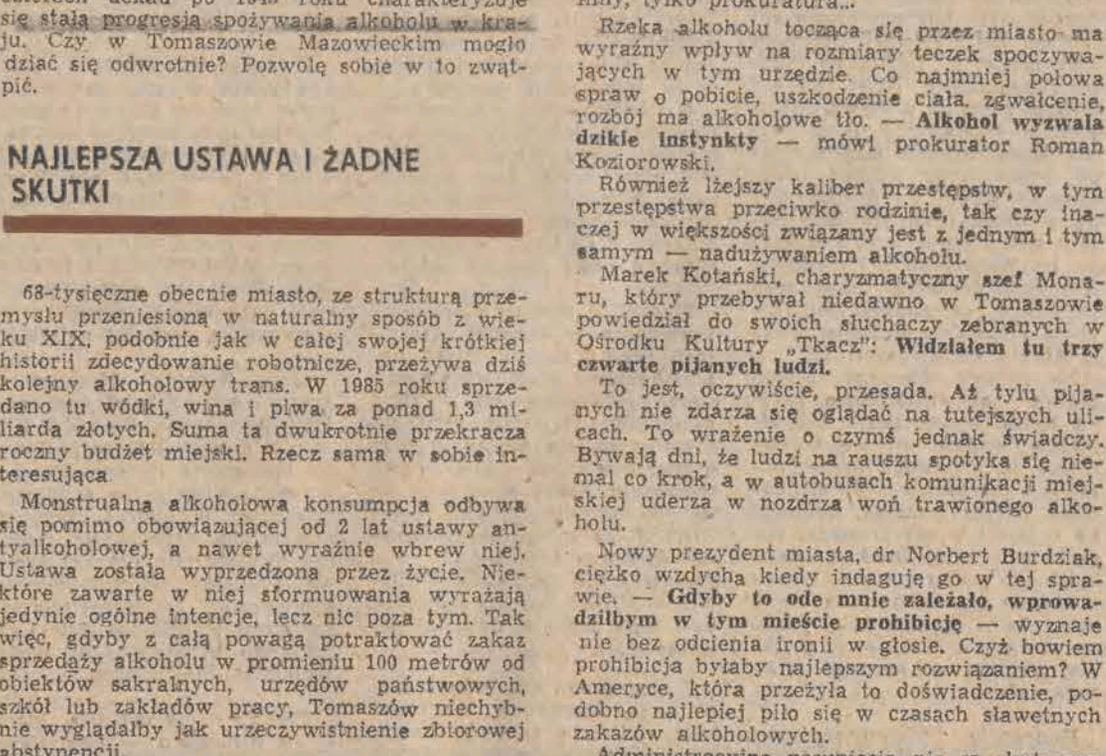

Foto: Grzegorz Gałasiński

Henryk Zasławski

Wierzę

wierzę w głos serca
opuszczonego przez bogów
wierzę w głos sumienia
od którego odeszli ludzie
wierzę w poetów
wiernych samym sobie
wierzę w głos wołającego
na pustyni nie
wierzę w istnienie
planet których nie ma
wierzę w dobry dzień
dla „urodzonych źle"
wierzę w przyjaciół
którzy mnie opuścili
i w nieprzyjaciół
którzy będą ze mną
wierzę w prawdę
którą przepowiada serce
wierzę w nieśmiertelność
nienarodzonego
wierzę w słońce
jak wierzę w słowo
które nie staje się ocaleniem

1977

W pokojach osobności

Prof. Kazimierzowi Dąbrowskiemu

ich czas odmierza
otwarcie drzwi
łączących ze światem

zamknięci w marzeniach
pochyleni nad białą
kartą losu
żądają prawa do milczenia

w pokojach pozbawionych zegarów
układają petycje o naprawie świata
zaprzeczają obowiązującym normom
i prawu do miłości

za oknem przepływa życie
jesienne słońce złoci drzewa

1976

Pamięci Sylvii Plath

„Czarne jezioro, czarna łódź,
dwoje czarnych papierowych ludzi"

oślepiająca
jasność snu:

młoda samotna kobieta
zabłąkana jak łódź

czarna gwiazda
odbita wśród wodnych lilu
rośnie
w ciemność

to milczenie samotnej duszy
jest jak długie i nagłe
pożegnanie

Słowacja 1978

Georg Trakl

(SZPITAL GARNIZONOWY, KRAKÓW 1914)

O siostro moja Biała
pod łukiem czerni zagubiona
w łagodnym obłędzie nocy
w serc zbłąkaniu —
w jesiennym krajobrazie gdy
liście spadają na nagrobki
i wszystko scala się
w błękitne źródło ziemi
na żółtych różach jeszcze iza
choć brama na klucz jest zamknięta
umarłym za cesarza
kos śpiewa
o wolności

O siostro moja ten czarny las
i bliskość śmierci wokół
w wieczór modlitw

co purpurą wschodzi w ciemnej woni zieleni
w wieczór naszego dzieciństwa
o siostro moja
tam
w słodycz naszego dzieciństwa
w leśny zakątek nocy
tam
anioł spokoju —

Tej nocy pod pobieloną arkadą
gdzie jaskółka
— wieczności jesteśmy
nieśmiertelne dzieci
O siostro —

1984

„Don Kichot". Soliści: Cz. Bilski — Don Kichot, Z. Sobis — Sancho Pancho.

Foto: Chwalisław Zieliński

Najnowsza przygoda Don Kichota

Niezbyt to chyba częste, żeby cieszące się uznaniem dzieło sceniczne torowało sobie tak długo drogę z kraju do kraju, jak „Don Kichot" Ludwika Minkusa z Rosji do Polski. Trzeba było bowiem blisko stu lat od moskiewskiej premiery nim dzieło to trafiło do warszawskiej opery. Balet ten był zresztą zupełnie niedawno dwukrotnie wystawiany poza Polską przez Witolda Borkowskiego, który teraz właśnie przysposobił dzieło na łódzką scenę, a nasza premiera tego baletu jest w ogóle trzecią w kraju, po Warszawie i Wrocławiu. Kto lubi dokładne liczby tego informuję, że podróż Don Kichota z Moskwy do Łodzi trwała aż sto siedemnaście lat.

Na pytanie, dlaczego „Don Kichot" tak stosunkowo rzadko bywa wystawiany, najtrafniejsze wydaje mi się wyjaśnienie, iż, z powodu licznej obsady o wysokich kwalifikacjach, której wymaga, by mógł się objawić w całym swym bogactwie i całej urodzie. Balet łódzkiego teatru ma więc wszelkie dane po temu, by się z przygodami rycerza z La Manczy zmierzyć. Czy — i w jakim stopniu — sprostał temu zadaniu?

Koncepcja inscenizacyjna i opracowanie choreograficzne spoczęły w doświadczonych rękach artysty, związanego niegdyś przez dłuższy czas z łódzką sceną operowo-baletową i mającego dla niej bezsporne zasługi. Praca WITOLDA BORKOWSKIEGO nad przygotowaniem u nas „Don Kichota" zbiegła się z nieco — przyznajemy — nacisganym jubileuszem 45-lecia działalności artysty, który na dobrą sprawę w przyszłym roku może święcić swoje półwiecze na scenie, pierwsze bowiem kroki taneczne stawiał już w 1937 r. w rodzinnym Wilnie. Z obranej drogi życiowej w służbie baletu nie zdołała odwieść artysty nawet pamiętna katastrofa lotnicza pod Limanową, przesądziła jednak o jego przedwczesnym rozstaniu się z tańcem i stosunkowo wczesnym skoncentrowaniu się na choreografii i pedagogice. Prace Borkowskiego służyły z najlepszym powodzeniem niemal wszystkim scenom muzycznym w Polsce, choć niejeden balet zrealizował też za granicą.

Muzyka Minkusa do „Don Kichota" nie zawiera w sobie głębszych wartości emocjonalnych, nie odznacza się też oryginalnymi wartościami formalnymi, ale słucha się jej łatwo, chwilami całkiem jej nie zauważa, a gdy już przykuje na chwilę uwagę, wcale nie możemy mieć pewności czy nie jest to akurat któryś z muzycznych wtrętów, skomponowanych przez Głazunowa Sołowiew-Siedoja czy Drigo. Jak wykazuje jednak praktyka dziesięcioleci, ten kształt muzyczny, z którym mamy dziś do czynienia, nie budzi żadnych zastrzeżeń wykonawców, którym widocznie dobrze służy jako tło i podbudowa tanecznych poczynań.

Z literackiego pierwowzoru Cervantesa, jak to zwykle w librettach bywa, nie mogło pozostać zbyt wiele, a w każdym razie pozostał niewymuszony bezpretensjonalny pretekst fabularny, inspirujący jednak wyobraźnię ludzi opery i baletu.

W nastrój poetyckiej zadumy wprowadza w obecnej inscenizacji prolog baletu. Przed naszymi oczami przesuwa się najpierw kołyszącym, jakby zwolnionym lajkonikowym ruchem wychudła postać rycerza o marzycielskim, nieobecnym spojrzeniu. Jakby stworzony do tej roli wydaje się CZESŁAW BILSKI. Za swoim panem spieszy drobnym truchcikiem, rozglądający się rezolutnie ZBIGNIEW SOBIS. Astenik i pyknik, dwa typy ludzkie, dwa temperamenty...

Prolog zapowiada jednak nieco inną konwencję sceniczną, inną stylistykę choreograficzną, nie tak tradycyjną w środkach ekspresji, jak to co obserwujemy bezpośrednio potem, w scenie przed oberżą. Cały akt wypełniony jest działaniami „objaśniającymi" pantomimicznie treść zawiązywanej akcji i wydał mi się nieco płaski przez tę swoją ilustracyjność, z wyjątkiem scenki pomiędzy torreadorami, a ściśle **Espadą** (JAROSŁAW BIERNACKI) i piękną **Mercedes** (EWA WYCICHOWSKA) w uwodzicielsko-zalotnym tańcu. W tym akcie obserwujemy też pierwsze wspólne działania **Kitri** i **Don Basilia** (EDYTA WASŁOWSKA i ROMAN KOMASSA, a taniec obu tych par oraz zabawnie nieporadnego **Gamache'a** (BOGDAN JANKOWSKI) stanowią jedyną obiecującą zapowiedź dalszego ciągu przedstawienia.

Znacznie lepiej, od samego początku, wypadł, moim zdaniem, II akt. Już jego pierwsza odsłona w tawernie, nie obarczona drobiazgowym „opowiadactwem" charakteryzowała się znaczną zwartością działań, osnutych głównie wokół rywalizacji **Mercedes** i **Carmensity** (MAŁGORZATA ZALEJSKA), o względy **Escamilla**, którą to postać wprowadził inscenizator najwidoczniej po to, żeby umożliwić popis taneczny kubańskiemu gościowi, RAULOWI BUSTABADOWI. Ale chyba najbardziej uradowało widzów pojawienie się Zalejskiej po kilkuletniej nieobecności, spowodowanej ponawiającą się kontuzją. Ze swego odpowiedzialnego zadania artystka wywiązała się znakomicie zarówno pod względem technicznym, jak również interpretacyjnym, za co publiczność nagrodziła ją hucznymi brawami. Pozostaje nam tylko życzyć jej bezpiecznego tańca na pointach.

W tym akcie też dała się najlepiej słyszeć precyzyjna i sprawna, wycieniowana dynamicznie gra orkiestry pod batutą ALEKSANDRA TRACZA, który w przebiegu całego spektaklu z dużą czujnością akompaniował tancerzom. Czy nie mógł jednak, jako kierownik muzyczny przedstawienia, postarać się o wypełnienie muzyką przykrej i nieuzasadnionej ciszy pomiędzy walką z wiatrakami a snem Don Kichota. Nie byłoby to przecież wbrew tradycji nieustannego przeobrażania się warstwy muzycznej utworu...

Zespół **Driad**, które przyśniły się rycerzowi, okazał się starannie przygotowany i abstrahując od tego, że nie przypadły mu szczególnie karkołomne zadania taneczne, wykazał się dobrym zgraniem zespołowym, ujawniając sporo wdzięku w ruchu i geście. **Władczynią** Driad (na sobotnim przedstawieniu, z którego piszę) była MAŁGORZATA ŚWITAŁA, a pozostałe partie solowe wykonywały z powodzeniem RENATA DĄBROWSKA, HANNA HADRYCH, GRAŻYNA POPŁAWSKA (Amor) MAŁGORZATA SŁADYSZ i MARIA WÓJCICKA.

W akcie III, którego akcję wypełniają w znacznej mierze popisy taneczne głównych postaci przed parą książęcą mieliśmy znów niejeden powód do zadowolenia, głównie dzięki Wycichowskiej i Zalejskiej, a nade wszystko dzięki rzetelnemu wykonaniu grand pas de deux przez WASŁOWSKĄ i KOMASSĘ. Tutaj też gustowny wystrój pałacowego wnętrza przez scenografkę wywołał oklaski.

„Don Kichota" Minkusa określa się jako balet komiczny. Prawdę mówiąc, niewiele było w nim komizmu (poza postaciami Gamache'a i Sancho Pancha) z czego zresztą nie czyniłbym wyrzutów Witoldowi Borkowskiemu, bo dość chyba rzadko nas dziś śmieszą porażki życiowe idealistów. Szczęśliwie więc subtelnymi i sugestywnymi środkami wykreował Bilski tytułowego bohatera na postać melancholijno-liryczną.

Pięknie — na zasadzie „klamry" z prologiem — pomyślano zakończenie spektaklu. Błędny rycerz, po porażce w pojedynku, oddala się wraz ze sługą — w czerwieni zachodzącego słońca, ku dalekim horyzontom. Czy w poszukiwaniu dalszych przygód? Czy jeszcze nie całkiem odarty z iluzji? Trafniejsze to scenicznie od zakończenia powieściowego, którego nam inscenizator słusznie zaoszczędził.

Myślę, że dobrze się stało, iż publiczność miała sposobność zobaczyć dzieło wchodzące w skład światowego kanonu repertuarowego, a jednocześnie nieczęsto wystawiane. Nowa ta premiera, mimo iż utrzymana w tradycyjnej konwencji, a może poniekąd dlatego, znajdzie zapewne uznanie u liczniejszej publiczności.

JERZY KWIECIŃSKI

Ludwik A. Minkus: „Don Kichot" Balet komiczny w trzech aktach. Libretto — **Marius Petipa**, wg. powieści M. Cervantesa. Choreografia, inscenizacja, reżyseria — **Witold Borkowski**, kierownictwo muzyczne — **Aleksander Tracz**; scenografia — **Jadwiga Jarosiewicz**. Premiera 31 maja 86 r.

Z półki recenzenta

ZA DRUTAMI STUTTHOFU

„Los nasz dla was przestrogą ma być, a nie legendą" — takie przesłanie widnieje na skrzydełku obwoluty tej wstrząsającej relacji byłego więźnia obozu koncentracyjnego w Stutthofie.

Obóz w Stutthofie (dziś Sztutowo) początkowo był przeznaczony wyłącznie dla Polaków, ale z upływem lat, kiedy hitleryzm podbijał Europę, stał się obozem międzynarodowym, w którym sposoby likwidowania więźniów były najokrutniejsze i najbardziej prymitywne.

Książka zawiera liczne fotografie.

Wacław Mitura: Za drutami Stutthofu. Wyd. „Pomorze" 1985. Str. 180. Cena 160 zł.

SPERANZA

Książka, którą proponuję, jest szczególna: otóż został w niej połączony wątek wielkich przygód podróżniczych z okrutną rzeczywistością, jaka była udziałem społeczeństw świata zachodniego w okresie handlu niewolnikami. Autor na przykładzie pokolenia wychowanego na ideałach Rewolucji Francuskiej, które nie mogło odnaleźć się w rozwijającym się świecie kapitału i zysku, wyprowadza moralitet natury bardzo ogólnej, który i dziś nic nie stracił na swojej aktualności.

Przekład Zygmunta Łanowskiego.

Sven Delblanc: Speranza. Czyt. 1986. Str. 150. Cena 100 zł.

ROLA GRUBASA W HISTORII

Autor Peter Carey jest uważany za jednego z najwybitniejszych przedstawicieli tzw. nowej fali. Austriak z pochodzenia zyskał spory rozgłos w Europie i za oceanem.

W zbiorze opowiadań, który prezentuje, akcja rozgrywa się w nie określonej bliżej przyszłości, natomiast przeżycia uczestników tych zdarzeń są jak najbardziej nam współczesne. Groteska, ironia, fantastyka — wszystko to sprawia, że czytający mimo woli staje się sam uczestnikiem zachodzących wydarzeń.

Przekład Anny Wiśniewskiej-Walczyk.

Peter Carey: Rola grubasa w historii. Czyt. 1986. Str. 248. Cena 200 zł.

PODRÓŻ W PRZESZŁOŚĆ

W serii „Współczesna Proza Światowa" ukazała się książka Andrzeja Bitowa pt. „Podróż do przyjaciela z lat dziecinnych". Autor jest twórcą tyleż oryginalnym co wymagającym od czytającego wysiłku intelektualnego, a właściwie uczestnictwa w kreowanym przez Bitowa obrazie świata.

Prezentowana tu książka zawiera sześć opowiadań — podróży trwających w czasie i przestrzeni, które to podróże umożliwiają nie tyle poznanie odwiedzanych ziem, ile wejrzenie w głąb siebie samego.

Przekład Zofii Gadzinianki.

Andrzej Bitow: Podróż do przyjaciela z lat dziecinnych. PIW 1986. Str. 532. Cena 400 zł.

JAN SOBIESKI KRÓL POLSKI

We wstępie do wydania polskiego czytamy: „Czytelnik polski otrzymuje do rąk najlepszą chyba książkę, jaką dotąd napisano o Janie III Sobieskim, królu, którego postać i legenda tak głęboko zakorzeniły się w świadomości historycznej naszego narodu..."

Sama książka została napisana w języku niemieckim, a ukazała się w Szwajcarii. Autor — syn Polaka i Węgierki — był związany nie tylko uczuciowo z naszym krajem: był pracownikiem polskiej ambasady w Berlinie, był propagatorem historii i kultury polskiej na Zachodzie.

Przekład Krystyny Szyszkowskiej.

Otto Forst de Battaglia: Jan Sobieski król Polski. PIW 1986. Str. 404. Cena 250 zł.

OCALONY JĘZYK

W podtytule książka zawiera informację, iż jest to „Historia pewnej miłości". Autor Elias Canetti, pisarz austriacki, laureat Nagrody Nobla z 1981 r. jest u nas znany przede wszystkim ze swojej świetnej „Auto da fé".

Dziś proponuję „Ocalony język" tego autora, biograficzną opowieść o miłości pisarza (urodzonego i wychowanego w dzisiejszym bułgarskim Ruse), w której — co nie jest rzadkością w literaturze — stara się on zrekonstruować obrazy swojego dzieciństwa i młodości przebiegającej pod różnymi szerokościami geograficznymi.

Przekład Marii Przybylskiej.

Elias Canetti: Ocalony język. Czyt. 1986. Str. 474. Cena 350 zł.

E. IW.

GRZEGORZ GAZDA

Festiwal filmów dla nikogo

Filmami dla nikogo nazwał kino krótkometrażowe Jerzy Hoffman, przewodniczący jury konkursu międzynarodowego, na pofestiwalowej konferencji prasowej. Sam kiedyś wybitny mistrz małej formy i laureat wielu nagród w tej podbarwionej goryczą formule chciał przedstawić niełatwą obecnie sytuację filmów krótkich: nie chcą ich kina, bo nie chce ich masowa publiczność a i telewizja nastawiona na inne wartości i inne funkcje swojego przekazu traktuje film dokumentalny, poetycki, animowany i eksperymentalny jakby z niechęcią. Hoffman apelował też do dziennikarzy o publiczną obronę tych gatunków filmowych i o przekonanie dystrybutorów i upowszechniaczy że powinni uznać na powrót rangę i społeczną doniosłość małego filmu. Mówił jednakowoż to wszystko bez większej wiary, a nikt z zebranych na konferencji dziennikarzy wątku tego nie podjął. Bo

CZY JEST CZEGO ŻAŁOWAĆ?

Otóż to. Ewolucja mediów filmowych od wielu lat postępuje tak szybko, że niektóre ich tradycyjne formy — w tym także i film krótki — wyraźnie nie nadążają za nowymi oczekiwaniami i wymogami. Telewizja, dla której liczy się przede wszystkim doraźna aktualność, skrót, informacja, publicystyczna perswazja odebrała filmowi krótkiemu wszystkie atuty. Po prostu sama potrafi zrobić wszystko z natychmiastowym skutkiem. Dlatego też zwłaszcza w kinematografiach zachodnich film krótkometrażowy staje się domeną amatorów, hobbistów i elitarnych maniaków którzy naświetlają taśmę dla siebie samych i paru przyjaciół. A ponieważ jest to hobby wciąż kosztowne poszukują różnych filantropów i przypadkowych sponsorów, którym dziękują potem w zakończeniu filmu przez wiele minut a to za wypożyczenie konia z uzdą a to kapelusza z piórami czy innego zegara z kukułką. Następnie obsyłają tymi taśmami festiwale, których ilość trzeba liczyć w dziesiątkach, jeśli nie w setkach. Może się więc zdarzyć, że na którymś z nich życzliwe jury dostrzeże takiego hobbistę i obdaruje jakimś złotym hipopotamem srebrnym pawiem albo brązowym talerzem.

Nieco inaczej i lepiej wygląda to w krajach, gdzie głównym sponsorem są wyspecjalizowane instytucje kinematografii państwowej. Państwu z różnych względów (politycznych społecznych, propagandowych a i prestiżowych) jeszcze zależy na podtrzymywaniu żywotności filmu krótkiego. Istnieją wytwórnie, spore grupy realizatorów, baza techniczna, więc trudno byłoby ten potencjał z dnia na dzień przekreślić. Wszystko jednak wskazuje na to, że wcześniej czy później film krótki stanie się tym czym był: etiudą, warsztatową wprawką eksperymentem, „dyplomem" w szkole filmowej, czyli forma, która zainteresowani będą wyłącznie profesjonaliści i która poza pracownią, ewentualnie wyspecjalizowanym klubem nie będzie miała racji bytu. A hobbiści przejdą na techniki video: już w tym roku krakowscy organizatorzy mówili o możliwości poszerzania formuły festiwalu o te techniki.

Widoczna i postępująca atrofia gatunków krótkometrażowych oraz inflacja festiwali potwierdzają powyższe uwagi. Właśnie festiwale, które gromadzą wciąż tę samą publiczność (realizatorzy, krytycy, działacze klubowi i administratorzy jeżdżą z festiwalu na festiwal) pełnią role oddziałów intensywnej terapii, takich sal reanimacyjnych, gdzie przy pomocy rozmaitych zastrzyków (finansowych) i kroplówek (publicity, fanfary, błyski fleszów etc.) próbuje się utrzymać pacjenta przy życiu. Należy wątpić w skuteczność tych terapii. Wszyscy wiemy, że pacjent umrze.

I nie są to spostrzeżenia śledzionika, którego Kraków w tym roku najpierw rozłożył tropikalnym upałem, a potem stłamsił deszczem i chłodem. W festiwalowym kinie było przytulnie, a organizatorzy stanęli znów na wysokości zadania i stworzyli imprezę o nieskazitelnej administracji i porządku. Moje czarnowidztwo, albo raczej punkt widzenia racjonalisty i pragmatyka, wynika z tego co na ekranie mogłem zobaczyć. Nie zrzucam winy za jakość festiwalowej produkcji na organizatorów: jeśli nie udało się z przeszło siedmiuset filmów wybrać kilkudziesięciu tytułów na godnym międzynarodowego konkursu poziomie, to znaczy że z kinem krótkim jest rzeczywiście nie najlepiej. Potwierdziła to tradycyjna impreza

OBERHAUSEN W KRAKOWIE

a zatem projekcja najlepszych filmów nagrodzonych na najbardziej renomowanym festiwalu na świecie. W tym roku już po kilkunastu minutach zaczęły trzaskać fotele, a zdegustowana publiczność gremialnie opuszczała kino. A oto z czym do Krakowa przyjechała Karola Graman, nowa dyrektorka Westdeutsche Kurzfilmtage w Oberhausen: po pierwsze obejrzeliśmy film chilijski obdarowany wieloma nagrodami (w tym Grand Prix), zatytułowany „Jest nas więcej" czyli amatorski i przypadkowy montaż obrazów demonstracji kobiet pacyfikowanej przez policję przy pomocy armatek wodnych; po drugie, film bułgarski „Bajka o drodze", animacyjny elephantiasis bez jakiegokolwiek rygoru i łączącej w całość poszczególne pomysły idei; po trzecie węgierski obraz pt. „Ach Ameryka", nużącą i rozwlekłą dokumentację życia naddunajskich emigrantów w Nowym Świecie sprzed dziesiątków lat; po czwarte, zachodnioniemiecką kreskówkę „Człowiek w negatywie" niewybredny żart o tyle dobry, że opowiedziany w trzy minuty. Na tym, jakże miernym tle, zajaśniał na krótko, bo na piętnaście minut, radziecki film z Gruzji pt. „Wycieczka", zabawne zderzenie oficjalnej i pompatycznej biografii pisarza ze wspomnieniami najbliższych, dla których uznana wielkość to „zwyczajny" człowiek ze swoimi słabostkami i wcale nie pomnikowymi nawykami.

Taka reprezentacja oberhauzeńskich laureatów odpowiadała w pełni temu, co na tamtejszym festiwalu pokazano. Opinię tę wyrażali ci wszyscy, którzy w tym roku przyglądali się światowemu kinu w Oberhausen. Krakowski festiwal zatem — myślę tu o konkursie międzynarodowym — nie był lepszy ani gorszy.

Zacząłem swoje sprawozdanie od imprezy towarzyszącej festiwalowi (takich imprez było więcej bo i wystawa plakatu, przegląd filmów Bogdana Dziworskiego, retrospektywa dokumentu angielskiego pokaz Filmoteki pn. „30 lat temu", etiudy łódzkiej PWSFTviT), ponieważ wydała mi się ona wielce symptomatyczna dla kryzysowej sytuacji kina krótkiego. Jednak w tym roku zdarzyło się coś, co będzie dobrze zapisane w pamięci widzów i szyvkach „Gazety Festiwalowej" a mianowicie

FESTIWAL OGÓLNOPOLSKI

który ni stąd ni zowąd (po paru latach posuchy trudno nie mówić o zaskoczeniu) obrodził dobrymi filmami i nowymi nazwiskami, które warto zapamiętać. Uroczystości ogłoszenia werdyktu (przewodniczył Henryk Kluba) i rozdania nagród towarzyszyły rzęsiste oklaski i jednomyślny aplauz. A przecież nic takiego finału nie zapowiadało. Przeciwnie. Wypowiedź Romana Bonieckiego — przewodniczącego Komisji Selekcyjnej, która dokonywała wyboru filmów na festiwal (ze 175 tytułów zakwalifikowano 51) — sugerowała, że znów będziemy oglądać obrazy o tzw. ludziach niezwykłych, dziwakach i oryginałach, rocznicowe składanki, czyli filmy montażowe albo doraźną publicystykę nadbudowaną na konwencjonalnych i zgranych schematach. Na koniec selekcjoner dodał: „Nasuwa się też wniosek, że ani dokument, ani cały krótki metraż nie potrafią znaleźć sobie aktualnego miejsca w naszej rzeczywistości".

Z większą wiarą w wartość swoich propozycji festiwalowych wypowiadali się przedstawiciele wytwórni, którzy tradycyjnie już narzekali na surową selekcję (np. WFO zgłosiła 28 filmów, z których przyjęto ostatecznie 8) i chwalili — co oczywiste — własną produkcję. Powiem banalnie, że prawda zawiera się chyba pośrodku: chcąc coś na ten temat obiektywnego wyrokować musiałbym znać filmy odrzucone. A tak na marginesie: dlaczego nie pokazać by — jak to już w Krakowie bywało — tytułów nie zakwalifikowanych i stworzyć tym samym zainteresowanej publiczności szansę obejrzenia w pełnym wymiarze polskiej produkcji krótkometrażowej? Byłaby to jedyna okazja zaprezentowania tych filmów, okazja która z powodów o jakich pisałem na wstępie, gotowa się już nie powtórzyć.

Grand Prix w postaci „Złotego Lajkonika" jury przyznało Andrzejowi Czarneckiemu za film pt. „Szczurołap". Autora można uznać za debiutanta, bo nagrodzony tytuł to dopiero drugi obraz w jego dorobku. To wspaniałe w biografii względnie młodego twórcy zaczynać od najwyższych nagród („Szczurołap" otrzymał też Nagrodę Specjalną na festiwalu międzynarodowym). Nagrodzony film nazwałbym jugosłowiańskim, bo tamtejsi realizatorzy przyzwyczaili nas do prezentacji wycinka autentycznej rzeczywistości, nad którym nadbudowują ponadjednostkową i uogólniającą metaforę. Taki jest też „Szczurołap", jakby szkolenio-oświatowy obraz pracy deratyzatora-profesjonalisty, obraz prezentowany z naturalistyczną i werystyczną bezwzględnością. Autor nie oszczędza widza i pokazuje każdy etap pracy tytułowego szczurołapa który najpierw oswaja szczury, aby je potem z zimną krwią otruć wystrzelać i roztrzaskać o beton. Temu wszystkiemu oglądający próbuje nadać jakiś wyższy sens (taka sugestia wynika przecież z wyboru przez autora tematu oraz ze sposobów jego prezentacji), ale — prawdę mówiąc — nie jest to łatwe, bo przesłanie wydaje się dość nachalne, a w ostatecznym rezultacie demagogiczne. Uznać jednak trzeba zarówno nieskazitelny warsztat Czarneckiego dokumentalisty i znakomite zdjęcia Piotra Sobocińskiego, Marcina Isajewicza i Mirosława Herny (zasłużona nagroda jury dla całej trójki). Film wyprodukowała łódzka Wytwórnia Filmów Oświatowych.

Nagrody Specjalne otrzymali Ireneusz Engler i Andrzej Fidyk, a zatem autorzy już znani i uznani. Pierwszy z nich za film „Stadion, czyli żywot Józefa" (WFD), drugi za dokument zatytułowany „Prezydent" (TvP). Warszawski Stadion X-lecia był świadkiem wielu oficjalnych uroczystości, których montażowa antologia przywołana przez pryzmat jego budowniczego, a teraz pracownika staje się jakąś wypowiedzią na temat naszej powojennej historii. Piszę „jakąś" bo film nie próbuje ani tej historii wnikliwie interpretować, ani jej oceniać. Nędze (obecne) i blaski (niegdysiejsze) Stadionu X-lecia to zbyt uproszczona metafora. Zresztą dla każdego z widzów przedstawione na ekranie historyczne wyimki ze starych kronik co innego znaczą, przywołują inne refleksje i inne oceny.

Podobnym w pomyśle, dobrze przyjętym przez publiczność, a nie zauważonym przez jurorów był film „Polfelu" (reż. Andrzej Fidyk) „Noc w Pałacu" (chodzi o Pałac Kultury i nauki w Warszawie). Tu też jego pracownicy wspominają przeszłość i teraźniejszość naszego kraju z perspektywy pałacowej historii.

Wracając do nagrodzonego „Prezydenta", filmu o oryginalnym hodowcy świń na obrzeżu wielkomiejskiego blokowiska emerytowanym robotniku i naiwnym społeczniku z powołania, który chce walczyć z głodem na świecie: podobnie jak w „Szczurołapie" naturalistyczna obserwacja ma mieć ogólnohumanistyczne przesłanie i bodaj takie ma, bo film doceniło jury międzynarodowe honorując autora „Srebrnym Smokiem".

Nie chciałbym, aby moje sprawozdanie zmieniło się w powielony protokół sądu konkursowego, zatem abstrahując od tego dokumentu (ogłaszała go prasa codzienna) wyróżniłbym z krakowskiego festiwalu krajowego jeszcze kilka tytułów wartych uwagi dystrybutorów i przyszłych widzów. Przede wszystkim Jerzego Ziarnika „Mistrza — prezydenta", rzetelną i sprawną powieść biograficzną o Ignacym Paderewskim, kompozytorze, pianiście i polityku-patriocie, ponieważ jest to film o bezsprzecznych walorach poznawczych! Jerzego Woldana „Pana Szperlika", filmową analizę osobowości tokarza Opolskich Zakładów Spawalniczych, obraz-przykład kina społeczno-politycznego o istotnych problemach ludzi pracy w Polsce (zasłużona więc nagroda Klubu Krytyki Filmowej SD PRL); Jacka Bławuta „Cyrk Skalskiego" — rekonstruowany portret słynnego pilota, uczestnika „bitwy o Anglię"; Łukasza Wyleżalka „W środku Polski, na końcu świata" film o współczesnej silaczce nie bez uogólniającej ironii.

Właściwie każdy film pokazywany na przeglądzie krajowym dałby się obronić, a to za ciekawy temat, a to za walory społeczne czy wreszcie za walory warsztatowo-artystyczne, co w sumie skłaniałoby do ocen zadowalających i optymistycznych na przyszłość, zwłaszcza, że do głosu doszli także twórcy młodzi i najmłodsi.

Na tym tle właśnie

FESTIWAL MIĘDZYNARODOWY

i zaprezentowane na nim filmy musiały razić swoją amatorszczyzną, konwencjonalnością i myślową bylejakością. Jury — jak przypuszczam — było w sporym kłopocie co zrobić z kilkunastoma nagrodami regulaminowymi, które choćby dla zasady należało przyznać. Aż korciło mnie, aby na konferencji prasowej z jurorami zapytać, czy brali pod uwagę możliwość nieprzyznania Grand Prix. Doszedłem jednak do wniosku, że pytanie byłoby naiwne: co to za festiwal, na którym oto nie znaleziono kandydata do najwyższej nagrody!

Patrząc w werdykt jury wydawałoby się, że rewelacją tegorocznego konkursu międzynarodowego był film jugosłowiański „W autobusie" (reż. S. Zaninović), bowiem oprócz „Grand Prix" otrzymał nagrodę FIPRESCI oraz FICC (Międzynarodowej Federacji Klubów Filmowych). Nie znajduję motywów dla tych nagród. „Po prostu film nam się podobał" — odrzekł Jerzy Hoffman na pytania dziennikarzy zamykając w ten sposób jakąkolwiek dyskusję, bo nie sposób kłócić się o gusta. O przypadkowości tej nagrody świadczą także inne wypowiedzi mniej lub bardziej oficjalne. „W zasadzie — słyszało się — trzeba było nagrodzić polskiego „Szczurołapa", jednak nie chcieliśmy sprawiać wrażenia, że faworyzujemy rodzimą produkcję". Tak czy inaczej nikt tego roku nie emocjonował się efektami pracy jury, ani hierarchią nagród.

Film „W autobusie", w porównaniu z wieloma rzeczywiście znakomitymi obrazami jugosłowiańskimi z lat poprzednich, które umykały uwadze jurorów, jest zaledwie zabawną anegdotą o pasażerach, którzy w ścisku i niewygodzie jadą rano do pracy. Znamy tę atmosferę, twarze szare, podenerwowane i skore do kłótni. A tu jakiś wesołek włącza radio i rozlega się skoczna ludowa pieśń. Mija zdenerwowanie, pojawiają się uśmiechy, co niektórzy zaczynają rytmicznie przytupywać. Pasażerowie teraz to zupełnie inni ludzie — życzliwi sobie i radośni. Ale kończy się muzyka, a z radia słychać — też nam znany — dęty komentarz propagandowy. I wszystko wraca do normy, zaczyna skrzeczeć codzienna rzeczywistość rannej podróży do pracy w tłoku i zdenerwowaniu. Ten inscenizacyjny gag nie zasługiwał na najwyższą nagrodę na festiwalu, którego hasłem jest formuła „NASZ WIEK XX"

Nagrody Specjalne przypadły omawianemu już „Szczurołapowi" i filmowi radzieckiemu „Oblatywacz" (reż. Iwan Dychowiczny). Na marginesie tego drugiego tytułu trzeba powiedzieć, że kinematografia radziecka zaprezentowała w tym roku w Krakowie zestaw najlepszy. A nie zawsze tak bywało, często oglądaliśmy plakaty o doraźnej funkcji, laurki i hagiografie. Tego roku, każdy z zaproponowanych filmów był inny i skupiał uwagę widza przemyślną konstrukcją, doskonałym warsztatem i humanistyczną wymową. Wspomniany „Oblatywacz", to poetycki dramat o śmierci lotnika przedstawiony środkami tyleż oszczędnymi, co artystycznie trafnymi i przejmującymi. W tej kategorii „małej fabuły" obejrzeliśmy jeszcze „A kim ty jesteś?" Swietłany Ilińskiej, adaptację opowiadania A. Płatonowa nawiązującą w swojej postyce do najlepszych tradycji kina radzieckiego. Film nie został dostrzeżony przez jury. Dalej „Siedmiu Siemionowych" W. Fisnera (Nagroda Główna), ciepła dokumentaryzowana opowieść o siódemce braci, wychowanych w zgrzebnych, prowincjonalnych warunkach przez zapracowaną wdowę, którzy stworzyli amatorski zespół jazzowy. I biograficzny film o Czechowie pt. „Schody" S. Starodubcewa swoją kameralnością i poetyckim umiarem w niczym nie przypominał konwencjonalnych obrazów tego rodzaju. Nawet dwa pozostałe filmy „Jarosławski portret" i „Michał Somow — kronika ekspedycji ratunkowej", choć już bardziej typowe i tradycyjne, także zostały przyjęte dobrze przez publiczność.

Spoglądając w werdykt jury zastanawiałem się, jakie jeszcze filmy rzeczywiście zasługiwały na nagrody. Może film chiński, oświatowy obraz o czerwonych mrówkach — strażniczkach sadów mandarynkowych? Albo angielskie „Skrzydła śmierci", halucynacyjna wizja subiektywizowana przez świadomość młodego narkomana? Wreszcie może kanadyjska animacja pt. „Wielkie cięcie" (reż. R. Condie), najdowcipniejszy i prawdziwie śmieszny film rysunkowy o małżonkach-emerytach, którzy przekomarzają się i zrzędzą, gdy oto za oknem dochodzi do atomowej katastrofy? Notabene musiał to być bezsprzecznie dobry film, jeśli potrafił w festiwalowym kinie „Kijów" rozśmieszyć publiczność do łez!

Mógłbym dalej nużyć czytelnika kolejnymi tytułami i streszczeniami — tylko po co? Ogólnego obrazu krakowskiej imprezy to nie zmieni, a co o niej sądzę wyraźnie wyżej napisałem. Jerzy Bossak, przewodniczący Komitetu Festiwalowego (aby podeprzeć moje opinie głosem autorytetu) powiedział na koniec: „Światowe kino — a krótki metraż w szczególności — trapi szereg zjawisk kryzysowych. W Krakowie było to również widoczne. Odnoszę wrażenie, że im mniej filmu krótkiego w kinach tym więcej organizuje się na świecie festiwali mu poświęconych. Polski też to zjawisko nie ominęło".

Gdyby tak jeszcze na festiwalach było co oglądać!

■

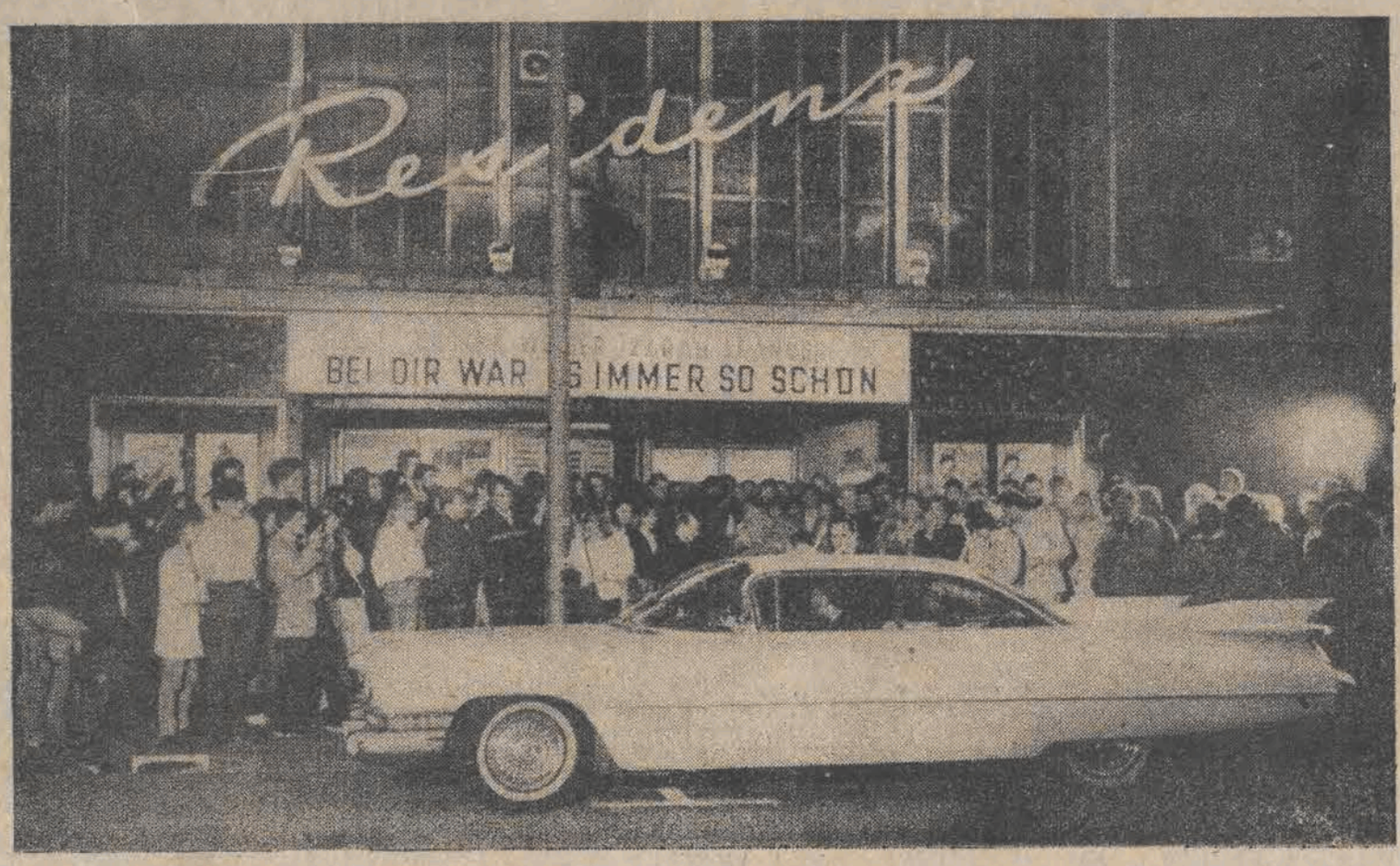

Kadr z filmu „Ende", prod. RFN

Człowiek w walizce

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Doktor Pragmasiński-Irytowski, znany pseudointelektualista i wyznawca coraz bardziej popularnego idealizmu materialistycznego obudził się tego rana wyjątkowo rześki i wypoczęty. Przez uchylone wieko starej, skórzanej walizki wpadały nieśmiałe promyki słońca. Ten dzień zapowiadał się szczególnie interesująco. Prezes obiecał mu przecież tak upragnione spotkanie z samym wiceministrem! Musi wyglądać schludnie i elegancko. Doktor raźno wyskoczył z walizki i pobiegł truchcikiem do łazienki. Po chwili parskając dziarsko i strząsając z siebie kropelki wody wrócił do pokoju i wyciągnął z walizki szorstki ręcznik. Tak, miał wiele do powiedzenia wiceministrowi... Życie płynie tak spokojnie i gładko, ale on, doktor Pragmasiński-Irytowski od dawna coś podejrzewał. Teraz ma w ręce dowody, mogące skompromitować połowę departamentu transportu. Brr, aż strach pomyśleć. Jeszcze miesiąc temu był całkowicie przekonany jak wszyscy obywatele, że to automaty i tylko automaty transportują ludzi w walizkach do pracy, prowadzą samochody, metro, ryksze i inne środki komunikacji. Ludziom bez walizek nie wolno bowiem poruszać się po ulicach, maszyny mają rozkaz strzelać do każdego, kto opuści swoją walizkę w miejscu publicznym. Właściwie doktor nigdy nie zastanawiał się dlaczego tak jest. Nie miał powodu, by wątpić w słuszność tych decyzji, aż któregoś dnia nie zamknął dobrze swojej walizki przez roztargnienie (za co groziły surowe sankcje) i zobaczył coś, co przeraziło go i zdumiało zarazem.

Doktor ubierał się pośpiesznie, bowiem do przybycia transportu pozostało już niewiele czasu, a transport rzadko się spóźniał, chociaż ostatnio zdarzało się coraz częściej. Tak, odkryje przed wiceministrem wszystko... cały ten haniebny spisek... czeka go może awans... nagroda, urlop, pochwała przełożonych, może przedstawią go do odznaczenia. Opłacało się później ryzykować i podsłuchiwać regularnie transportujących go osobników. Dowiedział się rzeczy strasznych, od których cierpła mu skóra i zaczynał wątpić w podstawy swojej umiłowanej filozofii. Wtedy zdecydował się nie mówić nikomu o swoich odkryciach, nawet prezesowi (którego podejrzewał o udział w spisku) i domagać się audiencji u wiceministra. Był to człowiek o nieposzlakowanej opinii, mający wielki autorytet moralny, a jego rady w sprawach większej wagi zasięgał czasem sam władca. Młodzież uważała go za swego duchowego przywódcę. Niebagatelną rolę odgrywał też fakt, iż wiceminister był emerytowanym pisarzem, autorem wielu głośnych powieści i opowiadań. Funkcję pisarza przestał pełnić na własną prośbę w wieku około 50 lat, otrzymał zgodę na dymisję i ku rozpaczy licznych rzesz wiernych czytelników otrzymał posadę wiceministra w jednym z kluczowych departamentów.

Doktor jeszcze raz spojrzał na zegarek — dochodziła jedenasta. Nerwowo zawiązał pod szyją swój najnowszy krawat, przeczesał siwiejące już miejscami włosy, krytycznie spojrzał w lustro i, ponieważ wydawało mu się, że słyszy już kroki na korytarzu, szybko położył się w walizce i zamknął starannie wieko od wewnątrz. Słuch nie mylił go. Już po chwili poczuł gwałtowne szarpnięcie za rączkę walizki i boleśnie skaleczył się w palec. „Cholera jasna! Chuligan! W ogóle nie uważają. A swoją drogą muszę poprosić o przydział nowej walizki".

Po półgodzinnej jeździe znowu poczuł szarpnięcie (tym razem delikatniejsze) i ktoś lekko zapukał w wieko walizki. Był to znak, że jest na miejscu i może wyjść na zewnątrz. Otworzył walizkę, wstał, poprawił krawat i marynarkę, następnie zamknął walizkę i rozejrzał się wokoło. Znajdował się w hallu budynku departamentu, a w jego kierunku nadbiegał już zdyszany odźwierny. Doktor ścisnął więc mocno w garści rączkę swojej walizki i ruszył na spotkanie woźnego.

— „Słucham pana?" — usłyszał chłodne pytanie.

— „Jestem zapowiedziany na audiencji u wiceministra na 12.30" — odrzekł z godnością doktor.

— „Proszę tu zaczekać" — rzekł woźny stanowczo. — „Jak nazwisko?" — Tu odźwierny wykonał kilka telefonów. Po ostatnim kiwnął głową przyzwalająco:

— „Pan wiceminister oczekuje pana w sali numer 5. Proszę jeszcze tylko tu podpisać" — podsunął doktorowi pióro i jakiś formularz. — „Sala 5, pierwsze piętro" — powtórzył znowu. — „Walizkę może pan tu zostawić".

Doktor odetchnął głęboko i zachwiał się na nogach. Oto za chwilę objawi światu wielką prawdę, ocali kraj od katastrofy — on, zwykły, niepozorny doktor filozofii. Los wybrał go na bohatera, więc nie mógł się sprzeciwić.

Podziękował woźnemu i głośno tupiąc podkutymi butami ruszył w głąb ciemnego korytarza. Nareszcie spełnią się jego marzenia! Audiencja tutaj, w tym budynku, nieosiągalna dla zwykłego śmiertelnika to zaszczyt sam w sobie. Rozglądał się więc ciekawie wokoło i rozkoszował każdym szczegółem — długością korytarza, przyćmionym światłem (bardzo dyskretnym), pięknem dębowej boazerii, wreszcie ciszą i pustką nadającą gmachowi majestatyczną głębię. Powoli wszedł na marmurowe schody i odnalazł obite skórą drzwi z tabliczką numer 5. Chwilę stał niezdecydowany, a następnie nacisnął klamkę i głęboko wzdychając, wsunął głowę do pokoju. Za ogromnym, mahoniowym biurkiem siedział starszy, siwy już mężczyzna o fizjonomii tak dobrze znanej doktorowi z telewizji. Wiceminister grzebał w stosie papierów i palił grubego papierosa. Doktor zebrał się na odwagę i chrząknął:

— „Przepraszam... byłem umówiony z panem... wiceministrem.. Dzwonił tu pan prezes... Ja właśnie jestem Pragmasiński-Irytowski".

Wiceminister podniósł oczy znad akt i spojrzał przyjaźnie na intruza.

— „Aaa, to pan, panie doktorze! Bardzo mi przyjemnie, wiele dobrego o panu słyszałem, wiele dobrego. Położył pan wielkie zasługi na polu propagowania, a pańska rozprawa „O komparatystyce porównawczej" należy do najlepszych dzieł naszej filozofii. Witam, witam serdecznie" — to mówiąc powstał i wyciągnął żylastą dłoń, którą doktor uścisnął z widocznym szacunkiem.

— „Dziękuję" — bąknął niepewnie. — „Pan wiceminister jest nazbyt uprzejmy".

— „Niech pan nie będzie taki skromny, drogi kolego. Pański dorobek jest niezaprzeczalny" — doktor aż poczerwieniał z radości — „postanowiliśmy to nagrodzić i naprawić naszą omyłkę".

Doktor był wniebowzięty i szczęśliwy.

— „Już dawno powinien pan awansować. Otrzyma pan także przydział na nową walizkę. Zapewne to pana do mnie sprowadza, prezes mówił mi że pracuje pan obecnie nad nową rozprawą. Jestem przekonany, iż uda się panu obronić pracę i przygotowałem już odpowiednie dokumenty — oto propozycja podwyżki o dwa tysiące i, tu wiceminister zawiesił głos, mój specjalny prezent — wyjazd na roczne stypendium za granicę. Proszę tylko podpisać i przyjąć moje serdeczne gratulacje".

— „Ależ panie wiceministrze... jestem ogromnie wdzięczny... ale ja tu przyszedłem w całkiem innej sprawie..." — powiedział oszołomiony doktor.

Wiceminister uśmiechnął się wyrozumiale.

— „Ach, prawda, całkiem zapomniałem. Proszę, przydział na nową walizkę".

Doktor machinalnie wziął formularz i zaskoczony patrzył na promieniejącego urzędnika.

— „No, co pan tak stoi? Proszę siadać" — wskazał doktorowi aksamitny, głęboki fotel. — „obejrzeć sobie to wszystko, sprawdzić i zdecydować się spokojnie".

— „Panie wiceministrze, ja muszę z panem porozmawiać o rzeczach najwyższej wagi... od których zależą być może dalsze losy naszego kraju. Odkryłem spisek, zdradziecką konspirację. Mam dowody... nagrania. Właśnie w tej sprawie przyszedłem do pana, który zawsze był dla mnie wzorem dyskrecji i wierności".

— „Co też pan mówi, panie doktorze? Spisek? To niemożliwe. Nasza służba z pewnością odkryłaby jakiekolwiek knowania i zdławiła je w zarodku, a nie mieliśmy żadnych meldunków. A poza tym wie pan doskonale, że kontrrewolucja może wystąpić jedynie w kraju o niskim poziomie życia politycznego".

— „Wiem, panie wiceministrze, ale błagam, niech pan mnie wysłucha. Ja mam dowody (doktor rozejrzał się i ściszył głos), są to nagrania, które przechowuję w domu w sejfie. Trzeba natychmiast działać".

— „Pan się myli z pewnością" — rzekł wiceminister.

— „Proszę jednak aby wolno mi było poinformować pana o moich spostrzeżeniach".

— „Jeśli pan tak nalega" — niechętnie, ale uprzejmie powiedział wiceminister — „ale doprawdy, szkoda pańskich nerwów".

— „A więc, panie wiceministrze, muszę się najpierw przyznać, że pewnego dnia uchybiłem przepisom i nie domknąłem mojej walizki. Muszę tu z całą mocą podkreślić, że był to przypadek, i tylko przypadek. Po prostu rękaw mego garnituru dostał się między zatrzaski walizki i uniemożliwił zamknięcie. Byłem tego dnia bardzo rozkojarzony".

— „Ach, pan się znowu myli" — przerwał z wyższością wiceminister. — „Dawno już powinien był pan wykreślić to słowo z używanego przez siebie leksykonu. Nasz kraj postanowił skończyć z przypadkami raz na zawsze, by zabezpieczyć się np. przed trzęsieniem ziemi lub też eksplozją nuklearną. Przypadek, drogi kolego, nie istnieje. Ale proszę mówić dalej — cóż się stało?".

— „Otóż czekałem, jak zwykle w środy, na transport do pracy. Automaty spóźniły się już po raz drugi w tym miesiącu, co było bardzo dziwne, bo to przecież maszyny, i kiedy leżąc w walizce poczułem charakterystyczne szarpnięcie, usłyszałem — niech pan uważa, panie wiceministrze — usłyszałem SŁOWA — wycedził doktor, który spodziewając się jakiejś reakcji zwierzchnika popatrzył na niego zwycięsko. W istocie, twarz wiceministra zmieniła wyraz, a kąciki ust drgnęły mu nieznacznie. Nie przeszkadzając doktorowi, wiceminister wyjął dwa cygara z pięknej, rzeźbionej szkatuły. Jedno zapalił, a drugim poczęstował gościa. Doktor mówił dalej:

— „Tak proszę pana, SŁOWA. Jeden z domniemanych automatów powiedział: — „Ale ciężki ten filozof" i stęknął z wysiłku, a drugi mu odpowiedział: „Ma też starą, ciężką walizkę" i wulgarnie zaklął. Nie wierzyłem własnym uszom i byłem przekonany, że od nadmiaru pracy nie wytrzymały moje zszargane nerwy, ale kiedy podczas jazdy sprawdzano moje zamki na walizce, zauważyłem **ludzkie palce**, panie wiceministrze. Z całą pewnością ludzkie, nawet miały trochę brudne paznokcie. Pan rozumie, jak bardzo byłem wstrząśnięty. Aby zdobyć pewność, co do strasznych podejrzeń, jakich nabrałem, zacząłem regularnie podsłuchiwać podczas transportu. Wszystkie moje najgorsze przeczucia sprawdziły się, niestety. Panie wiceministrze, to nie były maszyny — to byli ludzie, żywi ludzie! A to przecież jest jakaś daleko posunięta infiltracja wśród organów transportu. Znam przepisy i wiem, że obywatelom nie wolno poruszać się po ulicach bez walizek, a obowiązki związane z komunikacją od lat spełniają automaty. Ale przy bliższym badaniu okazało się, że na ulicach jest pełno ludzi. Panie wiceministrze, co ja widziałem! No, wprost dantejskie sceny.

— „Doprawdy, co też pan opowiada? Ależ to czysta fantazja. Pan jednak zbyt dużo pracował. Ludzie na ulicach, no to już przechodzi wszelkie pojęcie! Niech pan będzie rozsądny, panie doktorze". — łagodnie perswadował wiceminister. A zresztą skąd pan wie, co dzieje się na ulicach?".

— „Popełniłem ciężkie przestępstwo, panie wiceministrze, ale zrobiłem to dla kraju! Wyszedłem na ulicę bez walizki" — przyznał ze skruchą doktor.

— „Cooo?! Co takiego?! To jest niedopuszczalne! To... to karygodne!! Surowo zabronione! I to pan, dorosły człowiek, naukowiec! Taki przykład dla młodzieży! Wstyd panie doktorze, wstyd" — wiceminister tym razem zdenerwował się nie na żarty. — „Ze względu na pańskie zasługi tym razem zapomnimy o tym, ale tylko w drodze wyjątku. Prawo jest prawem, panie doktorze, i nikt, nawet ja czy sam minister, nie może przekraczać go bezkarnie".

— „Ja... zrobiłem to dla ojczyzny. Widziałem spiskowców w grupkach po dwóch, po trzech... jeździli samochodami i pili alkohol, i widziałem, jak kilku z nich zniszczyło automat pocztowy. Wznosili przy tym antypaństwowe i bluźniercze okrzyki. Włóczyli się ulicami miasta zupełnie nie niepokojeni przez nikogo, automaty policyjne mijały ich obojętnie. Ja myślę, panie wiceministrze, że to najlepszy dowód — spiskowcy muszą posługiwać się jakimiś znakami, jak masoni. Pokazują je policji w niebezpiecznych momentach — to prowadzi do wniosku, że policja także pełna jest zdrajców. A zatem nie mogą to być maszyny, które nie są przecież zdolne do kłamstwa i muszą reagować tak, jak zostały zaprogramowane. Skoro przestępcy przeniknęli nawet tam, to nie ma miejsca w mieście, które byłoby bezpieczne. Kto wie, czy w tej chwili nikt nas nie podsłuchuje...".

— „Dość!! Tego już za wiele, doktorze!" — wiceminister uderzył w blat eleganckiego biurka otwartą dłonią. — „Najpierw opowiada mi pan bzdurne, zmyślone historie, i nie dość, że każe mi pan w nie wierzyć, to jeszcze wysnuwa pan teraz niejasne i złośliwe insynuacje. Pan jest bezczelny albo niepoczytalny! Albo jest pan zdrajcą stanu! Innej możliwości nie widzę. Czy pan zdaje sobie sprawę, że podobna audiencja nadaje się do prokuratury jako akt oskarżenia przeciw panu? Że na tej podstawie każdy sąd w tym kraju skaże pana na śmierć i odebranie praw publicznych? Miałem pana za uczciwego człowieka, i zawiódł pan moje nadzieje".

Doktorowi zakręciło się w głowie. Spotkanie z wiceministrem przybierało coraz bardziej nieoczekiwany obrót, dla doktora wręcz niebezpieczny. Właściwie kategoryczna postawa wiceministra poparta jego wiedzą, pozycją i doświadczeniem spowodowała, iż pewność doktora co do niektórych jego koszmarnych spostrzeżeń została zachwiana. Jednak uznał za właściwe usprawiedliwić się:

— „Ależ... panie wiceministrze. Ja w dobrej wierze... Z miłości ojczyzny. Miesiąc nie spałem, oddając wszystkie siły krajowi zbierałem mozolnie dowody. Proszę mi wybaczyć. Ja także nie mogłem w pierwszej chwili uwierzyć, a przecież... Ale to oczywisty absurd, ja wiem. Ja chyba jestem chory, panie wiceministrze".

— „Taaaak" — mruknął wiceminister. — „Rozumiem".

Doktor patrzył na niego jak błędny i nagle krzyknął wysokim, histerycznym głosem:

— „Ale ja mam dowody, nagrania! One są!!! Istnieją!".

— „Nonsens" — spokojnie rzucił wiceminister. — „Jakie tam znowu nagrania. Sfabrykował je pan w malignie albo namówił przyjaciół, żeby zrobić mi pyszny kawał. Udał się, udał się panu, trzeba to przyznać, winszuję wyobraźni".

— „Dlaczego pan mi nie wierzy?" — z bezsilną rozpaczą zapytał cicho doktor.

— „Nie mogę uwierzyć w coś, co nie istnieje" — wiceminister rozłożył ręce.

— „Ale ja widziałem! Słyszałem!" — zaprotestował słabo doktor.

— „Widział pan! Hmm! To doniosłe odkrycie. Ale ja rozumiem. Niepotrzebnie się uniosłem, chyba nawet krzyczałem na pana, za co przepraszam. Doceniam pańską troskę o losy i przyszłość państwa i pańskie poświęcenie w pracy naukowej. Cofam swe ostre słowa i proszę, aby pan się uspokoił. Och, jak pan wygląda, drogi kolego" — wiceminister znów przyjął swą poprzednią pozę. — „Mam dla pana propozycję, którą ma pan traktować jako polecenie służbowe. Otóż wysyłam pana natychmiast do sanatorium w góry, na wczasy — odpocznie pan sobie, wyśpi się, nabierze sił. A my tutaj na miejscu wszystkim się zajmiemy, zbadamy te pańskie.. dowody i przesłuchamy kogo trzeba. No co, zgadza się pan?".

— „Czy to znaczy... że pan nie uważa mnie... za wariata?" — zapytał doktor.

— „Oczywiście, że nie! O, nie daję wiary tej konspiracji. Jednak wierzę, że jest pan przekonany o swojej niedorzecznej racji i choćby dlatego zgodziłem się udowodnić panu, że stan faktyczny jest inny. Czy przyjmuje pan moją ofertę? Oczywiście, pański awans i podwyżka zostają także utrzymane w mocy".

Twarz doktora rozjaśniła się nagle.

— „Ależ tak, naturalnie, tak! Jestem panu dozgonnie wdzięczny i pełen podziwu dla pańskiej rozwagi i dobroci. Może jednak moje obserwacje do czegoś się przydadzą, proszę mi wierzyć, że chciałem tylko pomóc i mam nadzieję, że się pomyliłem".

— „Pomylił się pan z pewnością. Albo omamiły pana własne zmysły, albo ktoś pana oszukał. Ale obiecuję panu zbadać wnikliwie tę sprawę i wyjaśnić ją do końca. Oto moja ręka, doktorze, niech pan nie żywi do mnie urazy. A teraz niech pan jedzie do domu, skierowanie i bilet będą tam przed panem. Gdzie pańska walizka?".

— „Na dole w portierni".

— „Doskonale doktorze. Wpadnie pan do mnie po powrocie, za miesiąc i wszystko będzie już jasne. Dziękuję w imieniu własnym i kraju. Do zobaczenia! Niech pan zapomni o wszystkim i wypoczywa".

— „Bardzo, bardzo dziękuję. Do widzenia, panie wiceministrze. Jestem pewien, że urlop dobrze mi zrobi, bo rzeczywiście czuję się ostatnio bardzo słaby".

Doktor wyszedł z gabinetu i ogromnie dziwił się, idąc na dół po walizkę. Dziwił się nagłej zmianie w zachowaniu sławnego męża stanu, i temu, że później znów opanował się i przychylił do jego prośby. Dziwił się pustce w gmachu ministerstwa i sobie samemu, że uwierzył w brednie, które powtórzył dzisiaj na audiencji. Dziwił się także, kiedy zobaczył, że dwa automaty transportowe czekają już na niego i zamykając wieko walizki cieszył się na myśl o miesięcznym urlopie. Dziwił się jeszcze pół godziny później, gdy spadał w kilkusetmetrową przepaść razem ze swoją walizką.

Kronika kulturalna

PO powrocie z XII Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Lalek w Bielsku-Białej, na którym opera **Wojciecha Bogusławskiego „Krakowiacy i Górale"** z muzyką **Jana Stefaniego** w reżyserii **Wojciecha Kobrzyńskiego i scenografii Alego Bunscha** oraz **Ewy Przemyckiej** przyjęta została owacyjnie, Państwowy Teatr Lalek „Pinokio" w Łodzi udaje się na występy gościnne do Rzeszowa. Przedstawienie „Krakowiaków i Górali", które otrzymało najwyższe nagrody na Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Lalek w Opolu w 1985 roku oraz uhonorowane zostało Srebrną Łodką 1986, zainauguruje Rzeszowskie Spotkania Teatrów Lalkowych odbywające się w dniach od 5 do 8 czerwca 1986r.

BIURO Wystaw Artystycznych w Łodzi i Muzeum Sztuki są organizatorami występy „Société Lyonneise des Beaux-arts" — malarstwo, rysunek, rzeźba, fotografia. Otwarcie wystawy 13 czerwca.

STOWARZYSZENIE Twórców Kultury było gospodarzem w minionym tygodniu kilku ciekawych imprez. I tak 6 czerwca w „Klubie pod witrażem" można było usłyszeć **Dominique Mazeaud** (Transformatione art) i **Boba Schimrla** (New Age/ Feart-Wert). W poniedziałek 9 czerwca autorski program estradowy zaprezentowali **Krystyna Abramowicz, Jadwiga Majakowska, Diana Stein, Andrzej Jędrzejewski i Paweł Kuleczko.** Program nosił tytuł „Tango na dachu czyli Piosenki z łódzkiego śpiewnika". Program zrealizował **Andrzej Jędrzejewski.** Muzycznie opracował go **Paweł Kuleczko**, a notkę scenograficzną przygotował **Tadeusz Paul.** Natomiast w bieżącym tygodniu Stowarzyszenie Twórców Kultury zaprasza na spotkanie z redakcją; 13 czerwca (w piątek) gośćmi Stowarzyszenia będzie **„Literatura"** — Redakcję reprezentować będzie **Jacek Syski, Ryszard Komiczek i Krzysztof Mędrek.**

W GALERII Sztuki BWA czynna jest wystawa malarstwa i rysunku **Grzegorza Sztabińskiego.**

W Galerii Bałuckiej obejrzeć można ekspozycję **Marka Wagnera.**

Malarstwo **Krystyny Liberskiej** prezentowane jest w Salonie Sztuki Współczesnej.

W Galerii Łódzkiej „Tendencje i osobowości w sztuce łódzkiej" Natomiast w Ośrodku Propagandy Sztuki „Łódzki Salon Wiosenny" — malarstwo, grafika, rysunek i rzeźba.

Z CIEKAWĄ inicjatywą wystąpił Zarząd Wojewódzki Związku Młodzieży Wiejskiej w Łodzi i Zarząd Gminny ZMW w Strykowie. Postanowili z okazji Dnia Dziecka zorganizować festyn dla dzieci wiejskich województwa łódzkiego w Zespole Szkół Rolniczych w Bratoszewicach. Oprócz zawodów sportowych i projekcji filmowych odbyły się także konkursy plastyczne, minifestiwal piosenki i popisy iluzjonisty. Dzieci miały także okazję wysłuchać gawęd przyrodniczych i obejrzeć egzotyczne zwierzęta. Festyn odbył się 8 czerwca.

14 CZERWCA w Dużej Sali Teatru Nowego odbędzie się premiera sztuki **Bertolta Brechta** pt. **„Człowiek jak człowiek"** w reżyserii **Jerzego Hutka**, ze scenografią **Marka Lewandowskiego** oraz muzyką **Paula Dessau i Zbigniewa Kornackiego.** Grają m. in. **Jolanta Nowińska, Anna Grzeszczak, Adam Gwero, Bogusław Semotiuk, Michał Kret, Marek Jasiński, Marek Lipski, Mariusz Pilawski, Józef Zbiróg, Stanisław Szymczyk, Janina Borońska, Mirosława Marcheluk, Piotr Krukowski, Jerzy Milewski i Mirosław Sidler.**

WE Wrocławiu zakończył się XXV jubileuszowy Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych. Miło nam pogratulować nagród łodzianom. Jury przyznało m. in. nagrody aktorskie **Władysławowi Dewoyno** za rolę księdza w przedstawieniu **„Kamień na kamieniu" wg Wiesława Myśliwskiego w Teatrze im. Stefana Jaracza,** oraz **Ryszardowi Kotysowi** za rolę „Nikito" w przedstawieniu **„Nikita" Ireneusza Medyńskiego** także w **Teatrze im. Stefana Jaracza.**

W warszawskiej „Zachęcie" otwarta została w minioną sobotę (7 czerwca) wielka wystawa prac nadesłanych na XI Międzynarodowe Biennale Plakatu. Ekspozycja zgromadziła 744 plakaty 442 autorów pochodzących z 47 krajów.

Polemiki • Listy • Opinie

BUBEL Z WIELKIEJ PŁYTY

Przecieki, przemarzania i przedmuchy są utrapieniem mieszkańców i zarządów spółdzielni. Tak, tak! Nie znam prezesa czy zastępców, którzy byliby szczęśliwi na widok stosu skarg i interwencji w tych sprawach i muszą się jeszcze spowiadać z grzechów nie przez siebie zawinionych. Tłumaczyć z rzekomej opieszałości w działaniu, a godzi się wspomnieć, że żadna stawka wynagrodzenia nie rekompensuje sumy zgorzeczeń (słusznych!). Chciałoby się powiedzieć „przyjdź dziecię do tej roboty..." i działaj skuteczniej. Na ile jest to możliwe.

Zaznaczam, że z tytułu wypowiedzianych wyżej słów nie otrzymałem ani podwyżki, ani specjalnej premii. Są to moje osobiste obserwacje wynikające z pracy w branży od 1965 roku. Ale do rzeczy.

Pierwsze bloki spółdzielcze w Łodzi (przy Podrzecznej) stawiane były z cegły. Zacny to i stary materiał budowlany, o sprawdzonej jakości. Preferowany przy odbudowie Warszawy, później jakby zapomniany, bo to przecież łatwiej i szybciej ustawić ściany z klocków.

Kto pamięta przodowników pracy z tamtych lat, szczycących się układaniem iluś tam tysięcy cegieł na jedną zmianę, kto pamięta system „potokowy", kiedy to jeden z brygady lał wapno, a kto inny te cegły układał? Dawne i — chciałoby się powiedzieć — dobre czasy. W tych blokach nie ma ani przemarzań, ani przedmuchów, ani przecieków na tak zwanych węzłach konstrukcyjnych, czyli mówiąc po ludzku — w miejscach styku płyt. W te miejsca można ładować papier, śmieci i co się tylko da, a potem zarzucić wapnem. Przy odbiorze i tak nic nie widać. A ileż to koncepcji istniało na temat, czym te styki uszczelniać! Łącznie ze styropianem, który ma to do siebie, że po jakimś czasie się utlenia i pozostaje n i c.

Pamiętam również czasy, gdy nasza najwyższej klasy myśl techniczna wykombinowała taki system, że jak w ścianach szczytowych woda deszczowa wlatywała np. na czwartym piętrze — to przeciekała do środka budynku (przez specjalne rowki, przewidziane na sznury uszczelniające) na parterze. Ileż to radości było przy szukaniu miejsca przecieku i ile pieniędzy wydano na dodatkowe zabezpieczenie tych ścian!

Wielka płyta była b u b l e m j u ż w z a ł o ż e n i a c h. Weźmy dla przykładu tak zwany system szczeciński. Zgoda — dostaliśmy jako społeczność tysiące mieszkań dla ludzi, którzy mieszkań tych potrzebowali i potrzebują nadal. Lecz płyta szczecińska w swym założeniu nie spełniała wymagań normy izolacyjności cieplnej. Współczynnik „K", a raczej jego dotrzymanie (winien być mniejszy od jedności) spędzał sen z oczu wielu ludziom. Dla systemu „szczecin" miał wynosić 1,05 lub 1,07, a w praktyce według wyników badań budynków wybranych metodą losową osiąga około 1,45. Norma obecnie obowiązująca mówi o około 0,7. Co wyznacza, ile kalorii marnujemy na ogrzewanie atmosfery. Byłbym jednak niesprawiedliwy zatajając, iż są czynione próby poprawienia izolacyjności cieplnej płyt i budynki obecnie stawiane teoretycznie powinny być lepsze. Co jednak zrobić z tymi setkami budynków, wzniesionych ze starych, bublowatych płyt i niechlujnie wykonanych?

Jesteśmy krajem bogatym, i dlatego przewidziano specjalne kredyty na usuwanie wad „szczególnie uciążliwych". W tym — również na docieplenie ścian. I co z tego, skoro zaistniała nowa bariera. Nie do przebycia. Brak materiałów.

Resort budownictwa twierdzi, że przedsiębiorstwa budowlane otrzymują przydziały materiałów na usuwanie wad budynków będących w tak zwanym okresie rękojmi. Budynki poza okresem rękojmi, a jest ich większość — winny być poprawiane z materiałów, których przydział otrzymuje rzekomo Centralny Związek Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego. Te zaś — są w wielkościach niemal symbolicznych. Efekt? Że jeśli roboty będą prowadzone w takim tempie, jak dotychczas (kilka lub kilkanaście budynków na rok) — to na samej tylko Retkini skończymy je nie wcześniej jak w dwutysięcznym roku.

Wydaje się sprawą szokującą, że w sytuacji, gdy państwo daje kredyt na 60 lat i tyle lat kredyt ten spłacamy, a więc teoretycznie przynajmniej tyleż lat budynki powinny stać — wykonawca odpowiada za nie w najgorszym dla siebie przypadku tylko przez t r z y l a t a (konstrukcja), a w zakresie osprzętu, stolarki itp. jeden rok. W głowie mi się nie mieści, że podłoga, po której chodzę „ma prawo" być remontowana po trzech latach na mój koszt, a wykonawca wykańcza następny bubel.

Wnioski? Jeśli mamy nadal produkować nowe bloki tak samo złej (generalnie) jak dotychczas jakości, a jednocześnie nie robić nic, albo prawie nic, by ratować lub poprawiać „substancję już istniejącą" — to chyba nie tędy droga. Nie przysparza splendoru i jest za droga. Jeśli wymusimy w imię interesów społecznych nawet większą jeszcze ilość obiektów — to społeczeństwo i tak nikogo nie usprawiedliwi po otrzymaniu bubla. Pomijam oczywiście ten pikantny szczegół, że owo społeczeństwo rozbija się na szereg „ja", które te buble realizują.

Jedno jest warte zastanowienia: czy powielać istniejący stan rzeczy bez zmian, czy też nareszcie zwrócić uwagę na jakość, a jednocześnie zająć się już istniejącą „substancją mieszkaniową"? Bo przecież nie chodzi tylko o budynki kilkuletnie, przemakające, przemarzające, z odpadającą elewacją, lecz również o setki tysięcy metrów kwadratowych powierzchni w budynkach kilkudziesięcioletnich, których stan jest katastrofalny, a potrzeby remontowe oblicza się na miliardy złotych. Trzeba więc pomyśleć o właściwym traktowaniu tego, co już mamy. Byśmy nie musieli z trwogą myśleć, co będziemy musieli zrobić z setkami kilometrów sześciennych ceglanego i betonowego gruzu...

(waf)

MŁODZIEŻ POLSKA ZAWSZE Z POLSKĄ

Towarzystwo Przyjaciół Pamiętnikarstwa i Ogniwo PRON w Górach Mokrych pod patronatem Rady Wojewódzkiej Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego w Piotrkowie Trybunalskim, przy współudziale — Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Piotrkowie Tryb., Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej w Piotrkowie Tryb., Urzędu Miasta i Gminy w Przedborzu organizuje konkurs poetycki „Młodzież polska zawsze z Polską".

1. Celem konkursu jest: — popularyzacja piękna swojej Ojczyzny, miasta i wsi; umożliwienie debiutu młodym poetom nieprofesjonalnym; doskonalenie form artystycznej interpretacji prezentowanych utworów poetyckich; aktywizacja kulturalna środowiska.

2. Warunki uczestnictwa: — nadesłanie nie publikowanych i nie nagrodzonych dotąd dwóch utworów poetyckich, podpisanych godłem, w pięciu egzemplarzach maszynopisu każdy. Do tekstów należy dołączyć zalakowaną kopertę zawierającą następujące dane: imię i nazwisko, wiek, wykształcenie oraz adres.

3. Oceniane będą wyłącznie utwory o treści patriotycznej, traktujące o umiłowaniu i pięknie ojczystego kraju.

4. Prace prosimy nadsyłać do 30 czerwca 1986 r. pod adresem: Komitet Organizacyjny Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Młodzież polska zawsze z Polską": 97-566 Góry Mokre, województwo piotrkowskie.

5. Nagrodzone utwory winny być zaprezentowane przez autorów lub osoby przez nich wytypowane podczas koncertów laureatów. Termin koncertu laureatów: 20 lipca 1986 r.

6. Nagrody: I — 7.000, II — 5.000, III — 3.000, 8 wyróżnień — 2.000

Przyznana zostanie również nagroda specjalna za utwór poetycki tematycznie związany z Ziemią Piotrkowską oraz

7. Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.

8. Nadesłanych maszynopisów organizatorzy nie zwracają.

KSIĄŻKA DLA DZIECI

Rozstrzygnięto II Ogólnopolski Konkurs Plastyczny na Książkę dla Dzieci, organizowany przez Stowarzyszenie Twórców Kultury wspólnie z Zarządem Wojewódzkim TPD i PWSSP w Łodzi.

Jury pod przewodnictwem Leona Urbańskiego, przyznało:

I nagrodę — w wysokości 80.000 zł Andrzejowi Frydelowi z Łodzi za pracę pt. „Czarne na białym".

II nagrodę — w wysokości 60.000 zł Soni Pryszcz i Ireneuszowi Botorowi z Katowic za pracę pt. „ABC",

III nagrodę — w wysokości 40.000 zł Jerzemu Jarmołowiczowi z Bełma za pracę pt. „Góry, lasy, rzeki, morza zdobią kraj"...

Przyznano też dwa wyróżnienia po 20.000 zł każde Maciejowi Fronczakowi z Warszawy za pracę „Od — do" oraz Halinie i Mirosławowi Matioszom za pracę pt. „Lekcja w barze".

Niezależnie od nagród regulaminowych jury postanowiło przyznać dwa wyróżnienia honorowe. Otrzymali je: Stanisław Stachura z Łodzi za pracę pt. „Bal u kornika" oraz Dariusz Romanowicz z Łodzi za pracę opatrzoną godłem „313233"

Nagrodzone i wyróżnione prace będzie można obejrzeć na wystawie pokonkursowej, której otwarcie nastąpi 12 czerwca 1986 r. w Galerii „Chimera" w Łodzi, ul. Wólczańska 31.

ANTONI GAŁECKI NA MISTRZOSTWACH ŚWIATA W 1938 ROKU

W 1938 roku we Francji na III Mistrzostwach Świata wystąpiła po raz pierwszy reprezentacja Polski. W jej składzie nie zabrakło przedstawiciela Łodzi. Był nim 32-letni wówczas Antoni Gałecki, obrońca drużyny ŁKS, olimpijczyk. Późniejszy uczestnik kampanii wrześniowej, walk na Bliskim Wschodzie i bitwy pod Monte Cassino. Po zakończeniu wojny wrócił do Łodzi i tutaj zmarł 14.12.1958 roku, mając zaledwie 52 lata.

5.6.1938 roku na stadionie w Strasbourgu Antoni Gałecki zagrał swój jedyny mecz na mistrzostwach. Polska zmierzyła się wówczas z Brazylią i przegrała 5:6 po dogrywce. Brazylijczycy pokazywali futbol w takim wydaniu, jakiego jeszcze Europa nie oglądała. Mecz toczył się przeważnie na naszym polu karnym. Polscy obrońcy z minuty na minutę grali coraz lepiej. Pod koniec pierwszej połowy Antoni Gałecki zablokował własnym ciałem piekielny strzał Leonidasa. W normalnym czasie mecz zakończył się wynikiem nie rozstrzygniętym 4:4. Po dogrywce przegraliśmy 5:6. Sam Leonidas kiwał z uznaniem głową i mówił, że nie spodziewał się znaleźć w Polakach tak groźnych rywali.

Na następny występ Polaków na MŚ przyszło nam czekać aż 36 lat, kiedy to drużyna Kazimierza Górskiego, opromieniona wyeliminowaniem Anglików, stała się rewelacją niemieckich boisk.

WITOLD LEWANDOWSKI

ŚLADY W ZIEMI

Niezwykle ciekawe ślady najdawniejszych spotkań z przeszłością ujawniły badania grobowca typu kujawskiego, znajdującego się na polach wsi Rybno koło Sochaczewa, przeprowadzone w maju 1935 roku przez profesora Konrada Jażdżewskiego (1908—1985). Grobowiec ten wzniesiony został przez ludność kultury pucharów lejkowatych w młodszej epoce kamienia — neolicie. Miał kształt wydłużonego trójkąta o długości około 50 metrów, szerokości u podstawy 9 metrów. Usypany był z ziemi i obłożony z boków głazami, których wymiary sięgały jednego metra. Pod nasypem odkryto pięć grobów. Do kultury pucharów lejkowatych należały trzy z nich, znajdujące się w szerszej części grobowca.

Niejednokrotnie naruszano spokój neolitycznego grobowca w Rybnie. Zamieszkujący te tereny przedstawiciele różnych społeczeństw, znajdujących się na różnym etapie rozwoju, odnosili się do niego w podobny sposób — czy to w początkach epoki żelaza, czy w średniowieczu. Z nieznanych nam pobudek chowali tu niektórych zmarłych, składali ofiary — co przypuszczalnie zdarzało się jeszcze w dobie Polski szlacheckiej. Musieli choć wyczuwać, jakie treści kryje w sobie zniekształcony przez czas, porośnięty krzakami nasyp grobowca. Ale ich stosunek do niego miał jak widać charakter mistyczny. Patrzyli nań przede wszystkim przez pryzmat swych wierzeń, a w bliższych nam czasach będących reminiscencją pogaństwa, przesądów. Świadomość historyczności grobowca zapewne spojrzenie to uzupełniała. Trudno jednak sądzić, by odczuwali coś poza tym, że jest on świadectwem jakichś odległych, bliżej nie określonych czasów. Był dla nich czymś nie w pełni zrozumiałym, a może nawet tajemniczym.

Pierwsze znaleziska archeologiczne z Mazowsza, o których dowiadujemy się ze źródeł pisanych, ujawnił pług rolnika w 1565 roku, na polach wsi Trojanów koło Sochaczewa (obecnie dzielnica miasta). Informację o tym zawdzięczamy Maciejowi Stryjkowskiemu (1547 — po 1582), renesansowemu podróżnikowi, historykowi i poecie.

Maciej Stryjkowski pochodził z zamieszkałej w Strykowie zubożałej rodziny szlacheckiej, toteż — jak pisał jeden z XIX-wiecznych historyków — „z dawnego dziedzictwa przodków nic mu prócz nazwiska nie zostało". Jego dzieciństwo obfitowało w przeżycia wprost niesamowite. Jako kilkuletni chłopiec „o mało nie zginął z utonięcia w wielkim stawie strykowskim. Martwy i zsiniały, nierychło z wody dobyty, już leżący na marach, płaczem rodziców, modlitwami pospolitego ludu, kadzidłem, a szczególniej uderzeniem w dzwony kościelne ocucony, powstał zdrowo i wrócił do domu, tylko z przestrachu tydzień mówić nie mógł". W czternastym roku życia Maciej Stryjkowski „powtórnie cudem niemal uniknął śmierci, gdy urwany dzwon tak silnie uderzył go w głowę, że za nieżywego podniesiony, lubo później wyzdrowiał, jednak przez całe życie był zająkliwym". Stało się to w Brzezinach, gdzie spędzał chłopięce lata pobierając nauki w tamtejszej szkole.

W okolicach Sochaczewa znalazł się Maciej Stryjkowski przejazdem, rozpoczynając w wieku 18 lat swą pierwszą podróż na Litwę. „...tedy ja sam okiem swoim widział — napisał w wydanej w 1582 roku „Kronice polskiej, litewskiej, żmudzkiej i wszystkiej Rusi..." — gdy na Trojanowskim polu, które jest równe i piaszczyste niedaleko dwora, od Sochaczewa ćwierć mile, nad Bzurą rzeką (...) oracz pługiem wyorał ostrogi, groty trzy od drzewców, buławę okrągłą i kilka żelazców od strzał staroświeckim działem ode rdzę dawnością zbotwiałe". Przedmioty te uznał Maciej Stryjkowski za ślady bitwy stoczonej tu w 1294 roku przez wojska księcia Kazimierza łęczyckiego z litewskimi najeźdźcami pod wodzą Witenesa, która zakończyła się klęską Kazimierza i jego śmiercią w nurtach Bzury.

Trudno dziś ustalić, czy istotnie były to szczątki użytego w bitwie z Litwinami oręża i kości ludzi w niej poległych. Bardzo prawdopodobne, że na polu tym znajdowało się wczesnośredniowieczne cmentarzysko szkieletowe, a opisane przez Stryjkowskiego zabytki zostały wywleczone ze skrywających się pod powierzchnią ziemi grobów. Tym bardziej, że jeśli chodzi o samą bitwę, to odbyła się ona albo pod Trojanowem, albo pod pobliskim Żukowem — źródła nie są co do tego zgodne.

Następna wiadomość o odkryciu archeologicznym na Mazowszu wiąże się z rozpoczętą w 1692 roku budową zespołu klasztornego zakonu reformatów w Miedniewicach koło Żyrardowa. Fundatorem tej istniejącej po dzień dzisiejszy barokowej budowli był starosta guzowski Mikołaj Wiktoryn z Grudny Grudziński. Kamienie na fundamenty zwożono z pól okolicznych wsi, odkrywając w niedalekiej Woli Miedniewickiej ciałopalne cmentarzysko. Wydarzenie to opisał reformata, ojciec Aleksy Koralewicz (ok. 1656—1722) w dziele o typowym dla tych czasów, przydługim tytule, którego początek brzmi: „Additament do kroniki braci mniejszych ś. Franciszka albo Genealogia reformy do Królestwa Polskiego...". Dzieło to zawierające sporo dziwnych opowieści zasłyszanych przez autora po klasztorach, ukazało się w Warszawie, tuż po śmierci autora tj. w 1722 roku. Czytamy w nim, że „na fundamenta klasztorne kamienie sprowadzając, znaleźli ludzie niektóre mogiły na niwach wsi Woli Miedniewskiej, więc gdy tamte głazy brali, doszli, że to były dawnych wieków pogańskie groby i żale, bo w jednej takiej mogile pod kamieniami znaleziono jakieś z popiołami naczynia, mieczami starodawnymi obłożone, które rdza od dawności zepsowała, oprócz co u jednego nieco się dobrego znalazło żelaza, to odkupił J. P. Starosta, a potym zakazał tych śmiertelnych ruchać mogił, przestrzegając odpoczynku umarłych".

Opis jednego z grobów pozwala nam sądzić, że cmentarzysko to pochodziło z okresu wpływów rzymskich tj. pierwszych wieków naszej ery.

O znaleziskach z Woli Miedniewickiej wspomina następnie jezuita Gabriel Rzączyński (1664—1737) w łacińskiej pracy „Auctuarium historiae naturalis Regni Poloniae..." powstałej w Gdańsku, w latach 1725—37. „Około roku 1672 — pisze on — z pól Woli, wsi sąsiedniej Miedniewicom, odległej od Warszawy o mil siedem wykopano groby pogan zawierające pod kamieniami naczynia wypełnione popiołami, otoczone mieczami, między szczątkami przez rdzę jeden był zachowany do użytku".

Jeśli zaś chodzi o późniejsze wzmianki o cmentarzysku w Woli Miedniewickiej, to zostały one zaczerpnięte z książek Koralewicza bądź Rzączyńskiego i nie wnoszą nic nowego, poza narastającymi z biegiem czasu przeinaczeniami. Zawarte w „Additamencie ..." i w „Auctuarium ..." relacje interpretowano jako dotyczące dwóch różnych odkryć, umiejscowiono je pomyłkowo w samych Miedniewicach i Woli — obecnej dzielnicy Warszawy. Dalsze losy samego cmentarzyska nie są nam znane. Zapewne uległo ono zupełnej zagładzie, skoro poszukiwania przeprowadzone kilkanaście lat temu przez dra Stefana Woydę — kierownika Muzeum Starożytnego Hutnictwa Mazowieckiego — nie dały żadnego rezultatu.

PAWEŁ FIJAŁKOWSKI

WIOSNA POETYCKA NA GÓRNEJ

Pośród wielu imprez organizowanych w dniach 22—27 maja przez Urząd Dzielnicowy Łódź-Górna i Dzielnicowy Dom Kultury pod wspólną nazwą „Wiosna Poetycka na Górnej" (m.in. wystawy, wieczory poezji, kiermasze i recitale) odbył się także Turniej Poezji Miłosnej. W turniejowe szranki stanęło przeszło pięćdziesięciu poetów wszystkich pokoleń. Jury pod przewodnictwem Henryka Hartenberga uhonorowało: I nagrodą Andrzeja Cezarego Sawczenkę za wiersz pt. „Srebrna struna", II nagrodą Andrzeja Arczewskiego za wiersz pt. „Turniej poezji miłosnej", dwiema III nagrodami Bożenę Pawełczyk za wiersz „Zawierzyłam piekielnemu blaskowi" oraz Andrzeja Dawluda za wiersz „Erotyk". Dwa wyróżnienia jury przypadły Monice Brzozowskiej za wiersz „Twoja gra na flecie" i Markowi Czuku za wiersz „Żona poety".

(grzeg.)

POCZTA WYJAŚNIA I PRZEPRASZA

W odpowiedzi na notatkę prasową zamieszczoną w Waszym piśmie dn. 26.05.1986 r., Dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Łodzi informuje, że w rejonie telefonicznej centrali automatycznej „POŁUDNIE" prowadzona jest rozbudowa sieci telekomunikacyjnej, umożliwiającej włączenie nowych abonentów do budowanej centrali.

Prace te ze zlecenia Dyrekcji Okręgu PiT wykonuje Łódzkie Przedsiębiorstwo Robót Telekomunikacyjnych. Ponieważ zasygnalizowane przypadki występujących przerw mają istotne znaczenie dla jakości pracy łączności, na spotkaniu z kierownictwem wykonawcy — ŁPRT — uzgodniono, że zostaną podjęte starania, aby czas przerwy, spowodowany przełączeniem starej sieci kablowej na nową trwał tyle, ile wynika z technologii robót przy przełączeniu. Jednocześnie zwrócono uwagę inspektorom nadzoru i kierownikom budowy o obowiązku powiadamiania Biura Napraw o terminie i czasie trwania przełączenia, aby Biuro to mogło z odpowiednim wyprzedzeniem powiadomić abonenta.

Ponieważ w notatce nie podano ani lokalizacji, ani numeru abonenta, nie można było ustalić osób, które zachowały się w nieodpowiedni sposób. Kierownictwo DOPiT i ŁPRT przeprasza abonentów, którym utrudniono korzystanie z telefonów.

inż. MAREK GUTOWSKI
(Dyrektor Okręgu Poczty i Telekomunikacji)

SPROSTOWANIE

W artykule Pawła Tomaszewskiego zamieszczonym w „Odgłosach" nr 23 pt. „Bełchatów pęcznieje" zmieniony został sens jednego zdania. Poprawnie zdanie to powinno brzmieć: „Każdego roku (nie dnia — przyp. red.) przybywa do Bełchatowa 4—5 tysięcy ludzi — w większości młodych, ze wsi, z miast i miasteczek, z całego kraju".

Afera A-A czyli historia wielkiej kompromitacji (2)

Tajemnice nieudanego zamachu na Lecha Wałęsę i porwanie Emanueli Orlandi

EDMUND TULKO

16.1.1983 (...) Tydzień temu przeprowadzono w Rzymie konfrontację Antonowa z Ali Agcą. Nie podano jednak ani słowa o wynikach tej konfrontacji. Wygląda na to, jakby „Głos Ameryki" nagle stracił zainteresowanie dla całej afery.

31.1.1983 (...) Specyficznego akcentu dodaje przyszłej wizycie papieża afera Siergieja Antonowa i cała kampania pomówień Bułgarów i KGB (a więc i pośrednio Jurija Andropowa) o zorganizowanie zamachu na papieża. Nawiasem: około tygodnia temu prokuratura i sędzia śledczy Martella odrzucili wniosek obrońców o zwolnienie Antonowa.

20.2.1983 (...) A co słychać z aferą Antonowa? Otóż niewiele konkretnego. Ktoś tam we Włoszech (senator Damazo) oskarżył CIA, że chce nakłonić włoskie władze śledcze do zatuszowania sprawy, aby nie szkodzić stosunkom radziecko-amerykańskim, zwłaszcza teraz, gdy trwają sondaże na temat stanowiska Jurija Andropowa w sprawie ograniczenia zbrojeń nuklearnych. Wkrótce potem (w minionym tygodniu) Reagan niejako dementując te doniesienia oświadczył, iż USA są zainteresowane w pełnym wyjaśnieniu wszystkich okoliczności zamachu na Jana Pawła II.

Bułgarzy natomiast kontratakują. Sugerują, że to CIA skupuje broń wschodnioeuropejską i radziecką, aby potem zrzucać odpowiedzialność za zamachy i akty terroru na Związek Radziecki i jego sojuszników.

A więc jeśli chodzi o warstwę rzeczową dochodzenia śledczego nie ma nowych elementów.

3.3.1983 (...) Sprawa Antonowa znów wróciła na czoło doniesień agencyjnych. Włoskie władze śledcze ostrzegły siedem osób (w tym Antonowa i trzech innych Bułgarów, Ali Agcę oraz dwóch włoskich związkowców), że toczone jest dochodzenie w sprawie ich udziału w spisku na życie Lecha Wałęsy, podczas jego pobytu w Rzymie w styczniu 1981. Sprawa nie wygląda na czystą grę Włochów. Od kilku tygodni nic się nie mówiło o postępie śledztwa w sprawie zamachu na papieża z 13 maja 1981. Nie doszedł żaden nowy przeciek o nowych dowodach i teraz wybucha bomba — rozpoczęcie śledztwa w innej sprawie o innym wymiarze, bo przecież chodzi o planowany zamach i nawet nie o usiłowanie jego dokonania. W każdym bądź razie pozwoli to Włochom, zapewne zgodnie z ich KPK odpowiednio przedłużyć przebywanie Siergieja Antonowa w areszcie śledczym.

4.3.1983 (...) Parę nowych elementów do „sprawy Antonowa". Już teraz rozszerzonej o spisek na życie Lecha Wałęsy. Liczba ostrzeżonych (wg. włoskiego prawa to jeszcze nie oskarżenie, a tylko obowiązek zeznawania przed sędzią śledczym) wzrosła do ośmiu. Poza Antonowem na liście ostrzeżonych figurują Bułgarzy: Ajwazow, Wasilew (już wymieniani w dotychczasowych doniesieniach o dochodzeniu w sprawie zamachu na papieża) oraz Donczew. Ta trójka przebywa w Bułgarii. Są też trzej Włosi: Scricciolo, doradca jednego z ministrów w obecnym rządzie, socjalisty, co wywołać może ostudzenie zapału partii Bettino Craxiego w tropieniu „łącznika bułgarskiego"; najbardziej agresywny był przecież minister obrony Lelio Lagario, socjalista i jeszcze jeden Włoch nie wymieniony w audycjach „Głosu Ameryki" z nazwiska.

Wspomniany Donczew miał się rzekomo spotkać z jednym z Włochów w sprawie nawiązania kontaktów z „Czerwonymi Brygadami" przetrzymującymi jako zakładnika amerykańskiego generała Doziera

22.3.1983 (...) Po wyciszeniu sprawy Siergieja Antonowa i jego rzekomego udziału w zamachu na papieża rozwija się jakby jej „odgałęzienie". Chodzi o spisek na życie Lecha Wałęsy w czasie jego pobytu w Rzymie w styczniu 1981 r. Tym razem „wzbogacił" trop sam Lech Wałęsa, który miał oświadczyć, iż wówczas w Rzymie otrzymał propozycję nocnej przejażdżki po wiecznym mieście bez obstawy policyjnej i być może dzięki temu ocalał, ponieważ zrezygnował z eskapady, postanawiając pozostać w hotelu z żoną. Lech Wałęsa ujawnił też nazwisko projektodawcy owej przejażdżki. Był nim Ryszard Kalinowski ówczesny wiceprzewodniczący KKP, a jednocześnie zajmujący się stosunkami „Solidarności" z zagranicą. To on ponoć opracował program pobytu Lecha Wałęsy we Włoszech razem ze Scricciolo i Scordo (w innej wersji — Scorda) którzy obecnie znajdują się w areszcie.

Ryszard Kalinowski zapytany w Elblągu (był tam na czele strajków w sierpniu 1980, a potem stanął na czele lokalnej „Solidarności" i wszedł do KKP na wysokie stanowisko zastępcy Lecha Wałęsy), przez korespondenta włoskiej agencji ANSA potwierdził, iż to on złożył Wałęsie propozycję nocnej wycieczki i gdy Wałęsa odmówił, przejażdżka mimo to się odbyła. Pojechali Kalinowski, górnik Ryszard Kuś i trzech Włochów — wśród nich Scricciolo. Po drodze byli świadkami jakiegoś „bliżej niesprecyzowanego pościgu samochodów połączonego ze strzałami z broni palnej z udziałem policji" (cytat za RFI). Mówi się wprawdzie, że Ryszard Kalinowski „odniósł się sceptycznie do hipotezy o próbie zamachu na Lecha Wałęsę", ale RFI kończy tak: „Szczegóły te (tzn. ujawnione przez Kalinowskiego — przyp. mój) stanowią w każdym razie komentarz do zdania Lecha Wałęsy cytowanego (...) przez Il Messagero, iż gdyby zgodził się na tę przejażdżkę, może by z niej nie wrócił".

Wiadomo też, że Ryszard Kalinowski w lipcu 1981 r. utracił zaufanie „Solidarności" i został z niej wyeliminowany. Sprawdzałem w „Tygodniku „Solidarność" listę delegatów na zjazd „Solidarności" i nie znalazłem tam nazwiska Ryszarda Kalinowskiego.

Jak więc z tego wynika afera się rozkręca. Ciszej jest natomiast z zamachem na papieża. Tylko Bułgarzy piszą od czasu do czasu o Siergieju Antonowie. Np. dyrektor bułgarskich linii lotniczych uzyskał widzenie z Antonowem i oznajmił, że niepokoi go stan zdrowia aresztowanego, który m. in. cierpi na zaniki pamięci. Nieco później Bułgarzy zażądali zbadania Antonowa przez niezależną międzynarodową komisję lekarską. (...)

Głos Ameryki podaje, że jak na razie śledztwo toczy się w oparciu o dwa niezależnie złożone zeznania Ali Agcy i L. Scricciolo. Antonow więc nie załamał się.

4.4.1983 (...) A w Gdańsku MO weszła do akcji w związku z doniesieniami o rzymskich próbach zamachu w styczniu 1981 na Lecha Wałęsę. Lech Wałęsa „legendę" zamachu rozszerzył i na Genewę, gdzie był na sesji MOP w maju czy też czerwcu 1981, a także mówi o jakichś telefonach z pogróżkami w samym Gdańsku. W Genewie także inicjatorem (nieświadomym lub nieumyślnym — powiada Wałęsa) był Ryszard Kalinowski, który zaproponował obejrzenie jakichś filmów u pewnej kobiety. Do tego nie doszło, ale kobietę mieli odwiedzić uzbrojeni mężczyźni, którzy wycofali się. Policja szwajcarska twierdzi, że było to zwykłe najście rabunkowe, a nie zamach.

5.4.1983 (...) według „Głosu Ameryki" śledztwo w sprawie planowanego w styczniu 1981 zamachu na Lecha Wałęsę rozszerzyło się. Sędzia Imposimato przesłuchał przywódcę socjalistycznej centrali związków zawodowych UIL — Giorgio Benvenuto i poinformował go, że Ali Agca złożył nowe zeznania, z których wynika, iż były rozpatrywane dwie możliwości zamachu. W jednej z nich ofiarami obok Wałęsy mieli być właśnie Benvenuto, Luciano Lama, przywódca komunistycznej centrali związkowej CGIL i Pierre Carnitti, przywódca katolickiej centrali CISL... Do zamachu nie doszło ze względu na dobrą ochronę przywódcy „Solidarności".

Podstawą, jak z tego wynika, nowych tropów są ciągle zeznania Ali Agcy, który twierdzi, że łącznikiem między Bułgarami a włoskimi związkami zawodowymi był Scricciolo, aresztowany już wcześniej Włoch, podejrzany także o łączność z „Czerwonymi Brygadami".

Sekretariat UIL oznajmił, że skierowano do sądu osobne powództwo przeciwko Agcy i Scricciolo o próbę zamachu na Giorgio Benvenuto.

A tymczasem adwokaci Siergieja Antonowa, Giuseppe Consolo i Adolfo Laruso, na konferencji prasowej w Sofii podważyli jedno z zeznań Ali Agcy, który zeznał, iż przed zamachem na papieża spotkał się z Antonowem w jego mieszkaniu, a obecne przy tym były żona i córka Antonowa. Otóż owego dnia (10 maja 1981) żony Antonowa już nie było w Rzymie, gdyż 8 maja stamtąd wyjechała, co poświadczyła ambasada włoska w Sofii. Tegoż 8 maja żona Antonowa zameldowała się w Jugosławii. Córka Antonowa natomiast w ogóle nie opuszczała Bułgarii w wymienionym terminie.

Nowym wątkiem na tejże konferencji w Sofii (w ubiegłym tygodniu) było oświadczenie dwóch psychiatrów włoskich, profesorów de Vincentisa i de Sando oraz psychiatry bułgarskiego prof. Iwana Temkowa. Ten ostatni w imieniu całej trójki, która badała Antonowa oznajmił, iż stwierdzili oni u niego stany depresyjne i „że jego ogólny stan psychiczny wzbudza niepokój, ponieważ można się spodziewać dalszego pogłębienia depresji w rezultacie warunków, w jakich się znajduje".

De Vincentis miał kategorycznie zaprotestować wobec pytania, czy stan Antonowa, nie jest wynikiem jego poczucia winy. W tym miejscu przypomnę, że wzmianka o złej kondycji psychicznej Antonowa ukazała się po wizycie w więzieniu dyrektora bułgarskich linii lotniczych, co wzbudzić mogło podejrzenia co do dalszego biegu wydarzeń.

Podobno prawo włoskie (tak słyszała K.) dozwala trzymać podejrzanych w więzieniu śledczym aż dwa lata, wiele się zatem może jeszcze w „aferze A-A" wydarzyć.

9.5.1983 (...) Od początku kwietnia nie ma żadnych doniesień o sprawie Antonowa. Ta cisza trwa zbyt długo.

14.6.1983 (...) W sprawie Siergieja Antonowa nadal cisza. Właściwie niezupełnie, pojawiły się doniesienia, że szef CIA Casey nie wierzy już w „trop bułgarski" (...) Wygląda na to, że Włosi są w kropce. Na razie na osłodę mówi się, iż tak czy owak Siergiej Antonow był agentem bułgarskiego wywiadu. Co to ma wspólnego z zamachem na papieża?

11.7.1983 (...) Afera A-A odżyła, z powodu porwania Emanueli Orlandi. Tak się „złożyło", że przesłuchany w tej sprawie Ali Agca miał możliwość na trasie z miejsca przesłuchania (komenda policji?) do więzienia, w którym odbywa wyrok dożywotniego więzienia, rozmawiać z dziennikarzami. I sypnął nową garścią „rewelacji". A więc potwierdził, że za kulisami zamachu na Jana Pawła II stał wywiad bułgarski, a on — Agca — współpracował z trzema Bułgarami, z których jeden to Antonow. Agca „uzupełnił" swoje rewelacje dodaniem udziału radzieckiego wywiadu. Doszedł też nowy element, a mianowicie szkolenie Agcy na zamachowca już nie tylko w Bułgarii, lecz także w Syrii. Jeśli Agca tak będzie rozwijał swoją biografię, to być może wplącze jeszcze w to wszystko CIA i Ronalda Reagana.

Co jest nowego w tym kolejnym scenariuszu tureckiego zamachowca (przypomnijmy, że już w Turcji odsiadywał wyrok za zabicie jednego z redaktorów naczelnych), to udział KGB, Otóż nasuwa się pytanie: dlaczego dopiero teraz o tym mówi Ali Agca, a nie wówczas, gdy mówił o Antonowie i Bułgarach? Wszystkie spekulacje środków masowej informacji na Zachodzie domniemywały udział radziecki, a nie przesądzały, jak w przypadku Bułgarów, a źródłem informacji był także Agca i jego zeznania w śledztwie.

Jest zadziwiające jak Ali Agca spełnia zapotrzebowanie na „radziecki trop" i to po długiej zwłoce. Nie słychać też, aby Turek, poza Syrią, wymieniał jakieś nazwiska, nazwy, daty. Co więcej, wypowiedzi Agcy kłócą się z włoskimi przepisami prawnymi zabraniającymi więźniom takim jak on kontaktów z prasą. W związku z tym włoski minister sprawiedliwości Darida zarządził odpowiednie śledztwo.

Jeśli chodzi o 15-letnią Emanuelę Orlandi, to porywacze mieli oznajmić, iż nie są ani terrorystami, ani grupą działającą z pobudek politycznych i ich zadaniem jest jedynie uwolnienie Ali Agcy. Dali termin do 20 lipca 1983 r. Sam Agca odżegnał się od porywaczy. Papież modli się za porwaną i oświadczył wczoraj do 30-tysięcznego tłumu na placu św. Piotra, że ma nadzieję na pomyślne zakończenie sprawy. „Głos Ameryki" jest już znacznie ostrożniejszy i nie eksponuje rewelacji Agcy tak, jak przed kilkunastoma tygodniami. Sprawa Emanueli Orlandi nie poruszyła ani RWE, ani „Głosu Ameryki". Porwana jest córką jednego z wielu pracowników świeckich Watykanu. Porywacze nie żądają uwolnienia Antonowa, a to dopiero byłaby prawdziwa sensacja.

Ta spokojna, neutralna Austria

Kontrowersje polityczne wokół osoby kandydata na prezydenta Austrii, byłego sekretarza generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych, Kurta Waldheima, rozbudziły zainteresowanie jego ziomków najnowszą historią republiki austriackiej, poczynając od 1938 r., kiedy to nastąpił Anschlus — przyłączenie tego kraju do hitlerowskiej III Rzeszy.

Hamburski „Der Spiegel" w artykule redakcyjnym pod ironicznym (jak się okaże) tytułem: „My Austriacy wybieramy kogo chcemy" — w nr 16 z 14 kwietnia 1986 r., sięga jeszcze dalej wstecz i przypomina, że ten niemieckojęzyczny kraj został dwukrotnie „wykatapultowany" z niemieckiej wspólnoty. Raz w 1866 r. przez Prusy (wojna prusko-austriacka); drugi raz w 1918 r. przez zwycięskich aliantów, gdy bowiem runęła wielonarodowościowa monarchia, umożliwiono narodom wchodzącym w jej skład samostanowienie o swoim państwowym bycie: Węgrom, Czechom, Polakom, południowym Słowianom, Rumunom, natomiast Austriakom nie dano możliwości (rzekomo przez nich upragnionego) zjednoczenia się z resztą narodu niemieckiego, zwycięzcom bowiem, zdaniem „Spiegla" zależało na rozczłonkowaniu narodu i państwa niemieckiego.

Później — w międzywojennym dwudziestoleciu, o czym się dziś zapomina, Austriacy byli najsilniej spośród wszystkich narodowości niemieckich infiltrowani przez skrajny nacjonalizm, wyrażający się m. in. niezwykle ostrym antysemityzmem, a austriaccy narodowi socjaliści parli po 1933 r. coraz silniej do połączenia się z Rzeszą. I nie jest czystym przypadkiem to, co wspomina Hitler: „Przybyłem do Wiednia jako 17-latek, a opuszczałem Wiedeń jako zdeklarowany antysemita".

W związku z tym pismo omawia postaci ówczesnych propagatorów rasizmu i antysemityzmu, działających w Austrii, przypomina też, że jeszcze za czasów monarchii wszystkie korporacje studenckie w Wiedniu miały w statucie „paragraf aryjski" Pomimo tego wielu austriackich Żydów odegrało ważną rolę w naukowym i artystycznym życiu kraju i zyskało sobie w różnych dziedzinach światową sławę: Zygmunt Freud, Max Reinhardt, Artur Schnitzler, Franz Werfel, Gustaw Mahler, Stefan Zweig, Teodor Herzl...

Austro-węgierski olbrzym wyszedł z I wojny jako niewielka alpejska republika, która przyjęła nazwę „Niemieckiej Austrii" („Deutsch-Österreich") i zgodnie z pierwotną decyzją parlamentu z 12 listopada 1918 r. uznała się za „część składową republiki niemieckiej", ale alianci kategorycznie przeciwstawili się połączeniu i — jak twierdzi historyk Helmuth Andics — „powstało w ten sposób państwo, którego (w Austrii) nikt nie chciał", a w którym znalazły schronienie najgorsze tradycje narodowe Austriaków. Padały projekty usunięcia z kraju wszystkich Żydów, którzy znaleźli się tu po 1914 r., a jeżeli okazałoby się to niewykonalne, to „powszechne internowanie w obozach dla uchodźców". Główny pomysłodawca, „chrześcijańsko-społeczny" działacz Leopold Kunschak został pierwszym przewodniczącym parlamentu po 1945 r.

Przypomina się też działalność innego działacza „chrześcijańsko-społecznego" kanclerza Kurta Schuschnigga, twórcy austriackiego faszyzmu, który masowo więził politycznych przeciwników i wielu kazał stracić, jak również to, że w 1983 r. uzbrojone oddziały austriackiej Heimwehry przeważnie przyłączały się w całości do wkraczających formacji hitlerowskich.

Sporo uwagi poświęca pismo Anschlusowi z marca 1938 r., który w dzisiejszej terminologii politycznej określa się jako brutalne pogwałcenie niezawisłości Austrii. Nie tylko Schuschnigg, którego bezpodstawnie przedstawiają jego koledzy partyjni jako bojownika antyhitlerowskiego ruchu oporu, a który zaakceptował Anschlus i wystosował do Hitlera hołdowniczy adres, ale i socjalista Karl Renner, dwukrotny (po pierwszej i po drugiej wojnie) kanclerz wezwał członków swojej partii i rodaków do głosowania „tak" w plebiscycie w sprawie Anschlusu, upatrując w nim „historyczny postęp". Błogosławieństwa Hitlerowi udzielił kardynał Wiednia Innitzer, a półmilionowy tłum Austriaków, który, jak w delirium wiwatował na cześć Hitlera, był — jak pisze się — największą rzeszą ludzką, jaka kiedykolwiek zgromadziła się w Austrii na jednym miejscu.

W artykule zwraca się też uwagę, że ośmioprocentowemu udziałowi Austriaków wśród ogółu mieszkańców Rzeszy odpowiadało nieproporcjonalnie wielkie ich zaangażowanie się w hitlerowskiej machinie wojny i zniszczenia. („Co, dodajmy, jak na kraj „podbity" byłoby zjawiskiem niespotykanym). Jak wynika z dokumentacji przedłożonej w 1966 r. przez Szymona Wiesenthala, kierownika żydowskiego centrum informacyjnego w Wiedniu, ówczesnemu kanclerzowi Klausowi „Austriacy w czasach hitleryzmu ponoszą odpowiedzialność za śmierć około trzech milionów Żydów".

Wkrótce po Anschlusie przybył z Monachium do Wiednia Adolf Eichmann (zresztą Austriak) i zorganizował tu „centralę do spraw żydowskiej emigracji". Austria stała się wtedy poligonem doświadczalnym eksterminacji Żydów dla całej III Rzeszy. Z żydowskiej ludności Wiednia, liczącej przed Anschlusem około 220 tys. osób ocalało do końca wojny zaledwie ok. 200 osób.

Po śmierci szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (Reichssicherkeitshauptamt) Heydricha (zabitego w Pradze), objął jego funkcję Austriak, Ernst Kaltenbrunner. Jak przypomina „Spiegel" we wszystkich „diabelskich przedsięwzięciach roiło się od Austriaków". Z bardziej znanych nam ze słyszenia nazwisk wymienia się m. in. Globocnika i braci Brunnerów.

W austriackiej części Rzeszy — „Ostmark" (Marchia wschodnia) było procentowo więcej członków partii hitlerowskiej (10 proc.) niż przeciętnie w całej Rzeszy (7 proc.), a Karyntia zyskała sobie miano „okręgu najwierniejszego Hitlerowi". Jak zauważają dowcipnie autorzy artykułu „nawet 40 proc. wiedeńskich filharmoników czuło się pewniej grając na skrzypcach czy na flecie z legitymacją partyjną w kieszeni".

Nic więc dziwnego, że wobec takich plam na politycznej przeszłości Austriacy uczepili się skwapliwe użytego przez aliantów sformułowania, iż „pierwsi padli ofiarą narodowo-socjalistycznej agresji" i wobec tego za wszystko złe odpowiedzialni są sami Niemcy. W ostatniej chwili udało się też Austriakom wynegocjować usunięcie z tekstu układu podpisywanego z wielkimi mocarstwami w 1955 r. wzmiankę o „współodpowiedzialności", co niejako automatycznie uzasadniało uwolnienie Austrii od obecności wojsk okupacyjnych. Jak stwierdza wiedeński historyk Karl Stuhlpfarrer „Austriacy zachowywali się jak małe dzieci przyłapane na gorącym uczynku i zrzucające swoją winę na innych". I wskutek tego nigdy nie mogło tu dojść do przetrawienia popełnionych win ani do konsekwentnej denazyfikacji.

Nie brakło co prawda radykalnych deklaracji. Kanclerz Renner oznajmił po wojnie, że „narodowi socjaliści będą traktowani według takich samych praw wyjątkowych, które narzucali innym", ale okazało się to nierealne wobec 600-tysięcznej rzeszy byłych członków NSDAP (z których tylko 13 tys. zostało ukaranych), co stanowiło 10 proc. ogółu ludności (a znacznie wyższy procent ludności dorosłej). Już zresztą jesienią 1945 r. „chrześcijańsko-społeczni chcieli przywrócić hitlerowcom odebrane im prawa wyborcze, czemu sprzeciwili się komuniści i po części socjaliści, na co replikował czołowy przywódca chrześcijańsko-społecznych, Alfred Maleta: „badanie przeszłości należy pozostawić nauce".

Potencjał wyborczy byłych nazistów (z rodzinami co najmniej milion osób) stawał się stopniowo ważniejszy niż denazyfikacja, zarządzona przez mocarstwa okupacyjne i rząd austriacki, toteż w 1949 r. cofnięto zakaz ich udziału w wyborach. Zresztą twierdzi profesor Oliver Rathkolb, konsekwentne przeprowadzanie denazyfikacji „musiałoby dotknąć czwartą część dorosłej ludności, zabrakłoby więc nauczycieli, sędziów, profesorów..." A kiedy nadeszła „zimna wojna" byli hitlerowcy zaczęli stawać się użyteczni w walce z komunistami i służyć „wzmocnieniu antyradzieckiego potencjału zachodu" — pisze amerykański historyk Knight.

W artykule przytacza się też coraz liczniejsze obecnie fakty publicznego przyznawania się Austriaków do hitlerowskiej przeszłości, i to nie w skrusze, lecz z dumą, wielu zresztą pełniło, bądź jeszcze pełni, rozmaite funkcje w aparacie państwowym i partii chrześcijańsko-socjalnej, podnosi się też fala antysemityzmu, toteż próby moralnego dyskredytowania kogokolwiek wytknięciem mu jego brunatnej przeszłości bynajmniej nie zmniejszają jego szans w wyborach do ciał przedstawicielskich. „Wybieramy kogo chcemy", jak brzmi hasło austriackiej prawicy, która w tym układzie sił jest za „demokracją".

Na takim politycznym tle sprawa zatajonej przez Kurta Waldheima przynależności do partii hitlerowskiej i jego nie do końca zbadany życiorys wojenny, wydają się w gruncie rzeczy bezprzedmiotowe, nie aż tak ważne, jak nasilające się ostatnio w tym kraju niepokojące procesy.

I chyba głównie to mając na uwadze, Związek Radziecki, w przeciwieństwie do niektórych krajów, ogłosił swoje desinteressement personalnymi aspektami wyborów prezydenckich w Austrii.

Oprac. J. K.

Koncert inauguracyjny. Orkiestra Kameralna Wojciecha Rajskiego. Barbara Górzyńska — skrzypce, Krzysztof Kolberger — recytacje. *Fot: Grzegorz Karłowski*

Dziewięć łańcuckich wieczorów

WIECZÓR I. SOBOTA, 10 MAJA 1986 R.

Przed zamkiem gromadzi się tłum. Setka gapiów z zainteresowaniem przygląda się wozom transmisyjnym. Telewizja Polska — kolor, Telewizja Warszawa, Kraków, Poznań. Polskie Radio — widać napisy na samochodach.

Schodzą się festiwalowi goście. Zapach perfum miesza się z zapachem kwiatów. Panie w długich suknach i wysokich butach przypominają pawie królewskie. Coraz więcej ludzi zbiera się w Wielkiej Sieni.

Uroczysta inauguracja festiwalu. Sala balowa zapełniona po brzegi. Nie ma ani jednego wolnego miejsca. Dwie młode dziewczyny przejęte obecnością kamer telewizyjnych rozsunęły energicznym gestem muzealne *eksponaty* i usiadły na wysoko podniesionym kominku, co wywołało na twarzach pracowników zamku zrozumiałe oburzenie.

„Cztery pory roku" A. Vivaldiego z ogromnym zaangażowaniem wykonała Orkiestra Kameralna Wojciecha Rajskiego, wraz z solistką Barbarą Górzyńską. Każdą porę roku poprzedzał sonet Agnieszki Osieckiej, recytowany przez Krzysztofa Kolbergera. Na zakończenie pojawiła się „Piąta pora roku" dedykowana *„panu Bogusławowi w podzięce za inspirację"*. Tą piątą porą jest epoka nasza *„światowa wiedźma w wianku z jeżyn co nie umie kochać, w nic nie wierzy i nie dostrzega, co za szkoda, jaka właściwie jest pogoda"*. Duży komplement dla kierownika artystycznego festiwalu, czy bardzo złośliwa aluzja? — zastanawiali się niektórzy po koncercie.

— *Trochę jestem jeszcze oszołomiony, bo przyjechałem prosto z próby w teatrze w Warszawie i w zasadzie zjawiłem się tu dopiero godzinę przed występem. Nie miałem nawet okazji przyjrzeć się miejscu, w którym występuję* — mówi Krzysztof Kolberger.

— *Proszę pani* — zwraca się starszy pan we fraku do pięknie ufryzowanej sąsiadki — *jak tu kiedyś grali Vivaldiego. Cztery chóry w czterech rogach sali balowej, a dyrygował sam, młodziutki wtedy Jerzy Maksymiuk, to było wykonanie.*

Na dworze jest już zupełnie ciemno. Tylko silne światła reflektorów wydobywają z mroku fragmenty starych murów.

WIECZÓR II. NIEDZIELA, 11 MAJA 1986 R.

W programie dwa koncerty. Pierwszy o godzinie 16.00 — znów Orkiestra Kameralna Wojciecha Rajskiego. Solistą tym razem jest wiolonczelista Wolfgang Boettcher z RFN. Wszyscy jednak czekają na drugi koncert — nadzwyczajny recital Sety del Grande. Jest to śpiewaczka La Scali w Mediolanie, Covent Garden Opera w Londynie, Opery w Paryżu, Metropolitan Opera w Nowym Jorku. Niedawno wraz z zespołem Teatru Wielkiego w Łodzi zainaugurowała działalność *teatru operowego w Mesynie*.

Na scenie drzewko kwitnącego bzu. Primadonna w ciemnej sukni śpiewa fragmenty oper i operetek Catalaniego, Pucciniego, Belliniego, Verdiego. Skąd w niej tyle siły, by głos brzmiał pełnym dźwiękiem bez mikrofonu w najdalszym zakątku sali. Elegancka i wytworna przyjmuje owacje jako coś naturalnego. Kłania się, ale wciąż wskazuje na W. Malickiego — akompaniującego na fortepianie.

Pierwsza podbiega z bukietem konwalii staruszka — była *śpiewaczka opery we Lwowie*. Podaje kwiaty siedząca w pierwszym rzędzie, wielka polska śpiewaczka — Barbara Kostrzewska i dziękuje Bogusław Kaczyński. Kilku panów z pierwszego rzędu zaczęło padać w ramiona Secie del Grande, co wyglądało trochę śmiesznie i nienaturalnie. Jednak primadonna dzielnie odpierała ataki, mając widocznie Polaków za naród wyjątkowo wylewny.

— *Bardzo lubię Polskę, Polaków, no i pana Kaczyńskiego oczywiście* — powiedziała po recitalu.

WIECZÓR III. PONIEDZIAŁEK, 12 MAJA 1986 R.

Dziś w programie rodzeństwo: Barbara i Maciej Górzyńscy.

Barbara Górzyńska — absolwentka łódzkiej PWSM, już jako 16-letnia dziewczyna debiutowała wykonaniem koncertu skrzypcowego e-moll Mendelssohna z towarzyszeniem Wielkiej Orkiestry Polskiego Radia w Katowicach. Od tego czasu zdobyła wiele nagród na międzynarodowych konkursach.

Maciej Górzyński — absolwent Konserwatorium w Moskwie, towarzyszy siostrze przy fortepianie.

— *Bis, bis* — woła publiczność.

— *Proszę państwa, nie sądziłam, że będę tak oklaskiwana i nie przygotowałam więcej utworów. Mogę zagrać jeszcze raz „Oberka" Grażyny Bacewicz.*

WIECZÓR IV. WTOREK, 13 MAJA 1986 R.

W cyklu Mistrzowie Sceny Polskiej — Zofia Kucówna i „Dzienniki" Marii Dąbrowskiej. Nie psują widoku kamery telewizyjne (chociaż lamp i kabli nie udało się zlikwidować). Drzwi pozamykane. Cisza...

Na scenie pojawia się aktorka. W białej sukni z koronkowymi rękawami. Zaczyna mówić. Głośniej, ciszej. Opowiada o życiu Marii Dąbrowskiej. W pewnej chwili widzom wydaje się, że to nie Zofia Kucówna, a sama pisarka mówi o rzeczach ważnych i błahych.

Godzina 21.30. Scena udekorowana południowymi roślinami. W ostrych światłach reflektorów widać dwóch Argentyńczyków — Eduarda i Juana Josefa Falu. Zaczynają grać. Najpierw słychać samą muzykę, potem dołącza się cichy, a w miarę upływu czasu donośny głos.

Dziwnie wyglądają w sztywnej pozie na stylowych krzesełkach. Chciałoby się ich przebrać w stroje hiszpańskie, a potem usłyszeć wieczorem w małej kawiarence lub na placu pod gwiaździstym niebem.

WIECZÓR V. ŚRODA, 14 MAJA 1986 R.

Na ten wieczór długo wszyscy czekali. Wieczór z Gwiazdą.

Kominek zasłonięty czerwonym aksamitem. Czerwone reflektory otaczają giętką, czarną postać. Białe ręce i biała twarz. I dramatyczny głos odbijający się od ścian ciemnej sali balowej.

— *Brawo, brawo Juliette Greco.*

Artystka uśmiecha się. Stoi na tle swojego, czarno ubranego zespołu. Na sali duszno. Publiczność wyjątkowo galowa. Zajęte wszystkie miejsca, łącznie ze stojącymi. Francuzka śpiewa o Paryżu Sartre'a i Camusa, o straconych złudzeniach, o minionych latach. Każdy jej miękki ruch mówi bardzo wiele, w każdym geście zawiera tysiąc słów.

— *A teraz będzie piosenka* — mówi artystka — *o kobiecie, która zakochała się. Jeżeli kobieta ta w rzeczywistości nie jest ładna, to pięknieje dzięki miłości.*

— *Ile razy pani kochała, skoro tak ładnie śpiewa pani o miłości?* — zapytał ktoś na konferencji prasowej.

— *Pan pewnie kochał dziesięć razy więcej, skoro pan o to pyta* — dowcipnie odpowiada Francuzka.

WIECZÓR VI. CZWARTEK, 15 MAJA 1986 R.

Występuje Kwartet im. Janáčka z Czechosłowacji. W programie Mozart, Corelli, Janaček. Kwartet, obsypany licznymi nagrodami, ma za sobą dużo nagrań płytowych, radiowych i telewizyjnych. Mimo to wypadł blado.

O godzinie 22.00 w Teatrzyku Marszałkowej Lubomirskiej, piękny, kameralny koncert w starym stylu. W programie: muzyka dawnego Wersalu. Na klawesynie gra Elżbieta Stefańska-Łukowicz, laureatka głównej nagrody na konkursie klawesynowym w Genewie, pedagog krakowskiej Akademii Muzycznej. Viola da gamba — to instrument na którym gra Grażyna Krzyżanowska-Millan, polska artystka, zamieszkała od kilkunastu lat w Austrii.

WIECZÓR VII. PIĄTEK, 16 MAJA 1986 R.

Zarówno widzowie jak i organizatorzy są już trochę zmęczeni. Orkiestra barokowa „Concerto Avenna" nie zyskała więc szczególnego aplauzu. Widać było, że muzyka, którą prezentują jest już nieaktualna, sprzed wielu, wielu lat. Czuło się pewien dystans do tej XVII-wiecznej muzyki. Oczywiście nie można tu pominąć dwóch solistek. Bardzo pięknie grała na flecie Jadwiga Kotnowska. W białej sukni, ze złotą szarfą, złotymi wisiorami i takąż kokardą we włosach wyglądała jakby zeszła z barokowych obrazów.

Wspaniale rozbrzmiewał klawesyn pod palcami Elżbiety Stefańskiej-Łukowicz, a podziwiała córkę m.in. siedząca w pierwszym rzędzie znana pianistka Halina Czerny-Stefańska.

Wieczorem kameralne grono znów zbiera się w Teatrzyku Marszałkowej. Tym razem w programie pieśni Wagnera, Rachmaninowa i Czajkowskiego w wykonaniu Hanny Rumowskiej.

WIECZÓR VIII. SOBOTA, 17 MAJA 1986 R.

Młodzież oczekuje Edyty Geppert. Uczniowie Liceum Ogólnokształcącego w Łańcucie przygotowują dla piosenkarki ogromny krzak bzu.

— *Jak wejść do zamku? Czy nas wpuszczą?*

Zanim jednak nastąpi recital Edyty Geppert prezentuje się Orkiestra Filharmonii Rzeszowskiej z dyrygentem Józefem Radwanem. Soliści: Jerzy Kotyczka — obój, Urszula Mazurek — harfa i Grigorij Żyslin — skrzypce. Przepięknie wykonano utwór „Ptaki" Respighiego.

Godzina 23.00, Muzyka Nocą i Edyta Geppert. Zamiast scenografii wprowadzono tu światła — czerwone, niebieskie i białe. Z tła wyłania się postać dziewczyny w czarnych spodniach i czarnej bluzie. Główny nacisk w czasie interpretacji piosenek kładzie na twarz i ręce. Jest świetną aktorką. Śpiewa teksty pełne głębokich treści filozoficznych J. Przybory, M. Zembatego, W. Młynarskiego, A. Zaorskiego. Na koniec zaśpiewała dowcipną „Pannę Manię, która gra na mandolinie". Recital bardzo piękny, ale nie pasował do stylowych wnętrz.

WIECZÓR IX. NIEDZIELA, 18 MAJA 1986 R.

Oczekiwane „cudowne dziecko" z Grecji — 16-letni Dymitris Sgouras nie przyjedzie. Komisja lekarska nie wyraziła zgody na recital w Polsce ze względu na sytuację w naszym kraju i jego młody wiek. W zamian łańcuccy widzowie zobaczą wspaniałego wiolonczelistę Iwana Monighettiego, występującego z zespołem „Fiori Musicali". Utwory Vivaldiego i Boccheriniego w wykonaniu wiolonczelisty — to przepiękne obrazki muzyczne.

O godzinie 19.00 — uroczyste zakończenie Festiwalu i recital Grigorija Żyslina z ZSRR i towarzyszącej mu na fortepianie Fridy Bauer. W programie „Sonata z diabelskim trylem" Tartiniego-Kreislera, Sonaty Szostakowicza i Brahmsa, oraz wariacje Paganiniego.

JOANNA SOKOŁOWSKA

Jak uratować festiwal?

ze str. 1

szłym roku przygotować program, na który złożą się właśnie utwory z biblioteki łańcuckiej, często w ogóle nie znane, grywane z rękopisów lub pisane specjalnie na zamówienie. Ale przy tym jest pewien problem, mimo całej atrakcyjności tematu. Nie są to dzieła najwyższego lotu. Bardzo pięknie dzisiaj wykonać utwór, który był grany w obecności Marszałkowej. Pod warunkiem, że wytrzymał próbę czasu, nie zwietrzał, jest atrakcyjny muzycznie do tego stopnia, żeby konkurować z Mozartem, Beethovenem, Haydnem. Koncert złożony z takich ciekawostek możemy zorganizować tylko raz i jak już powiedziałem będzie on w przyszłym roku.

— Widzę więc, że już ma pan plany dotyczące Festiwalu Łańcut '87. Powróćmy jednak do tegorocznych emocji. Nazwał pan Setę del Grande swoją przyjaciółką. Od jak dawna zna pan tę wielką śpiewaczkę?

— Poznaliśmy się w Mesynie. Jest to urocza, czarująca wręcz pani, tak że od razu bardzo zaprzyjaźniliśmy się. Z nią i z jej mężem. A ten przyjazd tutaj cudem chyba został zrealizowany. Jak pani zapewne wiadomo sześć razy zmieniała termin tego występu. Wchodziły w kolizję wyjazdy do Londynu, Paryża i Montrealu. Było to dla mnie dramatyczne. Czasem tak jest jak na szachownicy: nigdzie nie ma ruchu. No, ale na szczęście zakończyło się wszystko pomyślnie i Seta del Grande przyjechała do Łańcuta. Wyjeżdżając zostawiła mi fotografię z dedykacją. Mam w domu kolekcję największych znakomitości... O tutaj, widzi pani... „Mojemu drogiemu przyjacielowi Bogusławowi, z największym uczuciem, sympatią, wieczną pamięcią i zapewnieniem o stałej i wielkiej miłości. Seta del Grande, Łańcut '86".

— A czy atmosfera zamku ma jakiś magiczny wpływ na artystów i na poziom festiwalu?

— Oczywiście, że ma. Proszę pamiętać, artyści występują głównie w salach koncertowych, które są zimne. Artyści operowi śpiewają na tle tekturowych dekoracji, widzą je z bliska. I nagle, gdy wchodzą do tych cudownych wnętrz, pełnych marmurów, obrazów, luster, są oczarowani. To są ludzie wrażliwi na piękno. Wielu potem mówi, że recital w Łańcucie był najpiękniejszym recitalem w ich życiu. Artysta musi być uskrzydlony, a atmosfera zamku wpływa właśnie na to uskrzydlenie.

— Nie ma tu tandety ani sztuczności.

— I nie ma pospolitości dwudziestego wieku. My żyjemy w czasach tworzyw sztucznych, gdzie wszystko jest jednorazowe. A tu wszystko jest wieczne.

— Ta atmosfera wpływa nie tylko na samych wykonawców, ale i na publiczność. Słyszałam, że są ogromne kłopoty z dostaniem karnetu na festiwal.

— To mnie bardzo cieszy.

— A jeśli dzwonią do pana różne ważne osobistości z prośbą o abonament, co pan odpowiada?

— W tym roku było bardzo wiele telefonów z ambasad. Ja odpowiadam, że chętnie, ale w przyszłym roku. Prośby o abonamenty do Łańcuta składa się rok wcześniej. Już we wrześniu jest właściwie komplet. Do kwietnia mamy cztery razy więcej zgłoszeń niż abonamentów. Podania rozpatruje specjalna komisja, w której zresztą nie uczestniczę. Filharmonia w Rzeszowie — główny dystrybutor biletów bierze pod uwagę np. czy dana osoba często bywa na koncertach.

No, spełniamy również różne specjalne prośby. Np. napisał do mnie pewien lekarz weterynarii. Mieszka już dwadzieścia pięć lat w małym miasteczku w Bieszczadach. Obchodzi w tym roku jubileusz swojej pracy na tym terenie. Pisze, że właściwie nie miał okazji przeżyć czegoś wielkiego i prosi, żeby nagrodą za jego długą pracę była możliwość kupienia biletu do Łańcuta. Oczywiście takie prośby są spełniane w pierwszej kolejności.

Napisał do mnie też inżynier z Krakowa, który mając 31 lat przeszedł na rentę z powodu ciężkiej choroby serca. Ma sześcioletnią córeczkę. Pisze, że dziecko to mając chorego ojca nie ma takiego dzieciństwa, jakie mogłoby mieć. Jego marzeniem jest, aby córka mogła przyjechać na przedstawienie dla dzieci.

Są to więc sprawy ludzkie. Nie jesteśmy przecież automatami, a ja szczególnie przestrzegam tego, aby w przyzwoity sposób odnosić się do ludzi.

— Wprawdzie niewiele osób może być w Łańcucie, ale za to cała Polska ogląda transmisje [illegible] wiec ciekawych propozycji w przyszłym roku. I dziękuję bardzo za rozmowę.

Rozmawiała: JOANNA SOKOŁOWSKA

Juliette Greco i Bogusław Kaczyński. *Fot: Ryszard Cieliński*

Projektować to sobie można

Witold Marchwicki jest architektem prawie od trzydziestu lat. Ma niemały dorobek, przypomnijmy choćby klasztor w Sulejowie. Z sypiącej się ruiny stworzył ośrodek wypoczynkowy o którym w Polsce mówi się bardzo dobrze, jest autorem wielu projektów budowli użyteczności publicznej na terenie byłego województwa łódzkiego.

— W czasie swego długoletniego stażu dziennikarskiego niejednokrotnie bywałam na tzw. uroczystym oddawaniu obiektów do użytku i to w czasie, kiedy za właściwe uważano zapraszanie na te imprezy projektantów. W grupie zadowolonych z siebie osób zawsze był ten jeden skrzywiony. Z góry wiedziałam, nawet jeśli człowieka nie znałam, że to jest projektant. Pana zresztą też pamiętam w takiej sytuacji w czasie oddawania pływalni w Pabianicach. Przedstawiciele władz sobie wzajemnie gratulują, ściskają dłonie, wykonawcy promienieją, a pan spięty do ostateczności tłumaczy mi co i kto panu skopał w tej budowie. Oprócz mnie nikt pana nie słuchał i nie chciał, w takim dniu facet, który psuje nastrój... Czy często bywa pan niezadowolony z efektów swojej pracy? Mówiąc szerzej czy zna pan architekta, któremu by zrealizowano do końca projekt?

— Nie spotkałem się z takim. Mówię oczywiście o architektach, którzy projektują budownictwo ogólne. A gdzie są szanse na przemycenie jakichś swoich przemyśleń. Zadowolony powinien być inż. Kardaszewski, który projektuje domy budowane 100 metrów od swego miejsca zamieszkania, a więc może nękać budowlanych i dopilnować, ale i on się szarpie i wcale nie jest taki szczęśliwy.

Nazbierało mi się sporo przykrych doświadczeń, nie zrealizowanych do końca projektów albo przerobionych bez mojej woli. Ostatnio mam taką historię z zajazdem „Boryna" w Wieluniu przy szosie sieradzkiej. Jest to ostatni zajazd z grupy, którą w latach siedemdziesiątych wznoszono najpierw w Wielkopolsce a potem u nas. Zaczęto w 1977, budowa szła z przerwami i teraz kiedy się zoliza finał zrezygnowano z nadzoru autorskiego. A to jest sto kilometrów, muszę mieć delegację, dzień przerwy pracy w biurze, ktoś powinien za to zapłacić. Zresztą kiedy tam pojechałem z własnej inicjatywy, zrozumiałem dlaczego nie jestem zapraszany. Otóż zaprojektowałem na parterze salę jadalną z trzema wnękami z oknami, zasłoniętymi kaloryferami, dostosowanymi do wystroju stolikami i siedziskami — tutaj współpracował ze mną znany plastyk Michał Gałkiewicz. Środek sali był obniżony i ozdobiony kominkiem z miejscem, gdzie można było wypić kawę, herbatę, posiedzieć, popatrzeć na żywy ogień. Doskonale mi się przed laty pracowało z kierownikiem budowy panem Słupczyńskim, który rozumiał moje intencje... A tu zajeżdżam, patrzę, obniżenie zasypane, sala na jednym poziomie, kominka nie ma, wszystko według gustu inwestora, meble i oświetlenie będzie na pewno też odpowiednio, a raczej nieodpowiednio dobrane.

— Kiedy pan tam był nie było nikogo odpowiedzialnego z ramienia kierownictwa, a gdyby ktoś był czy wyrzucono by pana z budowy?

— Aż tak to chyba nie, ale czy znalazłby się ktoś kto potraktowałby serio moje uwagi? Przecież ja byłbym tym, który z jakichś wydumanych powodów przeszkadza w oddaniu budowy. Mogę się oczywiście zwrócić do nadzoru budowlanego. Ale wiem, że fachowców tam mało, że wnętrza ich mało interesują, ważne że się dom nie zawali...

— Czy często projektując obiekt idzie pan na ugodę z inwestorem?

— Bardzo często. W wypadku zajazdu „Boryna" także. Ja przewidywałem w tym zajeździe część pokoi dwuosobowych z łazienkami, ale także i większe sale, gdzie mogliby przenocować ludzie z całego autokaru. Mieliby gorszy pokój, ale jadalnię równie piękną jak ci z małych pokoików. Zmieniłem więc projekt w myśl życzeń inwestora (Ośrodek Sportu i Turystyki w Wieluniu). Oni dodali swoje samowolne zmiany i w rezultacie zostały na górze tylko małe pokoiki, a na dole zamiast pięknego wnętrza coś w rodzaju stołówki czy knajpy GS.

— Z zewnątrz niczego panu nie zmieniono?

— Zaprojektowałem cokoły z kamieni polnych zwanych otoczakami. Inwestor mi wmawiał, że są one nie do zdobycia, zgodziłem się więc na... łastriko. Okazało się jednak niedawno, że te otoczaki są jak najbardziej dostępne i to niedaleko, w Sieradzkiem. Wykonawca idzie więc na łatwiznę...

— Może było tak, że budowa się ślimaczyła, znalazł się wreszcie energiczny facet, który ją dokończył, będzie chwalony, wszystkim się będzie podobało, a pan zostanie uznany za śledziennika — pięknoducha i tego co opóźnia realizację naszej świetlanej przyszłości architektonicznej. Jako że te samowolne zmiany zdarzają się w pana projektach nie pierwszy raz, czy nie próbował pan zaprojektować tak by zmiany te uniemożliwić?

— U normalnych inwestorów nie tak samowolnych jak ten z Wielunia zmiany dyktowane są dostępnością materiałów. Od momentu projektowania do oddania budowli użyteczności publicznej mija na ogół dziesięć lat. W czasie projektowania niektóre materiały są osiągalne, więc je proponuję, w chwili kiedy wykonawca jest na placu, ich już nie ma na rynku. Oczywiście nie proponujemy ani drogocennego drewna, ani marmurów, ani innych cudów. Np. głupi profil stalowy do konstrukcji, którego jest zatrzęsienie w jednym roku, jest nie do zdobycia w następnym.

— No jest chyba coś, co może pan proponować stale?

— Stale jest tylko cement, ale też różny, w kolorze np. nie białym, ale sinoszarym. Poza tym cement jako taki wymaga olbrzymiej precyzji i kultury. Szalunki muszą być gładkie, a nasi wykonawcy dysponują źle wyheblowanymi deskami. Mamy w świecie piękne przykłady wspaniałej architektury z surowego betonu, ale obiekty są wykonane z perfekcją. A w takich wypadkach do tandety jest tylko krok.

— Wszyscy architekci w Polsce narzekają. Znalazł się nawet krakowski urbanista, który rozdmuchał sprawę na całą Polskę. Osiedle mu „zepsuto" wlepiając wbrew niemu domy wysokie tam, gdzie on widział niskie. Niczego nie wskórał...

— Bo architekci od osiedli muszą się liczyć z możliwościami wykonawcy, czy mają dźwigi i ile, i jakimi technologiami dysponują, na twórczość własną nie ma miejsca. Nie ma też miejsca na to by np. były zrealizowane projekty zieleni. Taki projekt zawsze jest dołączany do projektu osiedla, bo dokumentacja musi być kompletna. Nigdy nie są jednak realizowane...

— Człowiek skazany na bloki nie dostrzega szarzyzny...

— I takiemu człowiekowi z wieluńskiego M-3 o krzywych ścianach i z wejściem z brudnej i ciasnej klatki schodowej przydałby się zajazd z kominkiem — inne wnętrze, w którym chętnie wypiłby herbatę. Chciałem stworzyć tę możliwość oddechu, inności, tej niestety nieznanej innej architektury. Do takiego zajazdu w kształcie w jakim zostanie on oddany przychodzić się będzie po to, by napić się tylko wódki...

Jest to zresztą niejedyny przykład mojej porażki i nie tylko mojej. Zastanawialiśmy się w SARP co z tym fantem zrobić, z tym zmienianiem kształtu przestrzennego przez ludzi niefachowych, niepowołanych do tego. Ale do kogo się zwrócić, komu na tym naprawdę zależy? Jeśli architekt w społecznym odczuciu odpowiada za kształt przestrzenny kraju, to powinien mieć możliwości wpływu na ten kształt. Chcielibyśmy jakąś dyskusją wpłynąć na ocenę społeczną takich zjawisk.

— Nie wydaje mi się to bardzo możliwe. Połowa Polski mieszka już w blokach, które, czy człowiek tego chce, czy nie, wpłynęły już na jego estetyczne poglądy. Dzieci w przedszkolach nie potrafią już rysować domków — rysują blokowiska. Synek mojego znajomego, który mieszka w domu w ogrodzie, oznajmił ojcu ze zdumieniem, że jego kolega nie mieszka w domu, ale w bloku.

— Nie można tracić nadziei, inaczej należałoby z tego zawodu zrezygnować. Ostatnio danym mi było zaprojektować dom mieszkalny w Brzezinach. Nie musiałem projektować dla kombinatu dysponującego fabryką domów, a więc z określoną technologią, która odebrałaby mi wszelkie możliwości wykonywania mego zawodu. Ma być wzniesiony tradycyjnie. Sam zaproponowałem inwestorowi, by mieszkania parterowe przystosować dla ludzi niepełnosprawnych. Inwestor zgodził się chętnie, ale zażądał potem uwzględnienia w projekcie pomieszczenia na spotkania dla ludzi starszych, które to pomieszczenie od razu kładzie mi cały projekt. Ja jestem jak najbardziej za, ale nie na siłę i w odpowiednim miejscu...

— Wynika z tego, że inwestor nie zawsze wie czego chce?

— Tak, decydenci nie są przygotowani. W przypadku „Boryny" koncepcja nie urodziła się na dole. Gdyby tak było, może byłby to zwyczajny GS-owski kurnik, jakich wiele na wsi i w małych miasteczkach.

— Czyli według gustu człowieka wychowanego w ciasnym, szarym bloku, a w najlepszym wypadku w bardzo tandetnym banalnym domku jednorodzinnym...

— Bo to tak jest, że człowiek buduje dom, a potem ten dom kształtuje człowieka...

— Czy możemy jeszcze zmienić poglądy? Przecież te wybudowane domy nas bardzo kształtują. Możemy się założyć że będą w Wieluniu ludzie zachwyceni tą stodołą, którą panu spreparowano z projektu

— Myślę, że zrezygnować z walki o estetykę, o klimat naszych osiedli, wręcz nam nie wolno. Polska jest naszą wspólną przestrzenią, częściowo tylko zdegradowaną, jeszcze wiele jej piękna możemy uratować i kto wie czy nie podkreślić przemyślanym budownictwem?

Rozmawiała:
ALINA PONIATOWSKA

Fot. [illegible]

To nie msza, to perwersja!

Moja sąsiadka z prawej strony spytała nerwowo: — *co u diabła, rewia czy msza?*

Błyskały flesze, wszystkie oczy wlepione były w podium, na którym celebrowano modę. Styl à la Amadeusz: lama, brokat, lurex, perły, broszki, kokardy, panowie w kudłatych perukach, panie za to z włosem przylizanym i skrzętnie ukrytym pod najdziwniejszymi nakryciami głowy. Panowie podpierają się laskami, panie panami. Wszystko trwa zaledwie kilka minut, towarzystwo ucieka z podium, a dyskretne światło wydobywa z mroku szefa Mody Polskiej Jerzego Antkowiaka ubranego w klasyczny czarny garnitur. Do tego biała podkoszulka i złota broszka w klapie.

Dyrektor uspokaja co bardziej zszokowanych, iż na początek pokazano skoncentrowaną porcję nowości.

Dla zwolenników mody ciut spokojniejszej Paryż lansuje kobietę, która ma nogi, talię i biust. *„Zapomnijmy o cukierniach"* — woła się w Paryżu, bo damska sylwetka ma być w szczupłym wydaniu. Tylko ramiona podkreśla się bardzo mocno. Jesienią — zimą 86/87 po naszych ulicach mają chodzić barczyści mężczyźni i tylko nieco mniej barczyste kobiety o szczupłych taliach i gibkich biodrach...

Najlepiej, najmodniej i najwygodniej będzie ubierać się na czarno. Nie wiem co prawda ile kobiet posłucha zawołania dyr. Antkowiaka: — *załóż małą czarną i idź w niej do pracy.* Faktem jest, że po dłuższym okresie zapomnienia *„małą czarną"* wraca do łask. Może być uszyta z welwy, z aksamitu z dzianiny w pionowe prążki (jakby to był bardzo wydziergany sweter), może sięgać do pół łydki lub przed kolano. Nosi się do niej czarne pończochy, najlepiej czarne lakierki i dużo, dużo biżuterii. Perły, brylanty, łańcuszki, żółte i srebrne paski — a wszystko to oczywiście z „Jablonexu".

Cała kolekcja świeciła „Jablonexem". Broszki z fałszywych brylantów przypina się do bluzek, sukni, ale także do... futrzanych czapek i jako ozdobę męskiego krawata. Albo zamiast niego.

ANNA KRZYŻANOWSKA

Czerń wraca także w modzie męskiej, w której pojawił się styl wytwornego młodzieńca — a la dandys. Czarny garnitur bądź smoking jest luźny, noszony z nieco niedbałą elegancją. Podkreślają ją kapelusze, szale, chusty, frakowe koszule. Krawaty, butonierki, paski i pasy smokingowe powinny być w ostrych kolorach.

Ostre kolory towarzyszą nie tylko czerni. Bardzo pożądanym akcentem damskiego kostiumu czy dodatkiem do marynarki są kokardy. Najróżniejsze — od bardzo ozdobnych zawiązanych z błyszczących lurexem szali aż po skromne białe. Albo wiązane z fantazją i warstwami: olbrzymia czerwona (jak mak), na to mniejsza, ale też duża biała i na wierzchu czarna mucha. Model z kokardami dostał duże brawa od publiczności — za sam pomysł i za efekt. Po godzinie nikt już nie pamiętał do czego te kokardy noszono — do białej bluzki na pewno, zdaje się, że był tam jakiś żakiet, ale reszta? Jest to pocieszające dla pań, które chcą wyglądać modnie i efektownie, lecz ich portfele nie wytrzymują wizyt w salonach firmowych Mody Polskiej.

W końcu na kokardy, biżuterię z „Jablonexu", czarne pończochy i szpilki może sobie pozwolić każda z nas. Te, które mają talię wartą podkreślenia, powinny dodać do kolekcji co najmniej kilka pasków — jeden obowiązkowo czarny, lakierowany, reszta w dowolnych kolorach. Nosi się bowiem minimum jeden pasek, ale można dwa lub trzy i do tego jeszcze łańcuszek. Albo zamotany wokół pasa, albo noszony jak do kieszonkowego zegarka.

Moda w wydaniu rewiowym robi się sprawą poważną, ale na szczęście bardzo poważnie traktuje ją wąskie grono fachowców, które w takt straussowskich walców każe paradować modelkom przyodzianym w czerń od stóp do głów z kamiennymi minami i krokiem stosownym do celebrowania imprez znacznie mutniejszych. Kolekcja wiodąca ma prawo do przerysowań i przejaskrawień. Tu jako żart odbiera się propozycję plastyka-projektanta biżuterii, by do czarnej wieczorowej sukni z aksamitu zafundować sobie wachlarz z... blachy (1/4 koła o średnicy 30 cm), lub imitację kapelusza: samo rondo z tejże „blaszki" grubszej niż używana do puszek z konserwami. Żartem jest paradowanie panny młodej w efektownej białej sukni z bukietem ślubnym składającym się z pęku kalii, które dla nas nieodparcie kojarzą się z wieńcami żałobnymi.

Ważne jest co innego. Owa efektowna suknia uszyta była ze zwykłej białej firanki, tyle że spienionej w bujne falbany. Wszystkie, nawet najbardziej ekstrawaganckie kreacje uszyte zostały z krajowych materiałów. Także i te „teatralne", które na dobrą sprawę można sobie uściubolić ze starej żakardowej kapy na łóżko (są jeszcze takie w sklepach i to nie za drogie) — trzeba tylko wymyślić okazję, by w czymś takim móc się pokazać...

Na pewno chętnie pokazalibyśmy się w tych modelach, które reprezentują „tendencję środka", w których daje się zauważyć tęsknota za modą bardziej elegancką, będącą przeciwwagą dla luzu i nonszalancji obowiązujących w ostatnich latach. Kobiety już zaczynają być eleganckie. Mężczyźni — jeśli pominiemy styl a la dandys — jakby tego nie przyjmowali do wiadomości. Mają nosić coraz szersze spodnie, coraz krótsze i bardziej kwadratowe marynarki.

Typ *„amerykański brutal"*? Nic podobnego. Raczej barczysty mężczyzna-narcyz. Z broszką w krawacie, w olbrzymim długachnym płaszczu chabrowym, wiśniowym lub w kolorze ugru.

To już nie msza, to perwersja! — podsumowała moja sąsiadka w tak pięknych dźwiękach „Zimy" Vivaldiego.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Seks na falach

Brzydki z zewnątrz, ogromny budynek Kunsthalle ustępuje co do liczby eksponatów wielu europejskim i innym muzeom, ale i tak nawet na szybkie, pobieżne przecież przebiegnięcie wszystkich jego sal trzeba poświęcić kilka godzin i wychodzi się stamtąd na ostatnich nogach. Niedaleko, wokół Kirchenalle jest dzielnica rozrywkowa Hamburga, ta mniejsza z dwóch, z kabaretem „Fioletowa Cebulka" („Die Violette Zwiebel") i wielkim tańczącym kasynem „Boccacio" (Tanzkasino). Po wzmocnionej dawce kultury w Kunsthalle nie miałem siły, żeby tam dotrzeć. Następnych dni już się okazja nie nadarzyła, ale oczywiście nie można było sobie darować wizji lokalnej w drugim, znacznie większym „zagłębiu" rozrywkowym — w sławetnej dzielnicy Saint Pauli.

Do dobrego tonu należy już od dawna wyrażać się z przekąsem i politowaniem o turystach, którzy będąc w Hamburgu muszą „oczywiście" (to słowo — to właśnie ów niezbędny przekąs) polecieć na Reeperbahn, główną ulicę w największym na świecie centrum przemysłu pornograficznego. A więc — powiadam — wypada się zdystansować do owych nagich dziewcząt w oknach wystawowych, do setek domów publicznych, kin i sklepów porno, zakładów typu „peep show" i „living show" i najróżniejszych innych — ale przecież nie można tam nie iść i nie zakosztować tej swoistej egzotyki.

Reeperbahn i całą Saint Pauli wykreowano na największą atrakcję turystyczną Hamburga. Co dzień wieczorem zjeżdżają tu dziesiątki autokarów, wysypują się z nich gromady mężczyzn i kobiet w wieku — średnio — raczej zaawansowanym, obwieszonych aparatami fotograficznymi i odrobinę podekscytowanych. Na benefis każdej grupy turystów wyjdą z głębi „Eros Center" rozebrane absolutnie dziewczęta i przez parę minut będą pozować turystom na tle wyuzdanych plakatów oblepiających ściany. To jest atrakcja wkalkulowana w cenę wycieczki. A już na własną rękę będą turyści zaglądać do dziesiątków lokali „Oben ohne", gdzie cała obsługa, wyłącznie żeńska, pracuje półnago, trzęsąc niebrzydkimi biustami nad każdym stolikiem, albo do mniej licznych, a ekskluzywnych lokalików z napisami: *„Tu panie są wyłącznie między sobą", „Zapraszamy tylko panów", „Oczekujemy na nowoczesne, tolerancyjne małżeństwa, pragnące rozszerzyć krąg swych wrażeń.."*

Sama Reeperbahn ma ponad kilometr długości; na tym kilometrze — po obu stronach — dom przy domu to wyłącznie przybytki rozrywki i seksu. „Living show" — to scenka, na której coraz to inna para demonstruje żywcem swoje metody spółkowania, a publiczność siedzi przy stoliczkach z piwem i bije brawo co zdolniejszym „artystom". „Peep show" — to rząd jednoosobowych kabin, gdzie można się zamknąć i wrzuceniem do automatu dwóch marek otworzyć maleńkie okienko z widokiem na sceny jak poprzednio, albo „tylko" na strip-tease. Ma się ten strip-tease niejako dla siebie, a wyreżyserowany jest tak, że nikt nie poprzestanie na dwóch markach i nie dopuści do przedwczesnego opadnięcia klapy w okienku.

Poza tym sklep przy sklepie z pornograficznymi wydawnictwami, a w każdym takim sklepie jeszcze kotara, za którą nonstop lecą telewizyjne filmy porno. Ogromny, szokująco ogromny pornoprzemysł. A jeszcze na piętrach, nad tymi wszystkimi przybytkami, mnóstwo hoteików, pensjonatów — na godziny, z naganiaczami, z czerwonymi światełkami i seksowną muzyką przy wejściu. A jeszcze na bocznych ulicach z Grosse Freiheitstrasse czyli ulicą Wielkiej Wolności(!) i dziesiątkiem pomniejszych, ten sam przemysł powielony dziesięćkroć, po różnych cenach, w różnych stylach i układach. I wszędzie mnóstwo nagości, setki najróżniej porozbieranych, różnokolorowych i — co tu gadać — bardzo ładnych dziewcząt.

Więc nie ma co — trzeba to było, będąc w Hamburgu, zobaczyć. A już po drugiej stronie od przystanku metra, dowożącego klientów przedsiębiorstwom branży erotycznej, rozciągają się tereny rozrywki całkiem innej: to Pole Świętego Ducha (Heiligengeistfeld), nie różniący się od wiedeńskiego Prateru czy kopenhaskiej Tivoli. Późną jesienią, kiedy przestają się kręcić najdziwniejsze karuzele, zamykają się teatry grozy i beczki śmiechu, stoją ogromne koło diabelskiego młyna — odbywa się na tych terenach największy hamburski jarmark. Według przewodnika — same kramy sprzedawców na tym jarmarku, ustawione rzędem, ciągnęłyby się ponad 3 kilometry. Byłem jednak w Hamburgu latem i zamiast jarmarku zwiedziłem tylko coniedzielny targ na Rybnym rynku (Fischmarkt) i targi staroci przy Rynku Kwiatowym, również odprawiane w niedzielę. Można tam krążyć godzinami w wielojęzycznym — głównie za sprawą gastarbeiterów — tłumie, można też natknąć się na rodaków, których nie sposób przeoczyć, bo klną głośno i obrzydliwie.

W miejscach publicznych nie widać, żeby cudzoziemscy robotnicy byli w czymkolwiek gorzej traktowani niż sami Niemcy. Przeciwnie — na każdym kroku spotyka się uprzedzającą grzeczność, uśmiechnięta cierpliwość i chęć przyjścia z pomocą. Tylko raz widziałem, jak tuż przed zamknięciem wielkiego sklepu spożywczego weszło doń kilku Wietnamczyków (chyba Wietnamczyków) i jeden z nich wziął sobie z półki brzoskwinię. Nawet nie była to kradzież, raczej miała to być rozbrajająca, młodzieżowa psota. Stary sprzedawca jednak z wielką furią wpadł na niefortunną grupę: — *Tu nie Azja, kraść to możecie u siebie, nie tutaj* — i dużo więcej w tym stylu. Ładunek ksenofobii, poczucia wyższości i wymownego zniecierpliwienia był tak wielki, że łatwo można było domyślić się uczuć od dawna w owym Niemcu drzemiących, a ujawnionych przy takiej niepozornej okazji.

Widziałem też mały lokal w suterenie, przy jednej z bocznych ulic śródmieścia, z wyłożonymi w oknie wydawnictwami maoistycznymi w paru językach. Mieścił się tam jakiś klub, wchodzili i wychodzili Chińczycy, Turcy, młodzi, brodaci Niemcy. Jakieś pisma — trudno z daleka czytelne — z wielkim tytułem „Trockis — Lehre" (Nauka Trockiego) zalegały widoczne w głębi stoły i biurka. A nad oknem, na murze od strony ulicy, ktoś białą farbą napisał koślawo: *„Amok, Komos stinken!"* (Amok! Śmierdzi komunistami!) Nie mam pojęcia, co się tam właściwie rozgrywało.

Piękne, ciekawe miasto. Wyobrażałem je sobie pełne bezstylowych czynszówek, zatłoczone, skażone przemysłem i portem. Owszem, ryby podawane w restauracji mocno cuchną chemikaliami, woda w Łabie i wszystkich jej odnogach, a także w dwóch wewnętrznych jeziorach w mieście (Mały i Duży Alster) nie jest zdatna do kąpieli, ale optyczne wrażenie jak najlepsze. Szerokie, jasne ulice i aleje, dużo placów, nienaganna czystość i porządek. Największe miasto Republiki Federalnej, milion osiemset tysięcy mieszkańców, kiedyś — drugie po Berlinie miasto niemieckie. Co do powierzchni — o jedną trzecią większe od Berlina Zachodniego, o zagęszczeniu dwukrotnie mniejszym. Trzy miliony pasażerów rocznie obsługuje lotnisko w Fuhlsbüttel, 47 milionów ton przeładowuje rocznie hamburski port. Trzy miliony gości rocznie notują hotele i pensjonaty, ponad setkę tysięcy — schroniska młodzieżowe i ponad osiemdziesiąt tysięcy — campingi. Cudzoziemcy stanowią w tym wszystkim więcej niż jedną trzecią, a więc miasto stało się naprawdę potęgą turystyczną, choć licznych zabytków historycznych posiada niewiele. W 1943 roku kilkudniowe, prawie nieprzerwane bombardowania zrównały z ziemią wielką część miasta, zginęło 42 tys. osób, około dziewięciuset tysięcy ewakuowano — Hamburg był prawie pusty. Dziś nie znajdzie się śladów tego wszystkiego, ale też niewiele się znajdzie budowli zabytkowych, mimo że miasto istnieje już przecież od z górą jedenastu stuleci.

1

Dlaczego on, a nie ja?

Wielu ludzi często zadaje sobie takie pytanie i to przy bardzo różnych okazjach. Przyznają na przykład odznaczenia. Każdy chciałby mieć jakiś medal, choć znam człowieka, który broni się przed tym jak tylko może. Ale już dawno stwierdzono, że wyjątki potwierdzają tylko reguły. Wielu ludzi czyta następnego dnia listę odznaczonych w gazecie i zastanawia się: dlaczego dostał ten, tamten, ów, a nie ja? Czasem jest to pytanie głęboko paradoksalne, bowiem zastanawia się nad tym krawiec, podczas gdy dekorowano akurat budowlanych. Jak przyjdzie święto krawców, to może i ów zastanawiający się krawiec też dostanie Złoty Krzyż Zasługi, albo i coś więcej. Ale zawistny krawiec o tym nie myśli, bowiem wśród odznaczonych murarzy znalazł imię i nazwisko swego kolegi ze szkoły i jest absolutnie przekonany, że jemu nic się nie należy, że to leń, patałach, obibok i łamaga, a odznaczenie dostał pewno tylko dlatego, że pije wódkę z jakimiś ważnymi gośćmi, bo tylko to potrafi.

Zawiść jest uczuciem niechęci do kogoś, kto odnosi sukcesy. Zawiść jest uczuciem silnym, absurdalnym, które może osobę nim ogarniętą popchnąć do różnych podłości. Ileż anonimów rodzi się tylko z poczucia niczym nie usprawiedliwionej zawiści. Ileż świństw już zrobiono z zawiści i ileż się jeszcze zrobi! Polacy są ogarnięci zawiścią i to — jak się ładnie mówi — bezinteresowną.

Byłbym skłonny zrozumieć uczucie niechęci na przykład polonisty do polonisty. Ten pierwszy ma sukcesy, dzieci go lubią, artykuły w prasie nie tylko fachowej publikuje, nagrody otrzymuje. Ten drugi jakoś nie może ani opublikować czegokolwiek, ani pozyskać sympatię dzieci, szacunek przełożonych. Zazdrości więc koledze, ale nie pojmuje że tamten ma talent, jest zdolny, a jemu czegoś przecież nie staje, nie potrafi być tak dobrym jak ten pierwszy, choć się bardzo stara. Same dobre chęci i ambicja to czasem mało, aby dorobić się sukcesu. Pozostaje więc zawiść.

Ale zawiść bywa też udziałem ludzi, których praca jest nieporównywalna. Oto na przykład wybitny działacz gospodarczy dostaje nagrodę za swoją pracę. Inny działacz — akurat z zupełnie innej dziedziny życia — sinieje z zawiści i pichci pasztet, który ma zdyskredytować zasługi tego pierwszego, a więc wykazać, że jego nagroda była bezzasadna. Wysyła ten pasztet do władz i czeka na skutki. A przecież każdy z nas powinien cieszyć się, że ludzie mają sukcesy, że dzięki temu szybciej wyjdziemy z kryzysu, nadrobimy zaległości i nie damy się zapędzić w kozi róg. Mamy przed sobą ogrom pracy i jej wykonania nie można powierzyć samym średniakom. Potrzebni są nam koniecznie ludzie wybijający się ponad średniość, inaczej myślący, odważni w działaniu, gotowi na ryzyko i poniesienie kosztów tego ryzyka. Tacy ludzie na ogół pchają — jak to się mówi — życie do przodu. Bez takich ludzi drepcze się w miejscu, a to — zgodnie z prawami fizyki i życia społecznego — oznacza cofanie się, bo wszystko jest w ruchu.

Kiedy ktoś ma sukcesy powinien przygotować się że będzie miał przykrości, bowiem zawistni ludzie nigdy nikomu nie wybaczają sukcesów, awansów, nagród, wyróżnień i tak dalej. Zawiść każe im występować przeciw każdemu, kto się wysunie ponad przeciętność, wyrównywać wszystko niczym walcem do poziomu przeciętności, bo sami dobrze czują się na tym poziomie, jako że ponad ten poziom wznieść się nie są w stanie i nikomu tego wyjścia ponad przeciętność wybaczyć nie mogą. Taki już jest mechanizm zawiści.

Brzydzę się zawiścią i do rozpaczy doprowadzają mnie takie przypadki, kiedy jakaś miernota zazdrości innym sukcesów, nie rozumiejąc, że własnym lenistwem i głupotą nie potrafi osiągnąć niczego. Rzucanie kłód pod nogi ludziom zdolniejszym i bardziej rzutkim, a przede wszystkim pracowitym, jest może psychologicznie uzasadnioną próbą usprawiedliwienia się przed sobą, ale nie przed innymi przecież, którzy widzą i wiedzą.

Powiedział mi kiedyś pewien starszy już człowiek w przypływie szczerości:

— Wie pan dlaczego tak mnie nie lubią w moim środowisku? Bo jestem bardziej pracowity od innych.

Zawiść jest nie tylko obrzydliwa, ale społecznie szkodliwa. Zawiść bowiem sprawia to, co w anegdocie przypisuje się polskiemu piekłu, gdzie dusz potępionych smażących się w smole Polaków nikt nie musi pilnować, gdyż robią to z zawiści znakomicie same. Ledwie któraś dusza wychyli się nad powierzchnię smoły, a zaraz inne wciągają ją pod tę powierzchnię. Wszyscy są bowiem równi w piekielnym kotle.

Czy przy takim nastawieniu, przy takim sposobie myślenia, przy takim stosunku do sukcesu innych, daleko zajedziemy?

ZENON POROWATY

2

Spojrzenie znad szachownicy

Gra w umieranie

1.

W tę grę zagrała ze mną medycyna, ściślej biorąc chemia, która medycynie służy, a bierki na szachownicy rozstawił ślepy przypadek. Nie będzie to opowiastka z cyklu „życie po życiu" z mrocznymi tunelami i światełkiem na ich końcu, w sensie klinicznym poprzez cały czas byłem bowiem najzupełniej żywy, umierałem wszelako w płaszczyźnie wyobraźni i z głębokim przeświadczeniem żegnałem się z tym światem.

To było tak. Znów się pochorowałem, mniejsza już na co, znajomi prześmiewają się bowiem, że publikuję komunikaty o stanie swojego zdrowia niby jakiś prezydent Reagan, osobiście występując w roli własnego rzecznika prasowego. Druga część zarzutu wydaje się mi wprawdzie głupia, samoobsługa jest bowiem w dobrym tonie, mniejsza jednak o to. Pochorowałem się i już, a pan doktor, zresztą szkolny kolega, przypisał mi penicylinę.

Próby dały wynik ujemny, uczulony nie byłem, pięć zastrzyków wziąłem bez żadnych sensacji i przyszedł czas na szósty. Musiałem akurat wpaść do szpitala, żeby się pokazać, jak niby wyglądam, wpakowałem tedy penicylinę w kieszeń mając nadzieję, że zrobią mi przy okazji zastrzyk po tak zwanej znajomości. No i zrobili. Gdy podnosiłem się z kozetki izby — nieprawdaż — podciągnąć spodnie, które odsłaniały to i owo, siostra Basia zapytała z niepokojem: — Czy pan się dobrze czuje?

A mnie nagle zakręciło się w głowie, potem zaś mdlące uczucie zeszło niżej, na piersi, w okolice serca i zrobiłem się taki jakiś nieobecny. — Zdaje się, że umieram — powiedziałem z pewnym trudem.

2.

Drobny błąd w sztuce, czysty przypadek, że już po wbiciu igły pacjent leciutko pokręci tyłkiem, a ostrze przesunie się i wejdzie w naczynie krwionośne, dając efekty oszalamiające. Mała dawka penicyliny poprzez żyły przedostaje się do mózgu i czyni tam straszliwe zamieszanie. Wszyscy, którym się to przytrafiło, mówią o umieraniu. Niektórzy histeryzują.

Oczywiście nie wiedziałem wtedy, że ów szok penicylinowy przejdzie „sam z siebie", a pomoc medyczna może jedynie wychodzenie z szoku przyśpieszyć. Lekarze pojawili się wszelako tłumnie. Mój szkolny kolega zabrał się za mierzenie ciśnienia, tłumacząc z naciskiem, że jest mniej więcej w normie i ani trochę nie umrę. Siostra Basia poleciała po jakiś nowy zastrzyk i wrzepiła mi go w tyłę.

Ja jednak umierałem tak czy siak i choć oddech miałem trochę tylko przyśpieszony tkwiłem w upartym przekonaniu, że za chwilę zabraknie mi sił na oddychanie i zacznę się dusić. Nie miałem żadnych pretensji do kogokolwiek. W ogóle nie żałowałem, że rozstaję się z tym światem, zirytowało mnie jednak, iż zostawiam bałagan w domu i w redakcji. Spróbowałem to wypowiedzieć, jednak nie bardzo mogłem. Wyartykułowałem tylko „...redakcji", no i gdy koniec końców przeżyłem, żona, która podczas całej tej hecy miotała się po korytarzu, miała lekkie pretensje, że gadam o redakcji nie o niej.

3.

I jeszcze coś: wszyscy obecni w dyżurce mieli poszarzałe twarze, ich zmarszczki, fałdy koło ust, pogłębiły się, zapadły. — Jesteście tacy pomarszczeni — powiedziałem, wiedząc jednocześnie doskonale, że to omam wzrokowy, a nie żadna tam sensacja z krainy science fiction przyśpieszająca przemijanie czasu. W każdym razie widziałem tych ludzi takimi, jakimi będą zapewne za dziesięć, piętnaście czy dwadzieścia lat.

Gdy już zaczęło mi się poprawiać, pojawiła się jeszcze jedna lekarka, przystojna zresztą, a do tego znajoma Życiowego, co oczywiście świadczy o niej dobrze, bo Życiowy ma wyłącznie oszałamiające znajomości. — Czy pan mnie widzi — spytała, chcąc pewno sprawdzić, jak się właściwie czuję.

— Oczywiście — odparłem, a ponieważ ona jedna nie miała zmarszczek i nie była szara, chciałem koniecznie dodać ...i wygląda pani tak ładnie jak zawsze". O bogowie, o bogowie moi, nie zdołałem tego wykrztusić, a była to bodaj jedyna w życiu okazja do powiedzenia kobiecie komplementu, w który ta musi uwierzyć, bo jakże tu nie wierzyć umierającemu, a przynajmniej tąkiemu, który myśli o sobie, że umiera?!

4.

A potem przeszło. Wstałem i podciągnąłem wreszcie spodnie, cały czas szlajała mi się bowiem po głowie uparta myśl, że głupio jest umierać z opuszczonymi spodniami.

Lekarze — niezbyt precyzyjnie próbowałem to nieco wyżej opisać — wytłumaczyli mi, co działo się właściwie. Byłem trochę tąpnięty, nafaszerowano mnie bowiem środkami tonizującymi, ale szok minął szybko, wszystko to przecież rozgrywało się przede wszystkim w wyobraźni.

Za tydzień czy dwa pomyślałem wszelako, że trzeba się jakoś odegrać. Zemsta jest słodka, kupiłem przeto siostrze Basi czekoladę, ta miła, wesoła i bardzo lubiana przez pacjentów pielęgniarka jest bowiem, jak by tu rzec, przesadnie szczupła.

Pewno lubi czekoladę — więc zje, ale jedząc będzie się bała, że przytyje. Ja się bałem, teraz niech ona się poboi, no i skwitujemy się na czysto, pozostając, mam nadzieję, w przyjaźni.

No jak, siostro Basiu, zjadła pani? Załączam pozdrowienia.

JERZY P.

3

Sport

Piłka jest okrągła, a bramki są dwie

1. Po meczu Polska — Portugalia odbyła się w studiu telewizyjnym w dalekim Meksyku rozmowa z trenerem Antonim Piechniczkiem i polskimi piłkarzami. W czasie tej rozmowy redaktor Dyja z TVP doniósł Antoniemu Piechniczkowi, że w kraju ostro krytykują polską ekipę za zły mecz z Marokiem. Antoni Piechniczek zaproponował w odpowiedzi na tę krytykę, aby krytycy przyjechali do Meksyku i pokazali, jak trzeba grać. Można się domyślić, że chodziło o krytyczne uwagi wypowiadane w studiu telewizyjnym w Warszawie przez Jana Tomaszewskiego. Była to bardzo oryginalna odpowiedź na krytykę. Jan Tomaszewski swoje już zrobił. A polskiego zespołu nie było za co chwalić po meczu z Marokiem. Ganić było za co. Niestety.

2. Moim bezapelacyjnym bożyszczem sprawozdawczym został — jak do tej pory — Wojciech Zieliński. W sprawozdaniu z meczu Meksyk — Paragwaj najczęstszym terminem było właśnie „bożyszcze kibiców meksykańskich". Okazało się, że meksykańska drużyna składa się z samych „bożyszcz". Natomiast w czasie sprawozdania meczu ZSRR — Węgry Wojciech Zieliński nie dostrzegł strzelonej bramki i przez kilkadziesiąt sekund biadał nad pechem radzieckiego piłkarza i dopiero widok Węgrów rozpoczynających grę od środka boiska otrzeźwił telewizyjnego sprawozdawcę.

Wspaniały był też Stefan Rzeszot, gdy przyszło mu komentować ze studia w Warszawie mecz RFN z Urugwajem. Usiłował słowami zupełnie nie dotyczącymi tego, co działo się na boisku, zapełniać ciszę panującą w eterze. A przecież zamiast nieporadności red. Stefana Rzeszota można było po prostu podłączyć dźwięk z radia. Akurat był — sprawdziłam. Red. Stefan Rzeszot jeszcze na tytuł bożyszcza nie zasłużył.

3. Telewizja meksykańska oszałamia nowoczesnością stosowanych środków i bezbarwną pracą operatorów oraz licznymi usterkami.

4. Oglądając mecz Polska — Maroko przypomniałam sobie, że na krótko przed Mundialem '86 „Przegląd Sportowy" opublikował wywiad z Ryszardem Kuleszą. Ryszard Kulesza trenował piłkarzy w Maroku, ma na temat drużyny Maroka dużo interesujących informacji, był gotów je udostępnić polskiej ekipie. Nikogo to nie zainteresowało. Jak grali Polacy z Marokiem, każdy widział.

5. Mecz z Portugalią Polacy wygrali, ale chwilami grali na poziomie meczu z Marokiem. Ciągle jeszcze brakuje zgrania w drużynie, precyzji, a czasem i umiejętności. Może śmielej korzystać z młodych? Na przykład o Włodzimierzu Smolarku nasi przeciwnicy wiedzą już wszystko i wszystko robią, aby nie dać mu pograć. Za gol w meczu z Portugalią należą się Włodzimierzowi Smolarkowi szczególne gratulacje, że potrafił się „urwać" tak troskliwym i licznym opiekunom!

6. Bez wątpienia najlepszym graczem w meczu z Portugalią był Józef Młynarczyk. To on, obok Włodzimierza Smolarka, wygrał ten mecz. Gratulacje i podziękowania!

7. Światowa piłka nożna — jak to widać w Meksyku — unifikuje się, żeby nie powiedzieć europeizuje się. Wszyscy grają podobnie. Gdzież te czasy, kiedy piłkarze z Ameryki Południowej dawali koncerty swoich technicznych, niemal cyrkowych, umiejętności. Grają wprawdzie bardziej żywiołowo od naszych, próbują nabrać sędziów na różne teatralne sztuczki, ale to już nie to samo. Sama nie wiem, dobrze to, czy źle?

8. Różnych specjalistów zaskoczył poziom gry drużyn z Afryki i Azji. Jakoś zapomniano, że drużyny te trenują europejscy lub południowoamerykańscy trenerzy i robią to coraz lepiej. Chyba z tego powodu, że piłkarzy Maroka traktowano trochę z pobłażliwością, nikt nie zainteresował się wiedzą trenera Ryszarda Kuleszy o piłkarzach Maroka. No i przykro się rozczarowano. Zresztą rozczarowali się nie tylko Polacy, co nas jednak nie usprawiedliwia.

9. Przedmundialowe prognozy wzięły w łeb. RFN ma kłopoty, ale i ogromną rutynę, dzięki której pokonuje te kłopoty. Anglia może nie wyjść z grupy, za to może z grupy wyjść Maroko. Węgry poniosły niespodziewaną klęskę w meczu z ZSRR. Był to rekord Mundialu '86 — sześć bramek. Rekordu tego nie pobili niedoceniani Duńczycy, choć strzelili Urugwajczykom też sześć goli, ale stracili jednego. ZSRR miał 6 do zera. A już myślałam, że nikt nie powtórzy wyczynu piłkarzy radzieckich. Co nas jeszcze czeka w tym pełnym niespodzianek Mundialu?

10. Najbardziej zaszokowali mnie Szkoci. Elegancja swoich strojów. Tylko elegancja, niestety.

11. Nasi ciągle narzekają na trawę i klimat, że trawa wysoka, a klimat gorący i parny. Inni niby grają w innym klimacie i na innej trawie. Tacy Duńczycy na przykład!

12. Tęsknię za pełnymi polotu i ironii powiedzeniami Kazimierza Górskiego. Przed meczem z Anglią powiedziałby niewątpliwie: — Każda drużyna ma trzy wyjścia: wygrać, przegrać, albo zremisować! Które wybiorą nasi? Zobaczymy.

BOGDA MADEJ

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(4)

— Ja bym nie nazwał tej doby straconą — rzekł i siłą woli powstrzymał się od sięgnięcia do skrytki po kolejnego papierosa, mimo że ta czynność pozwoliłaby mu zyskać na czasie raczej niezbędnym do uformowania w myślach linii obronnej swojego stanowiska.

Oczywiście, że nie była to doba stracona. Ulegli pokusie i nadłożyli drogi, nikt temu nie przeczy, i całą noc, którą później odsypiali do południa, wypełniła im gra na automatach, ale dzięki temu Doreen wpadła na pomysł opowiadania o kasynie-skrzynce kontaktowej. Głównym bohaterem był w niej automat do hazardu, przysłowiowy jednoręki bandyta, nie wyróżniający się niczym szczególnym spośród innych jednorękich bandytów ustawionych w salach i korytarzach pod ścianami. Automat nosił miano Zexorr i stanowił ogniwo łączące planetę Czerwonych Zastępów z jej wywiadowcami działającymi na planecie Ziemia. Wywiadowcy ci, różnej płci i w różnym wieku, z reguły biednie ubrani i prowadzący skromny tryb życia, codziennie przychodzili do kasyna o ustalonej porze i po wrzuceniu do Zexorra monety pociągali za jego rękojeść, uważnie śledząc układające się za szybą kombinacje obrazków. Każda taka kombinacja obrazków była zaszyfrowaną wiadomością. Na przykład kombinacja dwóch brzoskwiń i banana powtórzona trzykrotnie zawierała nakaz, by poprzeć kampanię wyborczą senatora X, znanego militarysty. Ci rzekomo żyjący na granicy ubóstwa wywiadowcy — wygodnie ukryci za parawanem plotek o mających mafijne koneksje głównych udziałowcach kasyn gry — byli w istocie jedynymi właścicielami całego Las Vegas, które obliczano na dwieście miliardów dolarów obrotu rocznie. Dysponując takim kapitałem mieszkańcy planety Czerwonych Zastępów mieli nielichy wpływ na kurs polityki administracji waszyngtońskiej. Interesowała ich rozbudowa baz rakietowych na Ziemi i możliwość rozpętania na niej wojny atomowej. Uznali, że jest to najtańszy i najprostszy sposób zgotowania ludziom doszczętnej zagłady, po której Ziemia byłaby gotowa do zasiedlenia. Opowiadanie Doreen nie ustępowało innym opowiadaniom fantastyczno-naukowym pod względem rozsądku, powagi, polotu i logiki, poza tym cechował je zdrowy — aczkolwiek finezyjny — antykomunistyczny wydźwięk. Doby spędzonej w Las Vegas nie można więc nazwać straconą. I jest niemal pewne, że doba spędzona nad Wielkim Kanionem zaowocowałaby równie znakomitym pomysłem.

— Wiesz — obstawała przy swoim Doreen — mnie się tam nie śpieszy, ale Dan pod koniec każdego dnia otwiera zatłuszczony kajecik o pozaginanych rogach i oblicza, ile mil powinniśmy już przejechać. Ręczę, że według tych jego obliczeń jesteśmy przynajmniej w Amarillo.

— Z miasta Grand Canyon jest bardzo dobra szosa na wschód. Moglibyśmy przez Polacca dostać się do Gallup i zjechać na autostradę do Albuquerque — Jeremy z pożądaniem patrzył na paczkę papierosów w otwartej skrytce. Tym razem także nie musiał podnosić wzroku na Doreen, by wiedzieć, że ona uśmiecha się przepraszająco i że jednocześnie zdaje sobie sprawę z nędzy własnego uśmiechu, bo przecież żaden uśmiech nie jest w stanie wynagrodzić przykrości, której on doznał.

— Ładnie to brzmi w deklaracjach słownych, Jerry. — Doreen najwyraźniej postanowiła wbić ostatnie gwoździe do trumny. Ale w Grand Canyon nagle byśmy odkryli, że jesteśmy oszałamiająco blisko tamy na rzece Colorado i że stamtąd mamy doprawdy tylko trzy kroki do plaż Lake Mead, które mijaliśmy dzisiaj w południe, po opuszczeniu Las Vegas, gdzie może by warto wrócić na następną taką noc, zwłaszcza że z Las Vegas do Doliny Śmierci jest zaledwie kilkadziesiąt mil, i niespodziewanie znaleźlibyśmy się z powrotem w punkcie wyjścia...

— ...co wcale nie byłoby takie złe — wtrącił Jeremy, jednak sięgając do skrytki po papierosa. — Druga okazja zwiedzenia tylu cudownych miejsc, tylu pomników przyrody, nie zdarzy się nam szybko, więc...

— ...więc dlatego — wtrąciła z kolei Doreen — zwiedziliśmy Park Yosemite i rezerwat sekwojowy. I dlatego jutro, jadąc z Winslow do Albuquerque, na parę godzin zatrzymamy się w Skamieniałym Lesie. Specjalnie, żebyś mógł go zwiedzić, Jerry, specjalnie dla ciebie.

Z „EWANGELIARZA ELIASA"

Ostatnie minuty przed godziną „G".

Napływające z centrum miasta wycie syren zalewało rozprażony w słońcu dziedziniec, który przemierzał William Frankley. Dziedziniec otoczony był ogrodzeniem z drutu kolczastego i wysokim na trzy i pół metra murem o dwóch krańcach spiętych bramą wykutą z żelaza. Umocowana przy niej tablica głosiła, że mieszczą się tutaj Zakłady Naprawcze Taboru Cywilnych Linii Lotniczych Boeinga. Oprócz nazwy obiekt ten z lotnictwem cywilnym nie miał nic wspólnego. Był instytutem doświadczalnym, w którym poddawano próbom nowe typy hiperdźwiękowych bombowców.

Frankley idąc w kierunku hangarów oddalał się od budynku administracji, gdzie niedawno dobiegła końca odprawa wyższej kadry kierowniczej. W uszach dźwięczały mu jeszcze słowa wypowiedziane przez komandora Sheparda z naciskiem: „Sprawa jest nagląca". Frankley usiłował przejąć się tymi słowami, ale nie potrafił, chociaż od miesiąca słyszał je na każdej odprawie i nawet teraz powracały one do niego echem w wyciu syren napływającym zza muru. Nie potrafił przejąć się tymi słowami od czasu, kiedy tydzień temu sam ich użył w rozmowie telefonicznej z doktorem Oughtersonem.

Stawką było wtedy życie Olie.

Przy rzędzie starych turbin ułożonych po przeciwnej stronie dziedzińca zatrzymał się pojazd gąsienicowy wyposażony w podnośnik. Mechanicy przystępowali do zmiany dekoracji. Część z tych turbin przetransportują do magazynu, pozostałe przesuną pięćdziesiąt metrów dalej, a na ich miejsce zwiozą fragmenty dysz, bądź pokrywy silników strumieniowych — rzekomo przeznaczonych do remontu.

— Naaagląęaaagląęaagląęaaaa... — wyły syreny poza murami dziedzińca. Eteryczne kłaczki płowego kurzu wzbijane obcasami mokasynów Frankleya roztapiały się w powietrzu, tuż nad ziemią lub opadając wsiąkały między grudki żwiru.

„Na miłość boską, doktorze — powiedział do słuchawki tamtej nocy — sprawa jest nagląca".

Olie leżała w pościeli nieprzytomna. Pochylony nad telefonem patrzył, jak jej ciało wykonuje słabe, niemrawe ruchy, w daremnych zmaganiach z paraliżującym je paroksyzmem choroby. Spod półprzymkniętych powiek jej oczy zwrócone gdzieś w bok i nic nie widzące błyszczały w pomarańczowożółtym świetle kinkietu, który zapaliła wstając z łóżka. Zbudziło go to światło i hałas, kiedy strąciła żurnal z szafki nocnej. Szła niepewnie, jak ślepiec, z rękoma przyciśniętymi do twarzy.

„Olie?" — powiedział.

Stanęła przed łazienką i zwymiotowała. Zanim zdążył do niej podbiec, upadła na podłogę. Ostrożnie przeniósł ją na łóżko, potem zadzwonił do doktora Oughtersona.

Doktor chciał znać szczegóły. Rozespanym głosem zadawał pytania: Co pańska żona jadła wczoraj na kolację? Czy na coś się skarżyła? Jak dawno miała ten atak? W jakim jest stanie? — i w miarę udzielanych mu odpowiedzi odzyskiwał zawodową formę.

„Obawiam się, panie Frankley, że pańską żonę trzeba przewieźć do kliniki. Proszę nie podejmować żadnych działań, sam wszystkim się zajmę. Będę u pana za pół godziny. Niech pan ją obróci na bok i ułoży tak, żeby jej głowa znajdowała się równo z tułowiem".

Frankley skręcił do hangaru F i pod skrzydłem wypatroszonego pasażerskiego samolotu, który służył za atrapę, powlókł się do wind. Wybrał lewą. Zrobił to machinalnie, ale zatrzaskując za sobą drzwi uprzytomnił sobie, że ten wybór może być podświadomą reakcją na wspomnienie wydarzeń tamtej nocy, kiedy po telefonie do doktora Oughtersona dokonał podobnego wyboru: obrócił Olie właśnie na lewy bok. Na ten bok, w który zwrócone były jej oczy — przysłonięte cieniami rzęs i szklane. Obrócił ją tak, by patrzyła na prześcieradło, bo bał się napotkać to martwe spojrzenie. Z jej ust wyciekła strużka śliny, ale oddychała teraz spokojniej i mniej chrapliwie.

Oughterson przybył z dwoma pielęgniarzami i od razu przystąpił do rutynowych czynności. We Frankleyu zbudziły one wewnętrzny, niewyartykułowany sprzeciw. Odnosił wrażenie, że dotknięcia dłoni lekarza, dłoni kościstych, białych i dziwnie porowatych, zamieniają Olie w przedmiot, wprawdzie kruchy i bezcenny, ale pozbawiony cech ludzkich — w schodzący z taśmy produkt poddawany kontroli technicznej. Doktor Oughterson zmierzył jej ciśnienie, zbadał dno oka, a pielęgniarze stali z noszami opodal łóżka, okazując całkowity brak zainteresowania tym, co się dzieje, przestępując z nogi na nogę i ziewając.

„Będę z panem szczery, panie Frankley — powiedział Oughterson. — Przypuszczam, że to udar".

„Udar?"

„Wylew krwi do mózgu. Pańską żonę trzeba umieścić w klinice. Konieczne jest przeprowadzenie specjalistycznych badań".

Przebrzmiał łoskot zatrzaskiwanych drzwi i naglące wycie syren ucichło tłumione ścianami hangaru i windy. Frankley wdusił guzik trzeciego poziomu i zaczął zjeżdżać w dół.

Prawie tak jak Olie — pomyślał. Pięć dni temu trumna z jej zwłokami zsunęła się wolno po pochylni; przy dźwiękach organów grających coś nabożnie, zsunęła się w czeluść krematoryjnego pieca.

„Musimy poczekać do rana na wyniki — powiedział Oughterson w klinice. — Pańska żona będzie tu miała doskonałą opiekę. Dyżurny personel robi, co w jego mocy. — I tonem człowieka, który przewiduje porażkę, dodał: — „Reszta jest w rękach Boga".

„Tak".

„Może pana odwieźć?"

„Nie. Chcę zostać tutaj jeszcze przez chwilę. Dziękuję za to, co pan zrobił dla Olie, doktorze. Wrócę do domu taksówką".

Wydało mu się, że Oughterson przyjął tę odmowę z ulgą.

„Niech pan zażyje tabletkę Seconalu i spróbuje przespać się kilka godzin. Będę z panem w kontakcie telefonicznym".

„Tak, oczywiście. Dziękuję panu za wszystko, doktorze".

Oughterson odszedł, a Frankley usiadł na ławeczce w poczekalni, ze wzrokiem wbitym w ziemię między swoimi stopami szeroko rozstawionymi i wówczas nawiedziła go kabalistyczna refleksja. „Wkrótce się spotkamy, kochanie". Nie rozumiał jej sensu i nie był pewny, czy narodziła się ona w jego umyśle spontanicznie, czy pod wpływem kogoś lub czegoś, czego nie umiał określić.

Mały ruch powstał na korytarzu, bo przywieziono nowego pacjenta. Chromowany wózek minął poczekalnię z cichym brzęczeniem kółek i oddalił się wraz z wtórującym temu brzęczeniu szelestem krochmalonych kitli.

Drzwi windy zatrzasnęły się z hukiem, który wywołał grobowy pogłos na poziomie trzecim pod hangarem F — jak w katakumbach. Frankley przemierzając betonową halę pomyślał, że Cat zaraz go spyta o komandora Sheparda, w jakim humorze jest dzisiaj ten wyliniały niedźwiedź.

— Hej, Billy-Frank, w jakim humorze jest dzisiaj ten wyliniały niedźwiedź? — Cat stał wsparty o pulpit rozrządu i patrzył na Frankleya idącego ku niemu ciężkim krokiem.

— „Sprawa jest nagląca, panowie" — zacytował Frankley. — No, my tutaj jesteśmy gotowi. „Couggie" tkwi zaintubowany w tunelu i...

— „Te syreny, panowie, świadczą o tym najdobitniej. One nawołują nas do bardziej wytężonej pracy. Nie wolno nikomu pozostać głuchym na ich nawoływania".

— Czekaliśmy tylko na ciebie, Billy-Frank.

Oh także czekał — tam, na ławeczce, w klinice. Olie zmarła nad ranem, zanim na oddziale neurologicznym przygotowano ją do tomograficznych analiz komputerowych.

„Wkrótce się spotkamy, kochanie" — ta refleksja znów przeniknęła do jego umysłu, jakby nasłana z zewnątrz. Drobna siostra, Mulatka, która wcześniej poczęstowała go kawą, przycupnęła przy nim, z rękoma splecionymi na kitlu.

„Panie Frankley" — odezwała się cicho.

Podniósł wzrok na jej zarnie oczy i wyczytał z nich to, co ta kobieta ma mu do zakomunikowania.

„Nie żyje?" — spytał.

„Przykro mi, panie Frankley, naprawdę tak mi..."

„Och — przerwał jej szorstko. Ogarnęły go mdłości, ale jakoś je przemógł i wstał. Nabrał podejrzeń, że ten szpitalny zapach rozsiewany jest tu po to, by zneutralizować unoszący się wokół trupi odór. — Zwłoki odbiorę jutro, to znaczy dzisiaj... W każdym razie przed południem zgłosi się do was ktoś z zakładu pogrzebowego".

— Gdzie jest Gary? — spytał.

Cat kciukiem wskazał odległą, pogrążoną w półmroku część hali.

— Siedzi tam w kącie i pali skręta — odrzekł.

Frankley niechętnym spojrzeniem omiótł aerodynamiczny tunel, w którego wnętrzu spoczywał model hiperdźwiękowego bombowca.

— No to zaczynajmy tę próbę — powiedział.

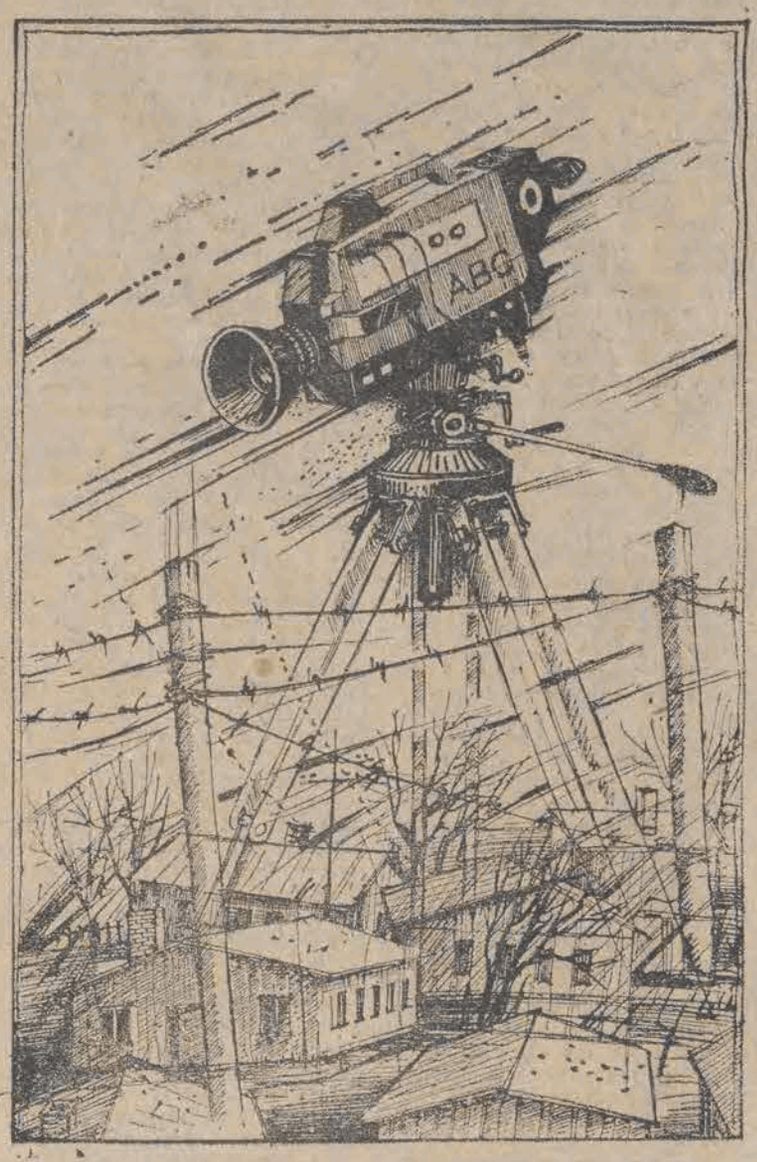

Rys. Janusz Szymański-Glanc

BOŻE, POTRZĄŚNIJ TYM SOLIDNIE

Spora grupa osób zignorowała komunikat lokalnych władz informujący, że tereny położone na zachód od trójkąta, który wyznaczają miasta Hialeah, Miami i Homestead, i sięgające aż do Parku Narodowego Everglades stanu Floryda, zostają zamknięte ze względu na powstałe tam zagrożenie dla życia. Grupa była spora, agresywna i krzykliwa, bo w zasadzie każde szanujące się pismo z dbałości o czytelników pragnęło mieć swojego wysłannika, możliwie blisko drutów kolczastych strzeżonych po tamtej stronie przez zmotoryzowane i piesze patrole wojskowe, przy czym najbardziej agresywni i krzykliwi z całej tej grupy byli agenci prasowi „Miami Herald".

Również rozmaite stacje telewizyjne usiłowały przeszwarcować swoje ekipy w pobliże tak złotonośnego złoża. Trudność jednak polegała na tym, że jego eksploatację zmonopolizowała sieć ABC. Nadawany przez nią program „W obliczu inwazji kosmitów" cieszył się niespotykaną popularnością i ośrodek badań opinii szacował, że ogląda go sześćdziesiąt osiem procent telewidzów. Program ten, emitowany zaraz po dzienniku wieczornym, niezmiennie poprzedzał film rysunkowy — kreskówka przedstawiająca szyk latających talerzy zajętych sianiem śmierci i spustoszenia.

I niezmiennie Vincenta Sherwooda widok tej kreskowki przyprawiał o białą gorączkę.

— Czy ty, do cholery, musisz gapić się w kółko na to samo? — pytał Sepa Diaza, asystenta, który zawsze pod koniec dnia włączał nastawiony na kanał ABC swój mały, przenośny telewizor, ogniskując na jego ekranie ściągnięty z elektronicznej przestrzeni obraz rysunkowej zagłady Ziemian narodowości amerykańskiej. — Nuda, nuda, nuda. Ten program to leniwy strumień skondensowanej nudy — mówił, chociaż zdawał sobie sprawę, jak naiwnie obnaża swoją zawiść i bezsilną irytację przed tym tutaj pętaczyną i donosicielem.

— Migawki z cmentarza katolickiego w porównaniu z tym programem byłyby prawdziwą sensacją — powiedział teraz i wściekły, że znowu dał upust swoim uczuciom, uniósł sztywno głowę, przygładził wąsy i dostojnie wyszedł z reżyserskiej ciężarówki, z miną dumną i nieprzystępną, by uratować resztki godności, której porcję wyznaczył sobie na dzień dzisiejszy.

Stanął na pagórku, obok kamery zwróconej teleskopem na dzielnicę Belgravia, i spojrzał smętnie na domki tam poniżej, częściowo zrujnowane. Nie była to, niestety, ruina na miarę jego ambicji podsycanej tym idiotycznym filmem rysunkowym nadawanym jako czołówka. No, oczywiście, czołówka to tylko opakowanie, najważniejszy jest towar, a ten towar, ten — pożal się Boże — program „W obliczu inwazji kosmitów" to n u d a, n u d a, n u d a. Ale czy tego nie można powiedzieć także o j e g o programie? Nie całym, rzecz jasna, bo generalnie program „Vincent Sherwood zaprasza na kataklizm miesiąca", jest absolutnie rewelacyjny. Chodzi jedynie o odcinek obecny (i poprzedni, w mordę) — czy jako pajda chały nie konkuruje on dość skutecznie z tą inwazją kosmitów serwowaną telewidzom przez ABC, zaraz po wieczornym dzienniku? I czy w związku z tym Herb Willerton nie czuje się jak człowiek na wytwornym bankiecie, któremu zamiast obiecanych frymuśnych potraw podano spaghetti w oleju z orzeszków ziemnych?

C.D.N.

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia".